

# Porwanie Baltazara Gąbki

Stanisław Pagaczewski



calibre 0.9.27

**STANISŁAW PAGACZEWSKI**

# **Porwanie profesora Gąbki**

## Rozdział pierwszy

### ROZMOWA W SMOCZEJ JAMIE

Zastukano do drzwi.

— Proszę wejść — powiedział Smok, ponieważ był uprzejmy i gościnnie.

Na progu Jamy stanął książę Krak.

— Halo, stary — powiedział do Smoka. — Pracujesz?

— A która godzina? — zapytał Smok.

Krak spojrział na zegarek marki "błonie", w którego bransoletę wetknięta była pąsowa róża.

— ...Tam na błoniu błyszczą kwiecie... — zanucił książę, zgodnie ze swym zamiłowaniem do ludowych piosenek, i poważniejąc odparł:

— Jedenasta trzydzieści dwie. Jedenasta trzydzieści dwie. Jede...

— Dziękuję — powiedział Smok. — To znaczy, że pracuję. Mój rozkład zajęć przewiduje pracę od ósmej rano do dwunastej w południe.

— Przeszkadzam ci? — zaniepokoił się książę i poszukał wzrokiem krzesła nadającego się do użytku. Wiedział z doświadczenia, że w Smoczej Jamie każda rzecz służyła na ogół do czego innego, niż wskazywał jej wygląd. Pamiętał, że przed tygodniem, kiedy usiadł na tapczanie Smoka, wyleciał jak z procy pod strop Jamy, ponieważ pomysłowy gospodarz był właśnie w trakcie prób, mających na celu zmontowanie domowej rakiety z samoistnie odłączającą się kabiną pilota.

— Siadaj na stole — powiedział Smok i zgarnął na ziemię stos młotków, obciążków, pilników, gwoździ i skrawków blachy.

— Czy to niczym nie grozi? — zapytał Krak.

— Bądź spokojny.

Książę usiadł więc na stole i zaraz począł machać nogami jak mały chłopiec. W mieszkaniu Smoka czuł się młodszy o trzydzieści lat i chętnie zapominał o swej książęcej godności. Żeby już nic nie brakowało mu do szczęścia, wyjął z kieszeni dwa lizaki. Jednym poczęstował Smoka, drugi włożył sobie do ust z wyrazem niewysłowionej błogości.

— Anyżkowy? — zapytał Smok.

— Uhm — mruknął książę, nie wyjmując lizaka z ust.

— W porządku. Bardzo lubię anyżkowe lizaki. Masz do mnie jakąś ważną sprawę?

— Ja mam zawsze i wyłącznie ważne sprawy — powiedział Krak. — Ostatecznie jest się tym księciem, czy nie?

— Jeszcze jak — rzekł Smok. Było to jego ulubione powiedzenie.

— Jedenasta trzydzieści osiem — przypomniał Krak. — Jedenasta trzydzieści osiem. Czas przystąpić do rzeczy.

Smok zauważył, że książę przestał machać nogami.

— To będzie z całą pewnością sprawa poważna — powiedział Krak. — Znacznie poważniejsza niż zeszłym razem, kiedy prosiłem cię o zmaistrowanie zegara z kukułką.

— Przepraszam, a jak się zegar sprawuje?

— Doskonale. Tylko mam kłopot z ptakiem.

— Kłopot?

— Wyobraź sobie: kuka co piętnaście minut przez całą dobę. Obojętne, czy to dzień, czy noc. Nie mogę spać.

— To drobiazg — powiedział Smok.

— Jaki drobiazg — oburzył się książę. — Po dniu wypełnionym Bardzo Ważnymi Sprawami mam chyba prawo do spokojnego snu.

— Miałem na myśli, że poprawka będzie drobiazgiem. Każ przynieść zegar do mnie, a naprawię go na poczekaniu.

— A teraz do rzeczy, bo czas mija — powiedział Krak i zeskoczył ze stołu. Grzebał przez chwilę w głębiach kieszeni książęcego płaszcza, potem wyciągnął płaską, zgrabną koronę i włożył ją sobie na głowę. Wyglądał teraz imponująco. Smok poczuł się nieswojo w szlafroku i przydeptanych pantoflach. Krak odłożył swój lizak na talerzyk i powiedział:

— Jesteś jeszcze moim przyjacielem?

— Czyżbyś miał jakieś wątpliwości co do tego?

— A więc dobrze. Poproszę cię o przysługę ważną dla całego państwa. Tylko ty możesz mi pomóc.

— Skądże znowu — zaprotestował Smok, gdyż był nie tylko uprzejmy i gościnny, ale także niezwykle skromny. Ale na pewno zrobiło się mu przyjemnie, bo komuż nie jest miło, gdy się go chwali?

— Wiem, co mówię. Tylko ty możesz mi pomóc — powtórzył Krak. — Jak wiesz, w poniedziałki, środy i piątki mogą przychodzić do mnie obywatele ze wszystkimi sprawami, jakie uważają za ważne dla siebie. Proszą wówczas o pomoc w wychowaniu dzieci, skarżą się na nieudolność, a często także na nieuczciwość urzędników, zapraszają mnie na placek ze śliwkami, zapytują o budownictwo mieszkaniowe i tak dalej, i tak dalej.

Na wspomnienie placka ze śliwkami Smok głośno przełknął ślinkę. Przepadał wprawdzie za grysikiem z cynamonem, ale bynajmniej nie gardził plackiem, zwłaszcza gdy było na nim dużo śliwek, grubo posypanych mączką cukrową.

— Uważaj, co teraz powiem — ciągnął książę, poprawiając od czasu do czasu koronę, która przekrzywiała mu się to na prawo, to na lewo. Przyszedł do mnie czcigodny Hipolit Gąbka, właściciel znanej ci gospody “Pod Trzema Gwiżdżącymi Kotami” przy ulicy Pocziwych Flisaków, brat słynnego uczonego, Baltazara Gąbki, autora wielu rozpraw z dziedziny biologii, a zwłaszcza cennej pracy o zakończeniach nerwowych w pysku ślimaka winniczka.

— Momencik — powiedział Smok i podszedł do półki z książkami. — Mam to dzieło z dedykacją autora.

Wyjął z biblioteki gruby tom w skórzanej oprawie, otworzył go na tytułowej stronie i przeczytał głośno: “Wielce Kochanemu Smokowi Wawelskiemu, chlubię grodu Kraka, z serdecznymi pozdrowieniami od autora”.

— Tak. To właśnie ta rozprawa. Była tłumaczona na piętnaście języków, między innymi na język Ki-Shaweli oraz narzecze szczepu Niam-Niam. Jej autor jest profesorem naszej Akademii i członkiem wielu zagranicznych towarzystw naukowych. Pięć lat temu wybrał się do Krainy Deszczowców, aby zebrać nowe obserwacje do pracy na temat rozwoju poczucia wspólnoty u żab latających *Rhacophorus reinwardti* Boże. Kraina Deszczowców ma odpowiednie warunki naturalne do studiowania tego zagadnienia. Żab jest tam znacznie więcej niż ludzi.

— I jeszcze stamtąd nie wrócił?

— Skąd wiesz? — zdziwił się książę.

— Domyślam się tylko. Pewnie w tej sprawie przyszedł do ciebie pocziwy Hipolit Gąbka.

Książę skinął głową.

— Tak jest. Hipolit Gąbka obawia się, że tak długi pobyt brata w Krainie Deszczowców może niekorzystnie wpłynąć na jego zdrowie. Klimat jest tam okropny.

— Wilgoć. Bagna. Mgła. Reumatyzm — wyrecytował Smok jednym tchem.

— Deszczowcom to nie szkodzi — ciągnął Krak — ale normalny człowiek nie może tam dłużej przebywać niż dwa lata.

— O ile mi wiadomo, Deszczowcy uważają siebie za normalnych, a nas traktują jak gorszy gatunek ludzi.

— Niestety — westchnął książę. — Pan Hipolit wysłał listy do brata, namawiające go do powrotu, ale uczony tak się pogрузił w swych badaniach, że nawet słyszeć o tym nie chce. Zresztą od pewnego czasu przestał odpisywać na listy. Obawiam się, że jest na najlepszej drodze do przyjęcia obywatelstwa Krainy Deszczowców. Pomyśl, to byłoby okropne: sława naszej nauki, członek Akademii — przyjeżdżający w wannie wypełnionej deszczówką! Nie, nie chciałbym dożyć takiej chwili!

Książę Krak zdjął koronę i z rozpaczy wydarł sobie garść włosów. — Postanowiłem więc posłać do niego kogoś — ciągnął dalej — kto potrafi przemówić mu do rozsądku. Jako książę nie mogę dopuścić do tego, żeby tak wielki uczony zamienił się w Deszczowca. Byłaby to niepowetowana strata dla naszej kultury.

— No dobrze — powiedział Smok. — Ale co ja mam z tym wspólnego? Nigdy nie interesowałem się żabami.

— Chcę cię prosić, żebyś tam pojechał i nakłonił go do powrotu.

— Ja?

— Tylko ty możesz wybrać się w tak długą i po prawdzie niezbyt bezpieczną podróż. Mnie nie pozwalają na to ważne sprawy państwowe. Muszę być stałą na miejscu.

— Wiesz dobrze, że od czasu ostatniej wyprawy do Kraju Smutnego Kaktusa postanowiłem zerwać z podróżami i poświęcić się dokonywaniu wynalazków. Jestem właśnie na najlepszej drodze do skonstruowania zdalnie sterowanej i niezwykle ekonomicznej polewaczki.

— Byłbym złym władcą, gdybym o tym nie wiedział — rzekł Krak. — Ale pomyślałem sobie, że dobrze by ci zrobiła taka przejażdżka. Jesteś znany jako słynny podróżnik i autor wielu książek podróżniczych.

— Zestarzałem się trochę — rzekł Smok ze smutkiem w głosie. — To straszne, ale najlepiej czuję się w pantoflach i szlafroku.

Krak zamachał rękami, jakby się opędzał przed rojem pszczół.

— Nie mów tak — zawołał. — Jesteś nieśmiertelny, więc nie ma mowy o starzeniu się!

— Zrobiłem się także smakoszem — powiedział Smok — i bardzo sobie cenię regularne posiłki.

— Przydzielę ci kucharza, który będzie dbał o twój żołądek.

— Ponadto obawiam się, że w krainie Deszczowców mógłbym się nabawić kataru — ciągnął Smok, zdając sobie jednak sprawę z tego, że jest to argument niepoważny.

— Mój drogi. Cóż znaczy katar w porównaniu z zasługą wobec historii? Będiesz bohaterem narodowym.

— Kichający bohater to niezbyt ładny widok — uśmiechnął się Smok.

— Bohaterom wybacza się wiele wad gorszych od chronicznego kataru. Jestem gotów przydzielić ci mego nadwornego medyka, który będzie dbał o twój organ powonienia. No cóż, pojedziesz?

Smok rozglądał się po Jamie. Miałby porzucić swój miły kątek do pracy, swą ciepłą i przytulną pracownię, aby tłuc się po moczarach i bagnach Krainy Deszczowców? Pozbawić się kawusi z trzeszczącymi bułkami, posypanymi maikiem? Tapczanu, na którym spało się tak wygodnie?

Biblioteki, pełnej mądrych książek?

— Przyszło mi na myśl — powiedział Krak, że przecież mógłbyś w czasie tej podróży zebrać materiał do ciekawej książki o Krainie Deszczowców. Zrobiłbyś wiele zdjęć, a także mógłbyś nakręcić film aparatem typu “Smok-2b”.

— Niewątpliwie, Kraina Deszczowców jest bardzo mało znana. Musiałbym tylko dostosować swą kamerę do zdjęć podwodnych, bo słyszałem, że Deszczowcy większą część życia spędzają w basenach wypełnionych deszczówką.

— Słynny uczony Gregorius Simonides powiada w swym dziele pt. “Opisanie krain dziwacznych y wielce ciekawych na krańcach świata naszego znajdujących się” [1], że mają oni coś w rodzaju rybich skrzel, a ich palce są połączone błoną, podobnie jak palce gęsi lub kaczek.

— To są domysły nie potwierdzone obserwacjami.

— Tym większa będzie twoja zasługa, jeżeli dokładnie poznasz życie i obyczaje Deszczowców i opiszesz je w nowym dziele. Czy mogę liczyć na ciebie?

Smok podrapał się w głowę, lecz nic nie odpowiedział. Sprawa była istotnie doniosła, ale żał mu było rzucać jego miłe mieszkanko. Czuł jednak, że nie potrafi odmówić przyjacielowi, który dał mu dowód dużego zaufania. Zdecydował się więc na wyjazd i już zamierzał otworzyć usta, aby powiadomić o tym księcia Kraka, gdy ten, sądząc, że Smok jeszcze się waha, wytoczył swój ostatni argument:

— Hipolit Gąbka obiecał mi, że jeżeli skłonisz jego brata do powrotu, będzie ci codziennie dostarczał na obiad gęś nadzianą pieczarkami.

— Zdecydowałem się już wcześniej — powiedział Smok. — Byłoby mi przykro, gdybyś przypuszczał, że powodowała mną chęć zaspokojenia łakomstwa. Skoro jednak mistrz Gąbka pragnie karmić mnie gąskami, nie mam nic przeciwko temu. Wiesz dobrze, że jestem Smokiem Przepadającym za Gęsiną. Jeśli przy tym nasza nauka odzyska słynnego profesora — korzyść będzie niezaprzeczalna i dla państwa, i dla mnie osobiście.

— Więc się zgadzasz. Co za szczęście! — krzyknął książę.

— Cóż innego mi pozostaje?

Książę zeskoczył ze stołu i porwał przyjaciela w objęcia.

— Zaraz wydaj odpowiednie zarządzenie. Kiedy pojedziesz?

— Będę gotowy za tydzień.

Krak schował koronę do kieszeni i silnie uściśnawszy dłoń Smoka, wybiegł z Jamy.

Smok stanął przed lustrem i spojrzął na swe odbicie.

— Tak więc, kochany Smoku — powiedział do siebie — ruszamy w nową podróż. Co ty na to?

Po czym mrugnął lewym okiem i roześmiał się tak głośno, że zbudzone nietoperze zawirowały pod stropem Jamy jak chmura ożywionych strzępków ciemności.

## Rozdział drugi

### WYPRAWA SIĘ ZACZYNA

Wczesnym rankiem dwudziestego dziewiątego maja u stóp wawelskiego wzgórza stał samochód-amfibibia, na którego masce widniał biały napis: SMOK-EXPEDITION. Dziwaczny pojazd, przystosowany zarówno do jazdy po drogach, jak i do pływania, wyładowany był skrzyniami i tobołami.

Mimo wczesnej pory zgromadził się koło samochodu spory tłum mieszkańców grodu Kraka. Ciekawość obecnych była skierowana nie tylko na samochód, lecz także na kamery telewizji kolorowej oraz na aparaty filmowe, wycelowane ku wejściu do Smoczej Jamy.

Nie widzimy powodu, ażeby opisywać moment wyjazdu ekspedycji własnymi słowami, skoro uczynił to specjalny wysłannik dziennika "ECHO KRAKA", redaktor Honoriusz Bukwa.

Poniżej zamieszczamy więc obszernie fragmenty jego reportażu, który tego samego dnia po południu ukazał się na pierwszej stronie dziennika. Pragniemy tylko zaznaczyć, że redaktor Bukwa przejęty ważnością chwili użył, naszym zdaniem, zbyt wielu słów podniosłych. Musimy go jednak zrozumieć: nieczęsto zdarza się wyjazd do Krainy Deszczowców. Profesor Baltazar opuścił kraj w tajemnicy, nie chcąc ze swej podróży robić dziennikarskiej sensacji. Obawiał się zresztą, że cel wyprawy — a było nim, jak wiemy, przeprowadzenie studiów nad żabami latającymi — nie znajdzie wielkiego uznania u publiczności, nie doceniającej badań naukowych. Od tej chwili minęło już pięć lat.

Oddajemy więc głos redaktorowi Bukwie:

"Zbliża się godzina 4.35. Spojrzenia obecnych kierują się ku wejściu do Smoczej Jamy. Za chwilę ukaże się w nim Smok Wawelski w towarzystwie księcia Kraka oraz dwóch towarzyszy podróży: nadwornego medyka Jego Książęcej Mości, imię pana Tomasza Koyota, oraz nadwornego Kuchmistrza, imię pana Bartłomieja Bartoliniego, rodem z Włoch, posiadacza wielu orderów i odznaczeń kulinarnych.

Napięcie rośnie! Dziewczeta i chłopcy z wyższych klas szkoły imienia Smoka Wawelskiego zbliżają się do Smoczej Jamy z wiązkami kwiatów w rękach. Operatorzy kamer telewizyjnych są już od dawna na posterunku. Wskazówka zegara osiąga godzinę 4.35.

I oto w huraganie braw otwiera się brama, a z wnętrza Smoczej Jamy wychodzą oczekiwane osoby.

Smok ubrany jest w nieprzemakalny kombinezon igelitowy w kolorze kremowym. Na nogach ma wysokie rybackie buty z cholewami, sięgającymi wysoko ponad kolana. Na jego plecach widnieją butle ze sprężonym tlenem. Tuż obok niego kroczy książę Krak. Na głowie księcia widnieje korona wysadzana rubinami. Tłum wiwatuje. Lecą do góry czapki i bukiety kwiatów. Dzieci podchodzą do Smoka i Kraka, podając im wiązanki róż. Smok podnosi jedną z małych dziewczynek i serdecznie całuje w główkę. Słychać szmer kamer telewizyjnych i filmowych. Do Smoka podbiega sprawozdawca radiowy z mikrofonem w ręce. Zapewne pragnie uzyskać od niego kilka słów wypowiedzi".

W tym miejscu przerwiemy lekturę reportażu z "ECHA KRAKA", aby zapoznać się z wypowiedzią radiową kierownika ekspedycji. Jej tekst, nagrany na taśmę magnetofonową, przepisaliśmy w radiostacji, dzięki uprzejmości Naczelnego Redaktora, pana Mikrofoniusza Tranzystorka.

A oto wierny tekst wywiadu:

Redaktor Tranzystorek: Kochany Smoku, błagani o kilka słów dla radia "KRAK". Smok: Proszę bardzo.

Redaktor: Co chcesz powiedzieć zgromadzonym tu ludziom, a także naszym radiosłuchaczom?

Smok: Pozdrawiam ich serdecznie i obiecuję sprowadzenie do kraju profesora Baltazara Gąbki.

Redaktor: Jak długo potrwa podróż do Krainy Deszczowców?

Smok: Obliczam ją na kilka tygodni, o ile nie zajdą nieprzewidziane trudności.

Redaktor: Jeszcze dwa słowa o wyposażeniu ekspedycji.

Smok: Chętnie. Wszyscy jesteśmy zaopatrzeni w nieprzemakalne kombinezony. Ponadto mamy akwalungi, czyli przyrządy do swobodnego nurkowania, ubrania z tzw. gumy piankowej, a także kalosze, parasole i duży zapas chusteczek do nosa. Zabieram ze sobą kamerę filmową własnej produkcji (typ "Smok — 2b"), dostosowaną do zdjęć podwodnych — a wraz z nią spory zapas kolorowych filmów. Doktor Koyot będzie dokonywał nagrań na przenośnym magnetofonie, zaś drogi mistrz Bartolini będzie sprawował opiekę nad gumową wanną.

Redaktor: W jakim celu wieziecie do Krainy Deszczu gumową wannę?

Smok: Przewidujemy bowiem trudności w transportowaniu profesora Baltazara Gąbki do kraju. Bierzemy pod uwagę, iż może obecnie jechać w wannie wypełnionej deszczówką, toteż pragniemy uniknąć wszelkich niespodzianek.

Redaktor: Aw jaki sposób będziecie utrzymywali łączność z krajem?

Smok: Przy pomocy nadajnika krótkofalowego, ulepszonego przeze mnie w zeszłym roku.

Redaktor: Widzę, że wyprawa została przygotowana niezwykle starannie.

Smok: Jest to w pierwszym rzędzie zasługą mego przyjaciela księcia Kraka.

Redaktor: A więc życzymy panom szczęśliwej drogi. Do rychłego zobaczenia".

Po tych słowach taśma magnetofonowa zanotowała istny wybuch entuzjazmu wśród zgromadzonych tłumów. Słychać krzyki "Niech żyje". Po chwili tłum zaczyna śpiewać "Sto lat".

Jednakowoż obraz odjazdu Smoka na wyprawę nie byłby kompletny, gdybyśmy poprzestali jedynie na opisie czysto zewnętrznych szczegółów. Musimy pamiętać o tym, iż Smok podjął się zadania niezwykle trudnego, a nawet niebezpiecznego. Wyprawy do Krainy Deszczowców nie można bowiem porównywać z miłą przechadzką nad brzegami Wisły albo ze spacerem po ulicach grodu Kraka. Toteż nie dziwny się, że Smok był poważny, a nawet trochę zdenerwowany. Doświadczenie, jakie zdobył w poprzednich podróżach, mówiło mu, że ekspedycja może się zakończyć w sposób nieprzewidziany. Nic więc dziwnego, że uśmiechał się jedynie dla dodania odwagi sobie i swym przyjaciołom, a także ludziom żegnającym ich tak serdecznie. Podobne uczucia przepełniały również doktora Koyota i kuchmistrza Bartoliniego. Prawdziwa odwaga nie polega bowiem na braku uczucia strachu, tylko na umiejętności przewyciężenia go w imię celów doniosłych i poważnych.

— Żegnaj, drogi przyjacielu — zawołał książę Krak i mocno uściskał Smoka.

— Żegnaj — odpowiedział Smok i wierzchem łapy otarł łzy, które zakręciły mu się pod powiekami.

— Wracaj jak najszybciej — dodał książę. — Będzie nam smutno bez ciebie. Na myśl, że przez, długi czas nie rozegramy z sobą ani jednej partii szachów, gotów jestem odwołać wyprawę.

— Nie mów tak — rzekł Smok. — Kto wie, czy Deszczowcy nie wtrącili naszego profesora do więzienia, nie chcąc, aby tak wybitny uczyony dodawał sławy naszemu państwu. Naszym obowiązkiem jest sprowadzenie profesora do kraju, a wobec tego celu nawet sto partii szachów nie ma żadnego znaczenia.

Uściskawszy raz jeszcze swego przyjaciela, Smok zajął miejsce przy kierownicy. Doktor Koyot oraz mistrz Bartolini usiedli na tylnym siedzeniu. Gwardziści książęcy poprosili ludzi o cofnięcie się



na chodnik. Samochód ruszył powoli, kierując się w stronę mostu na Wiśle.

— Och! — zawołał nagle doktor Koyot.

— Co się stało? — zapytał Smok.

— Zapomniałem zjeść jajko na miękko, które ugotowała mi żona na śniadanie.

— Tło drobiazg — pocieszył go Bartolini. — Ja zapomniałem zakręcić kurek w łazience.

— Nic strasznego — uspokoił ich Smok. — Od czego mamy krótkofalówkę? Zaraz nadam komunikat, w którym poprosimy żonę doktora o zjedzenie jajka, a gospodynię mistrza Bartoliniego o zakręcenie kranu w łazience.

Po przeciwnej stronie mostu rozpostarła się przed nimi szeroka droga, ocieniona dwoma rzędami topoli. Na tablicy przeczytali napis:

“Do granicy państwa 150 milionów kocich kroków”.

Smok dodał gazu. Samochód pomknął ze wzrastającą szybkością. Żaden z jego pasażerów nie zauważył małego człowieczka w zielonej pelerynie, który skrył się za pnem jednego z drzew. Człowieczek ten spoglądał przez chwilę na oddalający się samochód, następnie zaś usiadł w rowie i wyjąwszy spod peleryny maleńką krótkofalówkę rozpoczął nadawanie komunikatu:

“Uwaga, Zenobia. Mówi X-51. Mówi X-51. Ekspedycja wyruszyła samochodem ze znakiem rejestracyjnym GK 24568. Trzech pasażerów. Przy kierownicy Smok. Co robić? Przechodzę na odbiór”.

Po chwili w aparacie zaskrzeczał czyjś głos:

— “Mówi Zenobia. Mówi Zenobia do X-51. Masz jechać za nimi i nie spuszczać ich z oczu”.

Mały człowieczek schował aparat pod pelerynę i wyszedł spokojnie na drogę.

— Co za kraj — szepnął do siebie. — Ani kropli deszczu od piętnastu godzin!

Stwierdziwszy, że nikt go nie widzi, wyjął z kieszeni płaszcza gumowy woreczek napełniony wodą i polał sobie głowę wraz z ramionami.

— No, już mi trochę lepiej — pomyślał. — A teraz w drogę!

## Rozdział trzeci

### W ZBÓJECKIM OBOZIE

Kraj, przez który jechali, był coraz dzikszy i prawie nie zaludniony. Samochód wspinał się na zbocza gór porośniętych sosnowymi lasami, widoki stawały się coraz rozleglejsze, co wywoływało okrzyki zachwyty z ust doktora Koyota. Czcigodny eskulap Jego Księżęcej Mości nigdy nie wyjeżdżał dalej niż do Niepołomic, aby towarzyszyć księciu podczas polowania, toteż nic dziwnego, że górski krajobraz działał na niego z niezwykłą siłą.

— Jak tu pięknie — wołał co chwila, kręcąc się na wszystkie strony.

Bartolini wołał jednak niziny; góry napawały go dziwnym niepokojem. Zdawało mu się, że w każdej chwili spoza skrętu wybiegnie banda dzikich rozbójników, aby obrabować podróżnych. Naczytał się bowiem różnych opowieści, z których wynikało, że zbóje bardzo sobie chwalą teren górzysty, pełen kryjówek w postaci jaskiń, wąwozów i kotlin, otoczonych niedostępnymi szczytami. Nic nie mówiąc swym towarzyszom, aby ich nie denerwować, wyciągnął z worka ostry rożen i schował go za cholewę buta, ot tak, “na wszelki wypadek”. Uzbroiwszy się w ten sposób, poczuł przypływ odwagi i począł wyobrażać sobie scenę walki z rozbójnikami. W walce tej odgrywał oczywiście pierwszorzędą rolę, kładąc trupem większość napastników przy pomocy swej różnospady, zaś resztę biorąc do niewoli.

Smok, zajęty prowadzeniem samochodu, a zwłaszcza ciągłym przekładaniem biegów, nie brał udziału w rozmowie, która toczyła się poza jego plecami. Brzmiała zaś ta rozmowa następująco:

Dr Koyot: Która godzina?

Bartolini: Już minęła jedenasta.

Dr Koyot: A więc czas najwyższy na drugie śniadanie. Jak wiesz, zjadłem w domu tylko jedno jajko na miękko, ponadto zaś dwie kromki chleba z szynką. Mam ochotę na gorącą kawusię i bułeczki z masłem.

Bartolini: Myślę, że Smok nie każe nam zbyt długo jechać z pustymi żołądkami. Mam przecież wiele specjałów, tylko trzeba zrobić postój, aby je wypakować.

Dr Koyot: Jesteśmy w górach, a górskie powietrze sprzyja dobremu apetytowi, istnieje mądre dzieło na ten temat, napisane przez magistra Janka z Zabierzowa. Stara to wprawdzie książka, ma już ponad sto lat, ale niezwykle mądra.

Bartolini: Nie znam jej, choć powinienem, jako że traktuje o sprawach jedzenia. Muszę ci się pochwalić, drogi doktorze, że posiadam piękny zbiór książek kucharskich w siedmiu językach. Ostatnio udało mi się kupić w antykwariacie książkę kucharską wydaną przez plemię ludożerców, zamieszkujących środkową część płaskowyżu wyspy Tongo-Bongo.

Obecnie ludożercy ci żywią się wyłącznie konserwami jarzynowymi, był jednak czas, że przepadali za pieczeńią ze swych nieprzyjaciół.

Doktor Koyot: Spójrz, jacyś ludzie na szosie. To dziwne, na takim pustkowiu...

Bartolini: Obawiam się, że..

Ostry pisk hamulców, uruchomionych nogą Smoka. Samochód staje. Pasażerowie spostrzegają wymierzone w siebie lufy muszkietów. Nie ulega wątpliwości, że zostali otoczeni przez rozbójników.

— Hej, co to ma znaczyć? — zawołał Smok, wychylając się przez okienko wozu.

— A jak myślisz? — zagadnął go mężczyzna w kapeluszu ozdobionym kogucimi piórami. — Czyżbyś przypuszczał, że jesteśmy grupą autostopowiczów?

— Może jesteście nimi — odparł Smok dyplomatycznie a chytrze — ale niepokoją mnie wasze muszkiety...

— Szlachetny panie — zawołał zbójca — jeżeli sądzisz, że dostałeś się w ręce rozbójników, mylisz się bardzo. Może wyglądamy na takich, musisz jednak wiedzieć, że należymy do odłamu przeciwników tradycji. O ile miałeś czas nas policzyć, to na pewno stwierdziłeś, że jest nas tylko jedenastu. A przecież każde dziecko wie, że zbójników zawsze musi być dwunastu. My jednak zwalczamy przestarzałe tradycje. Kilka dni temu posłaliśmy do domu dwunastego towarzysza i obdarowaliśmy go suto pieniędzmi oraz jadłem, aby tylko nie zechciał do nas wracać. Obecnie czas na dalsze czyny, świadczące o naszej wrogości wobec tradycji. Dlatego też bądźcie, panowie, tak dobrzy i przyjmijcie zaproszenie na drugie Śniadanie.

— Co o tym sądzicie? — zwrócił się Smok do towarzyszy.

— Myślę, że należy się zgodzić — powiedział Bartolini — gdyż istotnie zbliża się czas stosowny na drugie śniadanie.

— A ty, doktorze? — zapytał Smok.

— Cóż, nie mamy innego wyjścia. Żeby tylko nie struli nas nieświeżym mięsem.

Na te słowa dowódca bandy poczerwieniał i ryknął groźnym głosem:

— To zniewaga! Nie ma mowy o zepsutym mięsie, ponieważ w obozie znajdują się dwie lodówki, zarekwirowane swego czasu na Dzikiej Przełęczy. Korzystając z przebiegającej obok linii wysokiego napięcia włączyliśmy je do sieci i stale dysponujemy świeżym mięsem, nie mówiąc już o takich drobiazgach, jak mrożona śmietana, a nawet lody owocowe...

— Panowie, przyjmujemy zaproszenie — powiedział Smok. — Przepadam za mrożoną śmietaną!

I zwróciwszy się do zbójcy, dodał:

— Moi przyjaciele zgadzają się z całego serca.

— Wspaniale — zawołał zbójca — i dał znak swoim kompanom, aby odstąpili od samochodu.

— Pozwoli pan, że się przysiędę — powiedział do Smoka — i pokażę wam drogę. To niedaleko, ale trzeba jechać po wertepach. Wasz samochód jest jakby stworzony do tego terenu. Za pięć minut będziemy na miejscu.

Po chwili na szosie nie było żywego ducha. Samochód zjechał na boczną dróżkę, ginącą między skałami. Dziesięciu zbójów biegło za nim; niektórym przychodziło to z trudem, jako że byli zbyt dobrze odżywieni i odznaczali się wspaniałą tuszą.

Dróżka wiodła stale ku górze. Skały sterczące po obu jej stronach były coraz bardziej strome i pozbawione roślinności. Wkrótce samochód znalazł się w kotlinie, w której wił się strumień o przeźroczystej wodzie.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział zbójca siedzący obok Smoka. — Proszę zatrzymać wóz.

W jednej ze skał widniał otwór jaskini. W pobliżu wejścia do niej stała tablica z napisem "Osobom nie upoważnionym wstęp surowo wzbroniony". Pod napisem zwracała uwagę trupia czaszka ze skrzyżowanymi piszczelami.

— Idealne miejsce na majówkę — rzekł Bartolini. — Teren równy, woda do kąpieli i cisza.

— Czujcie się jak u siebie w domu — zapraszał dowódca bandy. — Zaraz coś przekąsimy.

Smok wyjął z kieszeni swą ulubioną fajkę i zapalił.

— Bardzo tu przyjemnie — powiedział z uznaniem.

— Byłem pewny, że się wam spodoba — ucieszył się zbójca. — Przykładam dużą wagę do estetycznego wychowania swych ludzi. Nic tak nie uszlachetnia jak kontakt z piękną przyrodą. Tego samego zdania jest sławny angielski filozof John Ruskin.

Na dany przez dowódcę znak dwóch rozbójników pobiegło do jaskini, aby wynieść składany stół i kilka krzesełek. Po chwili na stoliku pojawił się śnieżnobiały obrus, a na nim półmisek z szynką. Jeden ze zbójców przyniósł flaszkę starego wina i złote kielichy.

— Panowie — rzekł dowódca bandy — czym chata bogata, tym rada. Proszę do stołu.

— Przepraszam — powiedział na to doktor Koyot — jako lekarz czuwający nad zdrowiem członków ekspedycji proponuję, żebyśmy sobie umyli ręce w tym oto strumieniu.

— Oczywiście — zgodził się zbójca. — Doktor ma rację.

Informowanie czytelników o tym, że śniadanie smakowało naszym podróżnikom, jest chyba najzupełniej zbędne. Ten tylko może mieć wątpliwości, kto nigdy nie był w górach i nie posilał się nad brzegiem strumienia, w blasku słońca i słuchając śpiewu ptaków.

— Cieszę się, że spotkałem tak zacnych kawalerów — powiedział Starszy Zbójca, gdy na półmisku nie było już ani jednego plasterka szynki. — Mam miłą nadzieję, że nie odmówicie mi, jeżeli poproszę o wpisanie się do Księgi Pamiątkowej.

— Chętnie — odparł Smok w imieniu towarzyszy. — Bardzo lubię wpisywać się do ksiąg pamiątkowych.

— Mamy w niej cenne autografy — mówił Starszy Zbójca. — Gościliśmy raz u siebie posła z Kraju Smutnego Kaktusa, który jechał do naszego kochanego księcia, aby ofiarować mu obywatelstwo honorowe swej ojczyzny. Napisał, że gdyby nie był tak Ważną Osobą, na pewno zostałby rozbójnikiem, gdyż takie życie bardzo mu się podoba.

Na wspomnienie Kraju Smutnego Kaktusa Smok rozpromienił się.

— Byłem tam kiedyś — powiedział. — Piękny to kraj, ale bardzo smutny, ponieważ rosną tam jedynie kaktusy. Czy można wpisać się wierszem?

— Jak najbardziej — odpowiedział Starszy Zbójca. Wtedy Smok ujął pióro i na nowej karcie księgi skreślił następujący utwór:

Gdyby takich zbójców na świecie przybyło,  
Wtedy by się wszystkim bardzo miło żyło,  
A książęca milicja zamiast im psuć szyki,  
Mogłaby dzieci bawić i pisać wierszyki.

Po złożeniu podpisów podróżnicy spojrzeli na zegarki.

— Spieszycie się? — zapytał dowódca.

— Mamy daleką drogę przed sobą — odparł Smok — ale chętnie posiedzimy tu jeszcze pół godziny.

Szef bandy zaklaskał w dłonie.

— Krzywonos, do mnie! — zawołał tonem rozkazującym.

Na ten Okrzyk podbiegł do niego wysoki mężczyzna, podobny do Cygana dzięki czarnym włosom i ciemnej cerze. Ubrany był w czerwoną, mocno połataną bluzę oraz w skórzane spodnie, wpuszczone do butów z cholewami. Za pasem, nabijanym złotymi monetami, tkwiły kolby dwóch pistoletów.

— Co rozkażesz?

— Wyprowadź misie i pokaż gościom, jak tańczą. Tymczasem Smok wydobyl z walizki notes i zasiadł przy stoliku, naprzeciw Starszego Zbójcy.

— Drogi panie — zwrócił się do uprzejmego gospodarza — jednym z celów mej podróży, którą zacząłem dziś rano, jest zebranie materiałów do nowej książki. Jestem bowiem pisarzem, autorem

wielu reportaży, a także rozpraw naukowych. Interesuje mnie zagadnienie, z czego żyjecie, skoro zamiast rabować podróżnych gościcie ich tak uprzejmie, jak nas. Przyznam się, że gdy was ujrzałem, pomyślałem sobie: “No, to już koniec naszej wyprawy. Ci zacni ludzie puszcza nas do domu na bosaka”.

— Ach — jęknął boleśnie Starszy Zbójca — jak mogłeś tak myśleć choć przez chwilę? Ranisz moje serce!

— Teraz wiem, że spotkałem ludzi szlachetnych i gościnnych — ciągnął dalej Smok — ale w chwili, gdy was ujrzałem, nie dawałem ani dwóch groszy za swoją sikorę.

Dowódca bandy otarł łzą z oka.

— Wiem, że wyglądamy okropnie — powiedział ze smutkiem — ale weź pod uwagę, że jesteśmy kawalerami i nie mamy nikogo, kto by mógł dbać o nasz wygląd. Najwięcej kłopotów przysparzają nam pourywane guziki. Cerowanie skarpetek to także problem dużej wagi, nie mówiąc już a prasowaniu koszul. Jesteśmy pionierami nowego typu zbójnika, musimy więc ponosić pewne konsekwencje. Podróżny, napotkany fbzez nas na drodze, nie może odjechać z pustymi rękoma. Obdarowujemy każdego, czy chce, czy nie chce. Chodzi nam o reklamę. W ten sposób, prędzej czy później, książę Krak dowie się o naszej działalności i być może, przydzielili nam jakąś skromną subwencję ze skarbu państwa. Przeznaczę ją w pierwszym rzędzie na zakup większej ilości guzików i agrafek.

— Skąd jednak bierzecie na to, żeby obdarowywać podróżnych?

Starszy Zbójca zniżył głos i nachylił się do swego rozmówcy:

— Powiem ci w zaufaniu, bo mi się podobasz. Swego czasu znaleźliśmy w tej oto jaskini ogromny skarb, schowany tu prawdopodobnie przez prawdziwych rozbójników. Czerpiemy z niego pełną garścią, ale już nie na długo wystarczy. Kilka dni temu przeżyłem straszną chwilę, ujrawszy skały, przeświecające spod stosu złota.

— Co was jednak skłania do owej filantropijnej działalności?

— Czysta fantazja — odparł Starszy Zbójca. — Jeżeli dzisiejszym poetom wolno pisać wiersze bez rymu i rytmu, to dlaczego zbójca nie miałby obdarowywać napadniętego? Jesteśmy po prostu antyzbójcami, to cała tajemnica.

— Dziękuję — powiedział Smok i zamknął notatnik. — Postaram się opowiedzieć księciu o waszej działalności. Oczywiście zrobię to dopiero po powrocie z wyprawy.

— Czy wolno wiedzieć, dokąd jedziesz?

— Nie mogę tego wyjawić, albowiem wiąże mnie tajemnica. W każdym razie jest to sprawa o wielkim znaczeniu dla całego państwa.

— Musisz więc przyjąć od nas duży worek pieniędzy.

— Dziękuję bardzo, ale mam dość własnych.

— Nie odmawiaj, bo się pogniewam. Nie możesz odjechać bez podarunku z mej strony. Inaczej musiałbym cię więzić w tym pustkowiu, aż do chwili przełamania twego uporu.

— W takim razie przyjmę wasz podarunek — powiedział Smok — ale pieniądze owe rozdram biednym ludziom w najbliższej wiosce.

— Nic mnie nie obchodzi, co z nimi zrobisz. W każdym razie musisz je ode mnie przyjąć, w przeciwnym razie byłbym niepokieszony.

Podczas gdy dwa niedźwiedzie zabawiały gości tańcem przy akompaniamencie bębenka, Starszy Zbójca kazał swym ludziom załadować do samochodu worek złotych monet. Jednocześnie inni rozbójnicy postawili przed gośćmi srebrne miseczki, wypełnione mrożoną śmietaną z truskawkami.

Ostatnie chwile pobytu podróżników w zbójckim obozie upłynęły na miłej rozmowie.

Dowódca bandy kilkakrotnie wyrażał żal z powodu konieczności rozstania się z tak sympatycznymi osobami. Mistrz Bartolini zanotował sobie przepis na kogel-mogel z winogronami, a doktor Koyot wyrwał jednemu z rozbójników zepsuty ząb, zyskując jego gorącą wdzięczność.

Pożegnanie było niezwykle serdeczne. Rozbójnicy odśpiewali swój hymn, zaczynający się od słów “Wśród lasów i gór zbójcecki brzmi chór”, a Smok wykonał im grupowe zdjęcie, obiecując przysłanie jedenastu odbitek zaraz po powrocie z wyprawy. W końcu samochód ruszył i po chwili znów znalazł się na szosie.

— Wszystko dobre, co się dobrze kończy — rzekł doktor Koyot. — To naprawdę bardzo mili ludzie.

Smok spojrział na zegarek.

— Już po drugiej — powiedział. — Musimy szybko jechać, żeby zdążyć przed nocą na Dziką Przełęcz. Stoi tam oberża “Pod Wesołym Karakonem”. Mam od księcia list polecający do oberżysty, który służył w Gwardii Pałacowej. Myślę, że nocleg będzie wygodny.

Zajęci oglądaniem coraz piękniejszych widoków, nasi podróżni nie zauważyli, że w znacznej odległości dąży za nimi samochodzik, prowadzony «-przez człowieka w zielonej pelerynie.

### OBERŻA “POD WESOŁYM KARAKONEM”

Jedną z nielicznych przełęczy w Górach Dalekiego Południa jest Dzika Przełęcz, stanowiąca obniżenie między Diablakiem a Baranim Wierchem. Wiedzie tędy droga łącząca państwo księcia Kraka z obszarami zamieszkałymi przez plemię Psiogłowców.

Od niepamiętnych czasów istnieje tu niski budynek, zbudowany z granitu i pokryty gontem. Mieści się w nim oberża “Pod Wesołym Karakonem”. Nazwę tę wymyślił zapewne jakiś podróżny, chcąc wprowadzić nieco wesołości do krajobrazu raczej smutnego, a nawet ponurego.

W otoczeniu oberży nie rośnie bowiem ani jedno drzewo, trawa zaś znajduje się jedynie w ogródku, pielęgnowanym przez oberżystę. Wokoło sterczą nagie skały, a w ich załomach bielą się płaty śniegu i lodu.

Okolicę Dzikiej Przełęczy upodobali sobie rozbójnicy, napadający tu na kupców i podróżników. Ukryci za skałami, czyhali na przejeżdżających i wypadali na nich niby stado głodniałych wilków.

Książę Krak od dawna nosił się z zamiarem zbudowania tu warowni i obsadzenia jej załogą wojskową. Wciąż jednak brakowało mu pieniędzy na ten cel, gdyż potrzebował ich w pierwszym rzędzie na zakładanie przedszkoli, szkół i domów dla starców. Weszło więc w zwyczaj, że podróżni udający się w, tej strony zaopatrywali się w broń przeciwko rozbójnikom. Ulubionym jej rodzajem był proszek do kichania. Napadnięci obsypywali nim zbójców, którzy natychmiast zaczęli kichać i ciskali na ziemię swe maczugi, aby wydobyć z kieszeni chusteczki do nosa. Na tę chwilę czekały właśnie biedne ofiary napaści i zmykały ile sił w nogach. Nie był to jednak środek bezpieczny, gdyż proszek działał również na tych, którzy go stosowali. Tak więc zdarzało się, że wszyscy dostawali nagłego kataru, a kichnięcia odbite od skał niosły się w dolinę niczym echo salw armatnich. W późniejszych czasach zaczęto stosować zwierciadła. W razie napadu ustawiano je tak, aby rozbójnicy mogli się w nich zobaczyć. Zbójce wyglądali tak okropnie, że nie mogąc znieść własnego widoku, pierzchali w popłochu, zasłaniając sobie oczy rękoma i wołając żałośnie: “Mamy na to zbyt delikatne nerwy. Tego nie można wytrzymać!”

W czasach, kiedy się toczy nasza opowieść, używanie zwierciadeł było jeszcze bardzo rozpowszechnione. Toteż w oberży “Pod Wesołym Karakonem” stale znajdował się zapas luster dla użytku podróżnych. Oberżysta sprzedawał je za niewielką cenę, uzupełniając sobie w ten sposób swe niezbyt wielkie zarobki.

Od dziesięciu lat był nim stary wojak księcia Kraka, imieniem Barnaba. Straciwszy jedną nogę podczas bitwy z Psiogłowcami, otrzymał od księcia drewnianą protezę i stanowisko kierownika oberży. Mieszkał tu w towarzystwie swej wnuczki, Marysi, dwóch psów i jednego kota, zwanego Pawełkiem. Prócz wymienionych zwierząt hodował także krowę, aby mieć mleko dla domowników oraz dla podróżnych. W tym właśnie celu pielęgnował w swym ogródku piękny trawnik —

jedyną oazę zieleni na tym smutnym pustkowiu. Ogródek był otoczony murem z kamieni, a jedyne wejście do niego prowadziło wprost z gospody. Na środku trawnika zacny Barnaba ustawił stół i dwie ławeczki. Tutaj siadywał ze siwą wnuczką i wraz z nią czytał mądre księgi, które od czasu do czasu przywoził mu z Grodu Kraka specjalny wysłannik księcia.

Zarówno Marysia jak i jej dziadek lubili czytać książki o dalekich krajach, zamieszkałych przez różne potwory, zwłaszcza gdy były to książki ilustrowane kolorowymi obrazkami. Właśnie niedawno otrzymali dzieło uczonego Marcina z Pilicy, pod ciekawym tytułem: “O smokach jadowitych w dalekich krainach znajdujących się”, wydane w drukarni książęcej i zaopatrzone w barwne ilustracje,

wykonane przez nadwornego malarza, pana Chryzostoma Trąbę.

Późnym popołudniem dnia 29 maja Barnaba siedział z Marysią w ogródku i założywszy na nos okulary, czytał jej rozdział czwarty, w którym autor opisywał różne rodzaje smoków żyjących na świecie.

Dwa duże owczarki — Zagryź i Uduś — leżały obok nich na trawie, a kot Pawełek zwinął się w kłębek na kolanach dziewczynki i spał smacznie, gdyż historie o smokach nic a nic go nie obchodziły.

Marysia jednak uważała, że to, co dziadek czyta, jest bardzo ciekawe.

“Aleksander Magnus, wielki wódz macedoński, gdy z wojskiem do krainy perskiej dążył, w bagnie jednym ujrzał, jak smokowie z wielkim sykaniem w jego stronę pośpieszali...”

— Oj — krzyknęła Marysia — To straszne!

— Słuchaj dalej — powiedział dziadek — ale się niczego nie bój, bo przecież smoki z książki nie wyjdą, aby cię pożreć.

— Ja wiem — powiedziała Marysia — ale trochę się boję.

— “Ci smokowie z jajek się lęgli w owych bagnach, bo słońce mocno tam dogrzewało. Są też inni, co się żywo rodzą jako i ludzie. Takim jest onże smok, który w grodzie wawelskim zamieszkuje. Jeno że Smok Wawelski jest bardzo dobrej natury i nikomu nic złego nie czyni. Dzięki swej mądrości i dobroduszości przyjacielem księcia został i cieszy się miłością wszystkich mieszkańców miasta”.

Dziadek przerwał czytanie i spojrzał na wnuczkę.

— Widziałem go na własne oczy, kiedyś w Gwardii Pałacowej służył.

Marysia klasnęła w ręce.

— Widziałeś prawdziwego smoka? I nie bałeś się? Barnaba uśmiechnął się:

— Przecież słyszałaś, że jest to smok poczciwy i wesoły. Nie taki jak inne, które ponoć jeszcze na świecie żyją. Mordę ma zieloną, wielkie oczy i gębę od ucha do ucha. A tak zawsze wygląda, jakby się śmiał, i dlatego nikt się go nie boi. Lubi się ubierać jak człowiek. Najchętniej przebywa w powłóczystym szlafroku i pantoflach. Gdy musi jednak wyjść do miasta lub odwiedzić księcia Kraka, wkłada na siebie strojny ubiór. Jest miłośnikiem pięknego obuwia, umie też dobrać sobie odpowiednie krawaty.

— Brr, ja bym się go bała — wzdrygnęła się dziewczynka.

— Bardzo, bardzo dawno temu Smok Wawelski był dość dziki. Wtedy pożerał ludziom krowy, owce, barany, a nawet kury i kaczki. Szkody czynił wielkie, więc pewien szewc imieniem Skuba postanowił go zgładzić. W tym celu podrzucił mu barana nadzianego jakimś paskudnymi przysmakami w postaci smoły.

siarki, pieprzu, papryki i tłuczonego szkła. Smok barana zjadł i strasznie się po tym przechorował. Takie miał pragnienie, że wypił wodę z Wisły i okolicznych stawów. Jego ryki było słyhać aż do Puszczy Niepołomickiej, która daleko za grodem Kraka leży. Ale wyzdrowiał i odtąd nie bierze do pyska ani kawałka mięsa. Zmienił się tak, że ludzie go polubili. Z biegiem lat zaczął się ubierać na wzór ludzki, a także bardzo szybko nauczył się ludzkiej mowy.

— I widziałeś go naprawdę?

— Tak jak ciebie widzę — uśmiechnął się Barnaba. — Codziennie wieczorem wychodzi z Jamy, podlewa kwiaty w swym ogródku, siada na ławeczce i zapala fajkę.

— Tak jak ty!

Barnaba skinął głową, wyjął z kieszeni fajkę, napełnił ją tytoniem i zapalił.

— Czy chciałbyś jeszcze zobaczyć Smoka Wawelskiego? — zapytała Marysia.

— Dawno go już nie widziałem — odparł dziadek. — Siedzę na tym pustkowiu, do miasta daleko, podróż długa i męcząca.

Nagle wyjął z ust fajkę i zaczął nadśluchować. Zdawało się mu, że wiatr przyniósł z sobą daleki warkot motoru.

— Ktoś jedzie do nas.

— Może wysłannik księcia?

— Ten był niedawno, to ktoś inny. Słyszę coraz lepiej...

Obydwa owczarki — Zagryź i Uduś — zbudziły się i nastawiły uszy. Po chwili cicho zawarczały.

— Leżeć pieski, leżeć. Jadą goście. Na pewno zechcą zanoć, bo wieczór na karku, a jazda po nocy niebezpieczna.

Warkot motoru był coraz głośniejszy. Samochód pokonywał ostatnie skręty drogi przed Dziką Przełęczą. Barnaba i Marysia wyszli przed budynek oberży i spoglądali w stronę, z której dochodził odgłos silnika. Wreszcie na zakręcie szosy pojawił się samochód, w którym jechały trzy osoby. W chwili gdy maszyna zatrzymała się przed gospodą, Barnaba i Marysia ujrzeli, że za kierownicą siedzi najprawdziwszy Smok, w skórzanej czapce i okularach na głowie.

— Dziadku, Smok — krzyknęła dziewczynka i mocno chwyciła nogawkę dziadkowych spodni.

Zagryź i Uduś z głośnym szczekaniem rzuciły się w kierunku przybyłych.

— Zagryź! Uduś! Do nogi — krzyknął Barnaba. Psy przestały czekać i wróciły do swego pana. Smok wyszedł z samochodu i zwrócił się do towarzyszy:

— Jesteśmy na Dzikiej Przełęczy. Tu zjemy kolację i zanoćmy.

— Witam, witam — wołał gościnnie stary Barnaba, kusztykając w kierunku gości.

Smok zasalutował jak prawdziwy wojskowy.



— Czy mam przyjemność z panem Barnabą? — zapytał.

— Do usług waszej mości.

— A ja jestem Smok Wawelski.

— Poznają, poznają — zawołał stary wojak. — Przecie i ja mieszkałem niegdyś na zamku i widywałem cię codziennie. Moja Marysia bardzo się ucieszy z poznania tak sławnego podróżnika. Dopiero co czytaliśmy razem książkę o smokach.

— A to są moi towarzysze — doktor Koyot oraz kuchmistrz Bartolini.

— Pozwólcie, panowie, do środka — zapraszał Barnaba, rad z przyjazdu gości. — Nocleg przyrządę wam znakomity, bo na pewno jesteście zmęczeni podróżą.

— Samochód nie może zostać na szosie — powiedział Smok — mamy w nim cenne bagaże.

— Proszę zajechać na podwórze. Bramę zamkniemy na kłódkę, a pieski będą go pilnowały przez całą noc. Dawno już nie było tu zbójów, ale ostrożność nie zawadzi.

— Spotkaliśmy dziś całą bandę — odezwał się mistrz Bartolini — ale to byli jacyś dziwni ludzie. Zamiast obrabować poczęstowali nas jedzeniem, a na pożegnanie obdarowali workiem złotych pieniędzy.

— To znaczy, że byliście w rękach Krwawej Kiszki! — zawołał Barnaba. — Słyszałem, że znowu wrócił w te strony.

— Wcale nie wygląda na krwawego zbója — rzekł doktor.

— Trzeba wam wiedzieć, że wszyscy jego ludzie noszą tak przerażające imiona. Ale w gruncie rzeczy są to poczciwcy nie czyniący nikomu nic złego.

Wprowadziwszy samochód na podwórze oberży, podróżni weszli do izby jadalnej, zajmującej parter budynku. W jednym jej rogu widniał kamienny kominek. Środek izby zajmował ogromny stół, otoczony dwunastoma krzesłami o siedzeniach wyłożonych skórą. Ze stropu zwisał staroświecki świecznik. Ściany izby ozdobione były rogami jeleni i głowami dzików.

Goście usiedli przy stole, a Barnaba zajął się rozpalaniem ognia na kominku.

— Tak więc, moi drodzy — rzekł Smok — jeden dzień podróży mamy już za sobą.

— Co mam przygotować na kolację? — zapytał Bartolini.

Smok zastanawiał się przez chwilę.

— Najchętniej napiłbym się gorącego mleka. To bardzo zdrowe i pożywne.

— Mógłbym otworzyć puszkę z zielonym groszkiem.

— Lepiej będzie, drogi mistrzu, jeżeli nasze zapasy zachowamy na później. Kochany Barnaba zagotuje nam garniec mleka.

Tymczasem Marysia przyniosła ze studni dzban z wodą i nalała jej do miednicy, aby goście mogli umyć ręce przed jedzeniem.

— Chodź do mnie, malutka — powiedział Smok — bardzo lubię dzieci.

Na te słowa Marysia krzyknęła głośno i pobiegła do Barnaby.

— Dziadku, ratuj! Smok chce mnie zjeść!

— Nic podobnego — zawołał Smok, rozbawiony naiwnością dziewczynki.

— Przecież powiedziałaś, że bardzo lubisz dzieci.

— To znaczy, że lubię się z nimi bawić — wyjaśnił Smok. — Jeżeli chcesz, opowiem ci na dobranoc ładną bajkę.

— O czym?

— O czym tylko zechcesz. O smokach albo o wrózkach.

— O smokach.

— Dobrze. Ale musisz się z nami napić mleczka i szybko położyć się do łóżka.

Ogień na kominku trząsał wesoło, a izbę wypełnił zapach drzewnego dymu. Zegar wydzwonił ósmą. Barnaba postawił na stole dzban z gorącym mlekiem i sześć garnuszków.

— Te garnuszki dostałem od Krwawej Kiszki — rzekł nalewając do nich mleko. — Jego ludzie umyli mi wtedy wszystkie okna, załatali dach na obórcie, uprali bieliznę pościelową i wytrzepali dywany.

— A ja dostałam od niego fotografię z dedykacją — pochwaliła się Marysia. — Napisał mi tak: “Kochanej Marysi od! prawdziwego rozbójnika”.

W trakcie posiłku na dworze dał się słyszeć warkot silnika, a następnie pisk hamulców.

— Ktoś przyjechał — powiedział Barnaba. — Pójdę zobaczyć.

Na szosie stał mały samochodzik. Siedział w nim jakiś człowiek w zielonej pelerynie.

— Hej! — zawołał na widok oberżysty — czy można tu przenocować?

— Oczywiście. Miejsca jest dosyć.

Po chwili nowy podróżny znalazł się w izbie jadalnej.

— Szlachetni panowie — powiedział kłaniając się na wszystkie strony. Pozwólcie, że się przedstawię. Jestem wędrownym astrologiem, rodem z dalekiej Espanioli i nazywam się Don Pedro de Pommidore. Przez dwa “em”!

— Bardzo nam miło — rzekł Smok w imieniu zebranych. — Prosimy na mleczko. Przez jedno “em”!

Don Pedro skrzywił się nieznacznie.

— Wolałbym wprawdzie garniec zwyczajnej wody, ale nie przystoi odmawiać tak zacnym osobom.

— Wodę zostawmy Deszczowcom — uśmiechnął się Smok — a sami napijmy się mleka.

— Wszystko dobre, co mokre — powiedział przybyły i usiadł przy stole. Mimo niewielkiego wzrostu robił poważne wrażenie dzięki czarnej brodzie i krzaczastym brwiom.

— Nie gniewajcie się, panowie, że nie ściągam rękawiczek — rzekł Don Pedro — ale poparzyłem się pokrzywami i dlatego namaściłem dłonie balsamem. Za dwa dni wszystko będzie w porządku. Pozwólcie, że wzniosę toast na waszą cześć, choć nie wiem, kim jesteście.

Smok zwrócił się do astrologa i wyjaśnił:

— Podróżujemy dla przyjemności. Mamy miesiąc urlopu, więc pragniemy poznać ciekawe okolice naszej krainy.

— Kraina to piękna i bogata — odparł Don Pedro — ale moim zdaniem nieco zbyt sucha. Przydałoby się więcej opadów.

— Wolelibyśmy mieć piękną pogodę — powiedział Bartolini — bo to żadna przyjemność moknąć w czasie wakacyjnej podróży.

— Są różne gusta. Znam pewnego człowieka, który przepada za suszonymi śliwkami, podczas gdy ja wolę ślimaki gotowane w morskiej wodzie.

To rzekłszy Don Pedro kilkoma łykami opróżnił garnuszek mleka.

## Rozdział piąty

### KIM JEST DON PEDRO?

Po kolacji goście udali się do izb na pierwszym piętrze. Prowadził ich Barnaba z płonącą świecą w ręce. Smok, doktor i kuchmistrz otrzymali duży pokój z trzema łózkami, zaś Don Pedro został ulokowany w małym pokoiku, z oknem wychodzącym na podwórze.

— Dobranoc czcigodnym panom — Barnaba skłonił się głęboko i zamknął za sobą drzwi.

— Połóżcie się — powiedział Smok do swych towarzyszy — a ja zejść jeszcze na dół, aby opowiedzieć Marysi obiecaną bajkę.

Okazało się jednak, że dziewczynka już zasnęła, przytulona do kota Pawełka i nakryta niedźwiedzią skórą.

— Wobec tego napiszę jej na pamiątkę piękny wiersz — postanowił Smok i wrócił do sypialni.

Doktor i Bartolini leżeli już w łózkach.

— Jakie tu wspaniałe powietrze — westchnął doktor.

— No cóż, jesteśmy w wysokich górach.

Smok usiadł na krawędzi łóżka, aby ściągnąć z nóg buty.

— Nie podoba mi się ten Don Pedro — mruknął doktor. — To jakaś dziwna figura. Chciałbym zobaczyć jego ręce.

— Jesteś zbyt podejrzliwy — rzekł Smok i ziewnął głęboko. — Każdy astrolog jest trochę dziwakiem.

Do rozmowy przyłączył się Bartolini:

— Doktorek ma rację. Ślimaki gotowane w morskiej wodzie są narodową potrawą Deszczowców. Czytałem o tym w książce kucharskiej.

Smok zdmuchnął świecę. Do pokoju wpłynęło seledynowe światło księżyca.

— Moi kochani. Gdybyśmy mieli oceniać ludzi na podstawie ich ulubionych potraw, musielibyśmy twierdzić, że nasz książę jest narodowości węgierskiej, ponieważ przepada za gulaszem z papryką. A zresztą, gdyby nawet Don Pedro był Deszczowcem, to co z tego? On jest jeden, nas zaś grzech... Dobranoc.

— Dobranoc — mruknęło coś od strony łóżka Bartoliniego.

— Dobranoc — wyziewnął z siebie doktor Koyot, obrócił się na prawy bok i chrapał.

Ścienny zegar w jadalni wydzwonił jedenastą. Przez okno wpadało do izby chłodne i niezwykle czyste powietrze.

Smokowi nie chciało się spać. Zwykle zasypiał dopiero po północy. Wstał, otulił się szlafrokiem i podszedł do okna.

Smok zwiedził już w swym życiu wiele gór, ale żadne nie były tak piękne, jak Góry Dalekiego Południa.

Podczas ładnej pogody mógł je widzieć z wawelskiego wzgórza. Wyglądały wtedy jak ząbki piły, wyrastającej z zieleni. Często spoglądał ku nim siedząc na ławce w ogródku pełnym tulipanów, róż i goździków.

Teraz mógł je podziwiać z bliska. Ciągnęły się jak okiem sięgnąć, milczące i groźne. Na tle nieba rozjaśnionego przez księżyc rysowały się ostro i wyraźnie. Poszarpana linia grzbietu przypominała fale wzburzonego morza, zastygłe w jednym ułamku sekundy i na zawsze znieruchomiałe. W dolinach krył się aksamitny mrok.

Cisza panowała tak wielka, że Smok słyszał uderzenia własnego serca. Pomyślał więc sobie:

— Oto czas na pisanie wierszy.

Usiadł przy stoliku oświetlonym promieniami księżycy i położył przed sobą kartkę papieru. W kieszeni szlafroka odnalazł gęsie pióro, z którym się nigdy nie rozstawał. Zanurzył je w atramencie i napisał tytuł wiersza:

“Noc na Dzikiej Przełęczy”.

Teraz trzeba było wymyślić wiersz, a Smok wiedział, że nie jest to sprawa łatwa i prosta. Dawno już nie pisał wierszy i wyszedł z wprawy. W każdym razie po dłuższym namyśle napisał pierwszą linijkę.

W świetle księżycy milczą góry.

— To nawet niezłe — pomyślał. — Ale co dalej? W tym samym momencie na podwórzu rozległ się nieludzki wrzask:

— Ratunku! Ratunku! — połączone z głośnym szczekaniem psów.

Smok cisnął pióro i skoczył do okna.

Jakiś człowiek usiłował wdrapać się na mur, oddzielający podwórze od szosy. Przychodziło mu to z trudnością, jako że nie odznaczał się wysokim wzrostem, ponadto zaś u każdej z nogawek jego spodni wisiał duży owczarek.

Księżyc świecił tak jasno, że Smok bez trudu późnał Don Pedra de Pommidore. Słynny astrolog bez ustanku wołał o ratunek, obawiając się, że psy pozbawią go ważnej części ubrania. Trach — i oto w psich zębach znalazły się kawałki spodni Don Pedra, sam zaś astrolog podciągnął się na rękach i usiadł na murze.

Z okna izby na parterze wychylił się Barnaba.

— Zagryź! Uduś!

Astrolog podkurczył nogi i jęknął rozpaczliwie:

— Nie gryźcie! Nie duście! Darujcie mi życie! Barnaba zawołał jeszcze raz:

— Zagryź! Uduś! — Do nogi!

Psy podbiegły pod okno i wypuściły z pysków dwa kawałki poszarpanego materiału. Kiwały przy tym ogonami, jakby chcąc powiedzieć swemu panu:

— Powinieneś być z nas zadowolony...

Smok ryknął śmiechem, zapominając o śpiących towarzyszach. Okazało się jednak, że ich również obudziły krzyki dochodzące z podwórza. Gdy podbiegli do okna, oczom ich ukazał się niespodziewany widok. Oto na szczycie muru siedział wystraszony Don Pedro de Pommidore w nocnej koszuli i obstrzępionych spodniach.

Po chwili Barnaba znalazł się na podwórzu i uwiązał obydwie psy na łańcuchach.

— Możecie zejść bezpiecznie, mości Pedro.

— Zapłacisz mi za to, imię Barnabo — krzyczał astrolog głosem pełnym wściekłości. — Takie spodnie to majątek!

Na oberżycie nie zrobiło to jednak żadnego wrażenia.

— Może wpierw zechce mi pan wytłumaczyć, skąd się tu znalazł? Porządni ludzie nie spacerują po nocy, tylko śpią.

— Chciałem zasięgnąć rady gwiazd co do mojej dalszej podróży i dlatego wyszedłem z pokoju.

— Czyżby gwiazdy nie ostrzegły cię, panie, że na podwórzu są złe psy?

Don Pedro udał, że nie rozumie złośliwości, i nadal starał się zastraszyć oberżystę:

— Musisz mi odkupić spodnie i wynagrodzić straszne przeżycia. Te psy mogły mnie pożreć.

— Dobrze, że tego nie zrobiły — wtrącił doktor — bo mogłyby się potruć.

— Z odkupieniem spodni będzie kłopot — dodał Bartolini — albowiem najbliższy sklep Centrali Odzieżowej znajduje się w Grodzie Kraka.

Don Pedro uniósł do góry obie ręce.

— Niechaj gwiazdy będą świadkami tej zniewagi — zawołał dramatycznie i w tej samej chwili straciwszy równowagę spadł na kamienie podwórza. Teraz śmiali się już wszyscy, z wyjątkiem poszkodowanego astrologa, który chyłkiem pomknął ku drzwiom oberży i zniknął w sieni.

Na podwórzu znów zapanował spokój. Smok i jego towarzysze odeszli od okna.

— To jakiś wielki głuptas — powiedział Bartolini.

— Głupcy są często bardzo niebezpieczni — dodał Smok. — Myślę, że doktor miał słuszość twierdząc, iż Don Pedro wydaje mu się podejrzany.

Oczywiście nie było już mowy o pisaniu wierszy. Toteż Smok zmiął kartkę papieru z tytułem zamierzonego poematu i cisnął ją do kosza na śmiecie.

## Rozdział szósty

### SPOTKANIE Z PSIOGŁOWCAMI

O siódmej rano Barnaba zastukał do drzwi.

— Wstawajcie, zaci panowie. Są ważne nowiny. Smok podreptał do drzwi i otworzył je. Od razu zauważył, że oberżysta jest zdenerwowany.

— Co się stało?

— Don Pedro uciekł, nie zapłaciwszy rachunku.

— Jak to się mogło stać? — zawołał Smok.

— Skorzystał z tego, że po tej nocnej awanturze spaliśmy twardo, oderwał kłódkę od bramy i wyjechał bez pożegnania.

— A psy nie szczekały?

— Niestety — westchnął stary wojak. — Zapewne cisnął im mięso zaprawione środkiem nasennym. Zużyłem wiele czasu, aby je obudzić. Myślałem nawet, że je otruję, ale na szczęście żyją, są tylko osowiałe i nie mają apetytu.

Smok zgrzytnął zębami.

— Co za łajdak. Powinniśmy go ścigać. Wtedy do rozmowy wtrącił się doktor Koyot.

— Najpierw należy zjeść śniadanie. Jestem odpowiedzialny za twoje zdrowie, Smoku, i nie mogę pozwolić na to, abyś się pozbawiał śniadania dla tak nędznej kreatury, jak Don Pedro. Zresztą, jeżeli uciekł przed świtem, to w tej chwili dzieli go od nas kilkaset tysięcy kocich kroków.

— Śniadanie już na stole — rzekł oberżysta. — Jest gorące mleko, a do chleba dżem z pomidorów.

Ubrawszy się, trzech podróżnicy zeszli do izby jadalnej. Widząc Marysię, zajęta podlewaniem kwiatków w doniczkach, Smok wydobyl z portfela swoją podobiznę i złożył na niej zamaszty podpis. Następnie wręczył fotografię dziewczynce i rzekł:

— Weź to na pamiątkę i nie gniewaj się na mnie, że nie opowiedziałem ci bajki na dobranoc. Uczynię to, gdy będę wracał z podróży.

— Och, jakie to śliczne — zawołała wnuczka Barnaby. — Oprawię to w ramki i powieszę sobie nad łóżeczkiem.

W czasie śniadania, gdy Smok sięgnął po słoik z dżemem, rozległ się ostrzegawczy okrzyk doktora:

— Ostrożnie! Co to jest?

— Dżem z pomidorów — wyjaśnił Barnaba, zdziwiony zachowaniem się lekarza. — Sam go zrobiłem z pomidorów wyhodowanych w ogródku. Jest bardzo smaczny.

Doktor wziął słoik do ręki i pokazał Smokowi:

— Co tu jest napisane? Smok przeczytał głośno:

— Dżem z muchomorów.

— Z czego? — krzyknął Bartolini.

— Z mu..... — powtórzył Smok i nagle uderzył się dłonią w czoło. — Panowie! Zdrada! Przecież to okropna trucizna!

Barnaba pobladł z wrażenia i wyjąkał:

— To sprawka tego łotra. Pewnie dobrał się w nocy do spiżarni i zamienił słoiki.

Smok pokiwał głową.

— To bardzo możliwe. Widzę z tego, że to naprawdę zły człowiek.

— Sytuacja jest poważna — powiedział Bartolini. — Wyprawa staje się niebezpieczna.

Smok zapalił fajkę i otoczył się kłębamii dymu.

— Gdyby była zupełnie bezpieczna — rzekł po chwili milczenia — książę Krak wysłałby na nią byle kogo. Skoro jednak nas wybrał, dał nam w ten sposób dowód dużego zaufania. Czy pozwolimy się nastraszyć takiemu głuptasowi jak Don Pedro?

— Nigdy! — zawołali jednocześnie doktor i kuchmistrz.

— W porządku. Wobec tego jedziemy dalej. Kochany Barnabo, weź od nas ów worek złotych monet, który dostaliśmy od Krwawej Kiszki. Niewątpliwie przydadzą ci się bardziej niż nam. Tam, dokąd jedziemy, złoto nie ma żadnej wartości.

Na próżno Barnaba wzbraniał się przyjąć tak wspaniałego daru; Smok nie chciał ustąpić.

— Należy ci się to za wierną służbę dla księcia. Straconej nogi nie zastąpi nawet dziesięć worków złota. Sprawa jest załatwiona i nie ma o czym mówić. Czas w drogę!

Doktor Koyot, który przed chwilą wyszedł na podwórze, aby zanieść podręczną torbę do samochodu, wrócił szybko do izby i stanął w jej drzwiach, mocno zdyszany:

— Już wiem, po co Don Pedro wychodził w nocy na podwórze. To łotr nad łotrami. Chodźcie za mną.

Oto samochód-amfibia, przedmiot dumy wszystkich członków wyprawy, stał na środku podwórza na oponach zupełnie pozbawionych powietrza. Nie ulegało wątpliwości, że to zbrodnicza ręka Don Pedra poodkręcała zakrętki wentyli.

Napompowanie opon zajęło wiele czasu. O to tylko chodziło rzekomemu astrologowi z Hiszpanii.

Słońce było wysoko, kiedy samochód wyjechał wreszcie poza bramę oberży i znalazł się na szosie.

— Szczęśliwej drogi — wołał stary Barnaba, podczas gdy Marysia wymachiwała chusteczką i przesyłała Smokowi całusy.

Z drugiej strony Dzikiemj Przełęczy szosa ostrymi zakosami opadała w dolinę. Głęboko na jej dnie srebrzyły się zakola rzeki.

— To Psinka, stanowi ona granicę z krainą Psiogłowców — rzekł doktor, odrywając na chwilę nos od mapy, którą rozłożył na swych kolanach.

Samochód sunął szybko. Smok prowadził go pewną ręką; nie na darmo zyskał swego czasu pierwsze miejsce w rajdzie samochodowym dookoła Grodu Kraka.

W krótkim czasie podróźni znaleźli się nad brzegiem rzeki.

Stała tu tablica opatrzona następującym napisem:

**“Drogi Przyjacielu. Oto dotarłeś do granicy mego księstwa i wkrótce przekroczysz ją, aby wejść na terytorium Krainy Psiogłowców. Jeśli w mym kraju spotkała cię jakaś przykrość — to wybacz nam — i przyjeźdź raz jeszcze, abyśmy mogli naprawić nasze błędy. Szczęśliwej podróży”.**

Pod tym grzecznym tekstem widniał podpis księcia Kraka oraz wizerunek jego Wielkksiążęcej Pieczęci.

Tablice takie, na rozkaz Kraka, zostały ustawione na wszystkich przejściach granicznych z myślą, aby podróźni opuszczali księstwo w miłym nastroju i dobrym humorze.

— Moi kochani — powiedział Smok. — Oto za chwilę znajdziemy się za granicą. To ostatnia chwila, w której możecie się cofnąć i wrócić do domów. Jeżeli postanowicie wracać — pojedę

dalej sam. Nie chcę was do niczego zmuszać.

— Kochany Smoku — odezwał się słodziutko doktor Koyot — gdybyś nie był moim przyjacielem, dałbym ci w ucho za takie gadanie. Czy ty naprawdę myślisz, że mógłbym cię teraz porzucić?

Doktor Koyot zwrócił wzrok na rzekę, która płynęła wartkim nurtem wśród skał o kolorze marchwi.

— No, ale jak się dostaniemy do Krainy Psiogłowców? Przecież tu nie ma mostu.

Smok uspokoił przyjaciela:

— Zapominasz, że mamy samochód, który może pływać. Teraz go wypróbujemy. Most jest znacznie dalej, z biegiem rzeki; stracilibyśmy zbyt wiele czasu, jadąc ku niemu.

Gdy wszyscy zajęli miejsca w samochodzie, Smok włączył silnik.

Dziwny pojazd wjechał do rzeki i zakołysał się na falach. Płynął obecnie jak najprawdziwsza motorówka, popychany przez śrubę, znajdującą się między tylnymi kołami.

Doktor włożył rękę do wody.

— Zimna. Nie chciałbym teraz wpaść do niej. A mistrz Bartolini dodał:

— I stanowczo za głęboka jak na mój gust.

Po chwili koła dotknęły gruntu i samochód wytoczył się na drugi brzeg. Droga była tu znacznie gorsza, pełna dziur i kamieni. Trzeba było jechać wolniej. Nad rzeką wznosiły się zbocza gór, pokryte mchem i niezwykle mizerną trawką. Jak okiem sięgnąć nie było widać żadnych zabudowań.

— Psiogłowcy żyją w jaskiniach skalnych — wyjaśniał Smok towarzyszom. — Nie budują domów ani tym bardziej miast. To bardzo prymitywne plemię. Żywią się trawą, grzybami i korą z drzew. Nie posiadają literatury ani malarstwa. Technika znajduje się u nich w opłakanym stanie. Jedyne urządzenie techniczne, jakie znają — to wóz na dwóch kołach, zaprzężony w niedźwiedzia lub osła. Odznaczają się jednak zamiłowaniem do rozmyślania na tematy nie związane z życiem praktycznym.

— Czy oni naprawdę mają psie głowy? — zapytał mistrz Bartolini głosem zdradzającym lekki niepokój.

Smok pokiwał głową.

— Oczywiście. Ale to nic groźnego, można się przyzwyczaić. Jedni mają pyski wilczurów, inni pudli, buldogów, dobermanów itp. Podobno najrzadziej widuje się osobniki o charcich głowach. Są to z reguły przedstawiciele arystokracji, uważającej się za coś lepszego od reszty społeczeństwa. Opowiadał mi pewien rycerz, że Psiogłowcy, idąc do walki z wrogiem, wyją, szczekają i jednym słowem robią taki zgiełk, że skóra cierpnie i uszy puchną.

— Czy aby nas nie pogryzą?

— Nie sędzę — odparł Smok. — Dawno już doszli do przekonania, że się ich nie boimy i przestali nas straszyć. A oto i oni.

Samochód zatrzymał się. Na skraju drogi siedziało dwóch mężczyzn odzianych w psie skóry. Jeden z nich podobny był z głowy do owczarka, drugi zaś do jamnika. Byli tak pogrążeni w rozmowie, że nie zauważyli dziwnego pojazdu, który stanął w niewielkiej od nich odległości. Dopiero gdy Smok ryknął im nad uchem, zerwali się z wyrazem ogromnego przerażenia w oczach.

— Witajcie — powiedział Smok. — Nie zrobimy wam nic złego.

Psiogłowcy zatrzymali się, gotowi jednak w każdej chwili do ucieczki.

— Zbliźcie się — zachęcił ich doktor Koyot. — Nic wam nie grozi z naszej strony.

Psiogłowcy podeszli do samochodu.

Dotykali go ostrożnie, głaskali jego lśniące latarnie, zaglądali pod koła. Widocznie pierwszy raz



w życiu widzieli coś podobnego.

Po chwili jeden z nich skłonił się nisko i rzekł:

— Sądząc po waszych obliczach, jesteście obcokrajowcami, udającymi się w daleką podróż.

— Pochodzimy ze sławnego Grodu Kraka.

— W takim razie odznaczacie się mądrością. Smok dumnie wypiął swą pierś i obdarzył

Psiogłowców łaskawym spojrzeniem.

— Cenimy sobie mądrość i wykształcenie.

— W takim razie powiedzcie nam — ciągnął Psiogłowiec podobny do owczarka — ile diabłów może się zmieścić na końcu szpilki?

— Nigdy nie zajmowałem się takimi sprawami — odparł Smok. — Moi przyjaciele również.

— To źle — powiedział Psiogłowiec. — Sprawa jest przecież bardzo ważna. Ja twierdzę, że dziesięciu, zaś mój młody przyjaciel mówi, że tylko dwóch.

— Czy nie macie większych zmartwień?

— Nie.

— W takim razie jesteście szczęśliwi — rzekł Smok. Psiogłowiec gorąco zaprzeczył.

— Bylibyśmy nimi, gdyby się nam udało rozwiązać to zagadnienie.

— A gdybym wam powiedział, że na końcu szpilki mieści się tysiąc pięćset czterdziestu dwóch mieszkańców piekła i zostaje jeszcze miejsce na jedną szesnastą szczupłego diabła?

Psiogłowiec podskoczył z radości jak mały chłopiec, poklepał się dłońmi po udach i krzyknął:

— Byłby to najwspanialszy dzień naszego życia. Na to Smok:

— Przykro mi, ale nic z tego. Szpilki wprawdzie istnieją, ale diabłów nie ma.

Psiogłowiec posmutniał.

— To znaczy, że niepotrzebnie tracimy czas na rozmyślania?

— Obawiam się, że tak.

— W takim razie o czym mamy rozmyślać? Smok zastanowił się przez chwilę.

— Proponuję następujący temat: czy warto tracić czas na bezsensowne rozważania?

— Znakomicie — zawołali obaj Psiogłowcy. — To nie będziemy was dłużej zatrzymywali, tylko rozpoczniemy dyskusję.

Nie tracąc czasu, usiedli na skraju drogi i pograżyli się w rozmowie.

— Jedziemy dalej — rzekł Smok. — Chcę zdążyć na obiad do ich stolicy.

## Rozdział siódmy

### JEZIORO TYSIĄCA NENUFARÓW

Profesor Baltazar Gąbka spojrzął na wodoszczelny zegarek i stwierdził, że jest za dziesięć minut siódma. Należało już wyjść z domu, aby zdążyć na wieczorny koncert żab, zaczynający się o godzinie ósmej. Odsunął więc miednicę z deszczówką, w której moczył nogi, i zajął się przygotowaniami do wyjazdu. Przede wszystkim spakował magnetofon, nie zapominając o zapasie taśm, notatniku i komplecie kolorowych ołówków. Następnie otulił się peleryną, a na głowę włożył swój ulubiony melonik.

Wieczory w Krainie Deszczowców bywają na ogół pogodne. Padające przez cały dzień deszcze ustają przed zachodem słońca, a chmury nikną za horyzontem. Nocne niebo pełne jest gwiazd, mrugających w czystym i chłodnym powietrzu.

Każdy z nas powiedziałby więc, że wieczorem robi się ładnie. Ale Deszczowcom nie podoba się taka odmiana pogody. Stroskanym wzrokiem spoglądają na czyste niebo i mówią: “Znowu pogoda się psuje...” Przed rozpaczą broni ich jednak pewność, że na drugi dzień od wczesnego rana zaczną się mniejsze lub większe opady.

Profesor Baltazar nie był, jak wiemy, Deszczowcem, choć wieloletni pobyt w tym kraju zmienił już nieco jego dawne upodobanie do słonecznej pogody. Ładne wieczory były mu jednak bardzo na rękę, gdyż umożliwiały prowadzenie badań nad różnymi rodzajami żabiego śpiewu. Codziennie wieczorem udawał się kajakiem na Jezioro Tysiąca Nenufarów i ukryty w domu z trzciny nagrywał na taśmie rechotanie oraz kumkanie swych ulubionych płazów. Posiadał już wielki zbiór nagrań, które miały stanowić dodatkowy materiał do jego pracy.

W tym samym czasie kiedy Smok wraz z przyjaciółmi zajechał do oberży “Pod Wesołym Karakonem”, Baltazar Gąbka płynął w kierunku wyspy, na której wznosił się trzciniowy domek.

Zachodzące słońce różowiło wodę jeziora. Wśród trzciny było słychać głosy ptactwa wodnego, udającego się na spoczynek. Profesor odróżniał kwakanie dzikich kaczek, gęganie gęsi oraz cichutkie kwilenie kurek wodnych. Z łąk nad jeziorem dolatywał głos derkacza.

Na spokojnej wodzie jeziora unosiły się kwiaty nenufarów, podobne do gwiazd, które spłynęły z nieba, aby odpocząć przed całonocną wędrówką.

W takich chwilach profesor odczuwał tęsknotę za rodzinnym krajem; nie widział go przecież od dziesięciu lat. Przypominał sobie dom, stojący nad Wisłą, otoczony sadem pełnym jabłoni, grusz i czereśni. Jakże chętnie znalazłby się teraz w gronie przyjaciół, w ciepłej izbie gospody swego brata Hipolita... Jednakże myśl o konieczności uzupełnienia swych studiów nad żabami odsuwała od niego te wspomnienia i zwracała uwagę w innym kierunku.

Wylądowawszy na wyspie, profesor przeniósł magnetofon do trzciniowego domku. Następnie usiadł przy stoliku i rozłożył przed sobą papiery i ołówki.

W miarę zapadania zmroku odzywały się coraz częstsze głosy żab, zamieszkujących bagniska. Na niebo wypłynął księżyc, początkowo podobny do wielkiej pomarańczy, stopniowo zaś nabierający coraz bardziej srebrzystego zabarwienia.

Profesor Gąbka zajął się nagrywaniem żabiego koncertu. Od czasu do czasu notował w zeszycie nasuwające mu się uwagi. Pogrążony w pracy, nie zauważył sylwetki człowieka, który zbliżał się do szałas. Dopiero gdy przybysz stanął na progu i powiedział: “Dobry wieczór, profesorze” — Gąbka uniósł głowę znad notatek i poznał Salamandrusa. Był to dozorca Jeziora Tysiąca Nenufarów. Nazwisko swoje zawdzięczał ów człowiek ubraniu w czarne i żółte łaty, które czyniło go podobnym

do salamandry. Do jego obowiązków należało pilnowanie, aby mieszkańcy stolicy nie łowili żab bez specjalnego zezwolenia. Każdy Deszczowiec musiał bowiem posiadać kartę, uprawniającą go do połowu żab w jeziorze. Pozwolenia takie wydawał urząd, zwany w skrócie ŁOWZABEM[2]

— Co słyhać? — zapytał profesor zgodnie ze zwyczajem mieszkańców Grodu Kraka.

— Żabi koncert — odparł z uśmiechem Salamandrus i usiadł na ławce obok uczonego.

— Ale poza tym?

Salamandrus wyciągnął przed siebie bose stopy o palcach zrosniętych błoną.

— Słyszałem, że dziś rano z Grodu Kraka wyruszyła tajemnicza ekspedycja, której przewodzi Smok Wawelski.

Profesor Gąbka zatrzymał magnetofon i z zainteresowaniem spojrzał na swego gościa.

— Skąd ta wiadomość?

— Z radia. Nadawali w dzienniku południowym.

— Nie słucham radia — powiedział profesor. — Nie mam na to czasu. A dokąd to zmierza owa ekspedycja?

— Tego nie mówili. W każdym razie sprawa jest ciekawa, skoro macza w niej palce Smok Wawelski, znany podróżnik, wynalazca, poeta, dyplomata, ogrodnik itd. Zna go pan chyba?

— Oczywiście — potwierdził Gąbka. — To wielki przyjaciel naszego księcia i jego zaufany doradca. Pewnie chodzi o jakąś ważną misję polityczną. A co u ciebie? Złapałeś dziś kogo?

Salamandrus zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie. Mogłem wprawdzie złapać dwóch młodych ludzi, którzy łowili żaby bez zezwolenia, ale powiem panu w zaufaniu, że mam już dość tej paskudnej roboty. Gdybym ich zaprowadził do Wielkiego Strażnika, mogliby się znaleźć na resztę swego życia w lochach twierdzy Kibi-Kibi.

Profesor Gąbka zadrżał z oburzenia.

— Nie rozumiem, jak można tak surowo karać za niewielkie przestępstwo. To okrutne!

Salamandrus uśmiechnął się gorzko i rzekł:

— Ja też tak uważam, panie profesorze. Ale takie są przepisy wydane przez Największego Deszczowca. Muszę ich przestrzegać, jeśli sam nie chcę się znaleźć w lochach Kibi-Kibi. Ale żal mi ludzi. Dlatego też staram się, żeby mnie z daleka widzieli i mogli na czas zniknąć, zanim ich przyłapię. W tym celu pływam w swej łodzi i śpiewam na głos wszystkie piosenki, jakie tylko znam. Słyszą mnie z daleka i uciekają... Marzę o tym, żeby pójść na emeryturę, ale niestety jestem na to za młody. Mam dopiero dziewięćdziesiąt osiem lat.

Baltazar Gąbka wiedział, że w Krainie Deszczowców trzeba mieć co najmniej trzysta lat, żeby iść na emeryturę, więc nic nie odrzekł, tylko westchnął głęboko. Już dawno doszedł do przekonania, że Największy Deszczowiec rządzi swym państwem srogo i bezlitośnie. Gąbka chętnie by wrócił do swej ojczyzny, gdyby nie zatrzymywały go badania naukowe. Fakt, że od dawna nie dostał ani jednego listu od swego brata Hipolita, wskazywałby na to, że Największy Deszczowiec przejmuje jego korespondencję, chcąc w ten sposób zerwać wszelkie więzy łączące profesora z ojczyzną. Baltazar podejrzewał, że władca Krainy Deszczu pragnie zatrzymać go na zawsze w swym kraju, nie mógł tylko zrozumieć powodów takiego postępowania.

— To jeszcze nie wszystko — powiedział Salamandrus i przysunął się do uczonego. — Gdy dziś w południe byłem na dworze Największego Deszczowca, usłyszałem od naczelnika straży pałacowej, że pańskie badania mają wielkie znaczenie dla wzmocnienia naszej armii.

— To bzdura — zawołał Gąbka — przecież latające żaby nie mają nic wspólnego z wojskiem. Moim celem jest jedynie nauka i nic więcej.

— Wiem o tym — rzekł Salamandrus — ale nasz władca pragnie wykorzystać pańskie badania

dla celów wojennych. Czy pan nie zdaje sobie z tego sprawy?

— Oczywiście, że nie.

— Byłem tego pewny — powiedział dozorca Jeziora Tysiąca Nenufarów. — Pan jest człowiekiem uczciwym. Poza nauką nic dla pana nie istnieje. Całe nieszczęście polega jednak na tym, że są ludzie, którzy chcą *zaprząc* uczonych do służby nie mającej nic wspólnego z dobrem ludzkości.

— Ale cóż mogą mieć z tym wspólnego żaby latające?

— Bardzo wiele, drogi profesorze — powiedział Salamandrus. — Największy Deszczowiec na podstawie pańskich badań chce wyhodować żaby latające tak wielkie, żeby mogły służyć do przerzucenia wojska przez Morze Burzliwe i zaatakowania Grodu Kraka.

Baltazar Gąbka zerwał się z miejsca i krzyknął:

— To straszne! Czy jesteś tego pewien? Salamandrus pokiwał głową.

— Niestety tak. Postanowiłem powiedzieć to panu, żeby zapobiec nieszczęściu. Niech pan stąd ucieka jak najprędzej, błagam pana.

— A więc tak — wołał profesor chodząc wielkimi krokami po chatce. — A więc to tak. Największy Deszczowiec chce zniszczyć mój kraj. Chce uczynić nas niewolnikami, którzy będą musieli na niego pracować. Byłem tak naiwny myśląc, iż chodzi mu tylko o dobro nauki. Ach, co za fajtłapa ze rnnie. I jaki z niego łotr!

Salamandrus położył palec na ustach.

— *Pst.* Niech pan tak nie krzyczy. Jesteśmy tu sami, ale kto nam zaręczy, że jakiś szpieg nie dostał się potajemnie na wyspę? W tym kraju trzeba trzymać język za zębami. To, cośmy tu mówili, wystarczyłoby, żeby nas wrzucić do najgłębszego lochu w Kibi-Kibi.

Ale profesor był tak wzburzony, że nie myślał o zachowaniu ostrożności.

— Teraz wszystko jest dla mnie jasne. Teraz już rozumiem, dlaczego nie dostaję żadnych listów od brata. Ten łotr na pewno niszczy moją korespondencję. A ja już myślałem, że Hipolit zapomniał o mnie i uważa mnie za zmarłego, albo sam już nie żyje...

— Co pan teraz robi, profesorze? — zapytał Salamandrus, kiedy Baltazar Gąbka ochłonął nieco i znów usiadł na ławce.

— Wyjadę stąd jak najprędzej. Nie chcę być narzędziem w rękach tych ludzi.

— To nie będzie łatwe. Zbyt im na panu zależy.

— Powiem im, co o nich myślę — zawołał profesor.

Dozorca Jeziora Tysiąca Nenufarów zaprotestował gorąco:

— Niech pan tego nie robi. To mogłoby tylko narazić pana na uwięzienie.

— Cóż więc mam czynić?

Salamandrus myślał przez chwilę, po czym odezwał się:

— Musi pan postępować tak, żeby nie wzbudzić żadnych podejrzeń. Ale już dziś trzeba zacząć przygotowania do ucieczki. Zrobię, co będzie w mojej mocy, żeby to panu ułatwić. Może pan na mnie Uczyć.

— Drogi Salamandrusie — zawołał Profesor i uściskał go serdecznie. — Jestem ci wdzięczny za to, że otwarłeś mi oczy. Jakież byłem naiwny. Zdawało mi się, że pomoc, jakiej udziela mi Największy Deszczowiec, jest zupełnie bezinteresowna. Możesz być pewny, że wyniki moich badań nigdy nie zostaną ujawnione ludziom, którzy na to nie zasługują.

— O to mi tylko chodziło — szepnął wzruszony Salamandrus. — Wiem, że jest pan człowiekiem szlachetnym i szczerym. Ale o naszej rozmowie nikt się nie może dowiedzieć.

— Będę milczał jak kamień — zapewnił go Baltazar Gąbka. — Dziś jeszcze ukryję moje notatki.

— Radzę włożyć je do metalowej skrzynki i zatopić w takim miejscu jeziora, żeby je pan mógł łatwo znaleźć i zabrać do swojej ojczyzny — powiedział Salamandrus. — Pokażę panu takie miejsce, bo znam jezioro jak własną kieszeń. A teraz żegnam. Spotkamy się pojutrze o tej samej porze, dobrze?

Powiedziawszy to, zniknął wśród trzciny i tylko kołysanie się ich wierzchołków wskazywało na ścieżkę, którą odszedł.

— Wracam do domu — postanowił profesor. — Trzeba wykorzystać noc na uporządkowanie notatek i ukrycie ich w skrzynce.

W pokoju profesora przy ulicy Mokrego Grzyba 77 do wczesnego rana płonęła na biurku lampa nakryta zielonym abażurem.

Baltazar Gąbka rozpoczął potajemne przygotowania do powrotu.

## Rozdział ósmy

### BALTAZAR GĄBKA KUPUJE LANDRYNKI

O godzinie szóstej rano większość zapisków profesora Gąbki była już uporządkowana. Poszczególne pakieciki, obwiązane różowymi wstążeczkami, leżały na biurku, czekając na zapakowanie do blaszanych pudełek. Kłopot polegał na tym, że profesor nie posiadał ani jednego pudełka z blachy. Zamówienie ich w wytwórni mogło się wydać podejrzanym i ściągnąć na profesora uwagę Tajnego Strażnika Krainy Deszczu. Najlepszym wyjściem było zakupienie kilku puszek z landrynkami i użycie ich (oczywiście puszek, a nie landrynek) jako schowków na papiery.

Słońce nie zdążyło jeszcze wstać, gdy na niebo napłynęły chmury, gnane północnym wiatrem. Zrobiło się ciemno i nieprzyjemnie. Po chwili o szyby uderzyły pierwsze krople deszczu. Zaczynał się zwykły dzień w Krainie Deszczowców. Z głośnika popłynęły słowa komunikatu: “Dziś również będziemy się cieszyli wspaniałą pogodą. W ciągu całego dnia przewidziane są ulewne deszcze o największym nasileniu nad stolicą kraju. Poziom wody w rzekach i jeziorach zwiększy się o trzydzieści centymetrów, wilgotność powietrza osiągnie 100%”.

Żeby was pokręciło — pomyślał profesor i ze złością wyłączył radio. — Żeby was pokręciło.

W tej samej chwili przypomniał sobie, że w owym kraju dolegliwości reumatyczne uważane są za oznakę świetnego zdrowia, toteż zmienił swe życzenie i westchnął:

— Żeby was wysuszyło. Żebyście się opalili na brązowo.

Ulżywszy sobie w ten sposób, wypił szklankę herbaty i wyszedł do miasta. Oczywiście nie zapomniał o parasolu. Dzięki niemu już z daleka zwracał uwagę na ulicach Kibi-Kibi. Mieszkańcy stolicy brzydzili się parasolami; zresztą wyrób i sprzedaż tych przedmiotów były surowo zabronione. Jedynie cudzoziemcy mieli prawo publicznie pod nimi paradować.

Po wyjściu z domu profesor skierował się w prawo, aby osiągnąć skrzyżowanie ulicy Mokrego Grzyba z ulicą Bagienną. Stał tam kiosk z gazetami, w którym profesor codziennie zaopatrywał się w dziennik pt. “Mokre Nowiny”. Sprzedawca gazet, pan Zenobiusz Akwadon, już z daleka go spostrzegł i wręczając mu dziennik zapytywał o zdrowie.

— Ach, niedobrze, niedobrze — odparł Gąbka — zaczyna mnie; łupać w kościach.

— To wspaniale! — zawołał pan Akwadon. — A drze pana w mięśniach pleców? Jeszcze nie? Cierpliwości! I to cudowne uczucie z czasem przyjdzie. A gdy panu spuchną stawy rąk i nóg, będziemy mogli rzec, że się pan u nas zadomowił na dobre.

— Dziękuję — powiedział profesor. — Wolałbym nie mieć reumatyzmu. Coraz bardziej tęsknię za słońcem.

Pan Akwadon obejrzał się trwożnie i przyłożył palec do ust.

— Pst! Nie radzę panu wyrażać głośno takich życzeń.

— Jestem obywatelem Grodu Kraka — powiedział Profesor — i nie obawiam się Tajnych Strażników. Gdyby mi się stało coś złego, mój książę wiedziałby, jak się o mnie upomnieć.

Akwadon pokiwał głową z niedowierzaniem.

— Lepiej z nimi nie zadzierać. To niebezpieczne. Mogą pana zamknąć w twierdzy, a oficjalnie ogłosić, że utopił się pan w czasie kąpieli w Jeziorze Tysiąca Nenufarów. Zbyt pana cenię, żebym panu tego życzył.

Gąbka odczuł głębokie wzruszenie.

— Dziękuję. Widzę, że mam tu prawdziwych przyjaciół.

— Oczywiście, że tak — potwierdził Akwadon. — Większość z nas to ludzie porządni, tylko

okropnie zastraszeni przez urzędników Największego Deszczowca.

W tej samej chwili Akwadon, spostrzegłszy zbliżającego się do kiosku obcego człowieka, zmienił temat rozmowy:

— Tak jest, panie profesorze, oto najnowsza gazetka z doskonałymi wiadomościami. U nas są zawsze doskonałe wiadomości. Służę panu, moje uszanowanie...

Profesor uchylił melonika, uśmiechnął się uprzejmie i powędrował ulicą Bagienną. W Kibi-Kibi nie brukowano jezdni ani chodników, ażeby nie pozbawiać obywateli przyjemności brodzenia po błocie i kałużach. Toteż profesor Gąbka zmuszony był do wykonywania dziwacznych skoków, w czasie których wielce pomocny był mu parasol, pozwalający na utrzymywanie równowagi.

W połowie ulicy Bagiennej, w dużym, bardzo wilgotnym domostwie, znajdował się sklep pana Mżawki. Można tu było dostać pierwszorzędne pieczywo, nadzwyczajnie klejące się do zębów, pełne smakowitych zakalców i grudek stęchłej mąki. Chleb i bułki ze sklepu pana Mżawki sływały na całą dzielnicę, podobnie jak gnijące kartofle i buraki oraz biszkopty nasycone wodą morską. Mieszkańcy Kibi-Kibi bardzo chętnie zaopatrywali się w żywność w sklepie przy ulicy Bagiennej; profesor kupował tu jedynie landrynki, które na szczęście były zupełnie takie same, jak w jego rodzinnym mieście. Pan Mżawka miał w sklepie wiele puszek z landrynkami, co — jak wiemy — było bardzo na rękę profesorowi. Na puszkach tych widniały pyzate główki dzieci o jasnych włosach, przewiązanych różowymi kokardkami. Kupiec skłonił się Gąbce i zawołał:

— Witam pana profesora, witam. Czym mogę służyć?

— Poproszę o landrynki.

— Oczywiście dziesięć deka, jak zawsze.

— Nie, dwie puszeki.

Pan Mżawka na znak zdumienia uniósł obie ręce do góry:

— Wielkie nieba, co słyszę. Dwie puszeki?

— Tak — odparł Gąbka trochę zmieszany. — Dwie puszeki. Widzi pan... te landrynki są tak dobre, że postanowiłem mieć je zawsze pod ręką.

Kupiec promieniał zadowoleniem.

— Ogromnie się cieszę, że moje cukierki tak bardzo panu smakują. Gdyby jeszcze zechciał pan kupować u mnie pieczywo... Mam świetny chlebuś i znakomite bułeczki. Niech pan spojrzy: nie trzeszczą nic a nic, a gdy się je naciśnie palcem, kapie z nich najczystsza woda. Rozkosz. Sam smak!

— Dziękuję panu — powiedział profesor grzecznie, gdyż nie lubił nikomu robić przykrości. — Jestem już po śniadaniu.

— A, to co innego. Proszę, oto dwie puszeki landrynek.

— Ile płacę?

— Dwadzieścia zieleńców i trzydzieści pięć błotniaków.

Uczony położył pieniądze na ladzie, a puszeki ulokował w przyniesionej ze sobą siatce.

— Jak postępują pańskie prace? — zagadnął pan Mżawka z przymilnym uśmiechem. Z przyzwyczajenia co chwila kiwał głową jak na powitanie i mamrotał pod nosem: “Czym mogę służyć? Czym mogę słu...?”

— Dziękuję. Nagrywam teraz śpiew żab w Jeziorze Tysiąca Nenufarów.

— Ach, to nadzwyczajne! Fenomenalne! Profesor Gąbka spojrział ze zdziwieniem na kupca, który przewracał oczami tak, że białka łyskały mu jak dwie latareczki.

— Co pana wprawia w takie uniesienie?

— To, że nasze państwo ma zaszczyt gościć tak wielkiego uczonego — odpowiedział pan Mżawka i jeszcze raz uniósł oczy ku wilgotnemu sufitowi swego sklepu.

Ale za ledwie drzwi zamknęły się za profesorem, kupiec korzystając, że w sklepie nie było chwilowo nikogo, skoczył do telefonu, wykręcił numer TUSPO, czyli Tajnego Urzędu Spraw Podejrzanych, i poprosił o naczelnika IV Wydziału, pana Skrzeloptywkę. Otrzymawszy połączenie szepnął do słuchawki.

— Tu mówi agent Mżawka. Numer 556. Przed chwilą profesor Gąbka zakupił u mnie dwie puszkę landrynek. Melduję o tym zadziwiającym fakcie i nadal polecam swoje usługi. Czy posłać Waszej Ekszelencji wodne bułeczki?

— Owszem. Może pan posłać — powiedział łaskawie naczelnik Skrzeloptywka i odłożywszy słuchawkę mruknął do siebie:

— To ciekawe. To naprawdę ciekawe. Po co mu aż dwie puszkę landrynek? Należy to zbadać... A swoją drogą ten Mżawka dobrze wywiązuje się ze swego zadania. Muszę mu podwyższyć szpiegowskie pobory o dwa zieleńce na miesiąc.

Tymczasem profesor Gąbka niczego nie podejrzewając, niósł swoje puszkę w siatce i z ręcznie przeskakiwał przez kałuże. Lało coraz mocniej. Mieszkańcy miasta rozkoszowali się wspaniałą pogodą, brodzili środkiem kałuż, ochlapywali się nawzajem wśród żartów i śmiechów, niektórzy zaś siadali pod rynnami i z wyrazem niewysłowionej błogości na twarzach pozwalali, żeby deszczówka lała się im grubym strumieniem za kołnierze. Jakiś grubas wlaź do beczki z wodą i wystawiwszy z niej samą głowę recytował wiersz narodowego poety, pana Izydora Wodoleja, pt. "Ulewa". Utwór ten zaczynał się od słów znanych już każdemu dziecku chodzącemu do przedszkola:

Chlup, chlup, chlup, Od kołyski aż po grób...

Wtedy profesor Gąbka przypomniał sobie fragment pięknego wiersza pióra Smoka Wawelskiego:

Idę pomalować swe serce słoneczną poźłotą.

Uczony pochylił głowę, aby nikt nie zauważył łez» które wyrwały się mu spod powiek i potoczyły po policzkach. Był to zresztą zbytek przezorności, ponieważ w Kibi-Kibi nikomu nie przyszłoby na myśl, że dorosły i w dodatku bardzo mądry człowiek może płakać na wspomnienie słońca. Każdy Deszczowiec pomyślałby raczej, że są to krople deszczu, które padły na twarz uczonego, mimo dziwnego przedmiotu trzymanego przezeń nad głowę, a zwanego z cudzoziemską "parasolem".



## Rozdział dziewiąty

### PRZERWANY OBIAD

Kiedy zegar wskazał godzinę dwunastą, a z zainstalowanego w amfibii radia rozległ się dźwięk hejnału, Smok zatrzymał samochód i rzekł do swych towarzyszy.

— A teraz pięć minut dla zdrowia.

— Co to znaczy? — zapytali niemal jednocześnie doktor Koyot i mistrz Bartolini.

— To, że zapraszam was na gimnastykę. Mam taki zwyczaj, że w południe wykonuję kilka ćwiczeń zapewniających elastyczność mięśni i młodzieńczy wygląd.

— A jak się to robi? — zapytał kucharz.

Smok wyskoczył na drogę i wykonał kilka przysiadów. Następnie skłonił się dziesięć razy aż do ziemi, a potem obiegł samochód kilka razy dookoła i na zakończenie stanął na rękach, co wywołało szczere okrzyki zachwytu ze strony widzów.

— To szalenie łatwe — zawołał Smok uradowany. — Jeżeli będziecie ćwiczyli się systematycznie, staniecie się tacy, jak ten oto obywatel.

To rzekłszy wycignął z kieszeni okładkę tygodnika "Atleta" i pokazał swym towarzyszom zdjęcie mężczyzny, który z uśmiechem na twarzy przeżył niezwykle rozwinięte mięśnie.

— Ja też tak będę wyglądał? — zapytał z niedowierzaniem kuchmistrz.

Miał dość pokaźny brzusek i ani śladu mięśni, więc w jego głosie drżał smutek i powątpiewanie.

— Oczywiście — zawołał Smok. — Gwarantuję ci" że za pół roku upodobnisz się do tego młodzieńca na okładce.

— W takim razie zgoda — zdecydował się Bartolini i jednym susem przesadził drzwiczki amfibii, ale zaczepiwszy sznurowadłem o klamkę klapnął jak długi na drogę, tuż pod stopy Smoka. Na widok jego boleśnie skrzywionej twarzy obaj przyjaciele wybuchnęli głośnym śmiechem, tym bardziej że zdawali sobie sprawę, iż Bartolini nie poniósł żadnej szkody.

— ŚmieJCie się, śmieJCie — jęczał kucharz masując sobie pośladki. — A ja wam mówię, że za pół roku na okładce "Atlety" będzie moja fotografia. Zobaczycie.

— Życzę ci tego z całego serca — rzekł Smok. — Jeśli tylko cało wrócimy z wyprawy. Jesteśmy w drodze zaledwie drugi dzień, a już byliśmy jeńcami rozbójników i niedoszłymi ofiarami dżemu z muchomorów. Kto wie, co nas jeszcze czeka...

— Obiad — powiedział kucharz.

— Co?

— Czeka nas obiad — wyjaśnił Bartolini. — Już minęło południe.

Tymczasem doktor Koyot rozglądał się dokoła, ale nie dostrzegł nic podejrzanego. Jak okiem sięgnąć roztaczała się równina, tu i ówdzie usiana skałami o fantastycznych kształtach. Okolica była sucha i bezleśna, nie zasłonięte żadną chmurką słońce dotkliwie przypiekało.

Kucharz z trudem wykonał kilka przysiadów i truchcikiem przebiegł kilkanaście metrów. Zasapał się przy tym co niemiara.

— Na dziś chyba dosyć — powiedział czerwony z wysiłku. — Najważniejszy we wszystkim umiar. Mój czcigodny wuj — oby pamięć po nim żyła wiecznie — mawiał, że tylko jedną czynność można spełniać w sposób nieumiarkowany.

— Jaką? — zainteresował się doktor.

— Jedzenie — odparł Bartolini. — I dlatego umarł jako najcięższy obywatel państwa. Jego

trumnę musiało nieść dziesięciu siłaczy, a do karawanu zaprzężnięto dwie pary koni.

— A kim był twój wuj? — zapytał Smok. Bartolini dumnie uniósł głowę.

— Oczywiście, że kucharzem. W moim rodzie wszyscy od początku są kucharzami. Tylko dzięki temu książę Krak nadał mi herb, w którym widnieją dwa skrzyżowane widelce, a pod nimi udziec barani. Ale, ale... czas leci i pora obiadowa mija. Dziś musimy sami się zająć przygotowaniem posiłku.

— Raczej tak — zgodził się Smok. — Już mi burczy w brzuchu.

Bartolini uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Teraz ja pokażę, co umiem. Zrobię taki obiadek, że palce lizać...

Smok usiadł za kierownicą i podjechał pod najbliższą skałę, ustawiając samochód w jej cieniu. Miejsce okazało się nadzwyczaj dogodne, ponieważ spod skały biło źródło o kryształowo czystej i zimnej jak lód wodzie.

Kucharz otworzył jeden z kufrów i wyjął z niego śnieżnej białości czapę — oznakę swego zawodu. Wyglądał w niej ,tak wspaniale, że Smok szybko nastawił aparat i zrobił mu pamiątkowe zdjęcie.

— Nakleję je w moim albumie — powiedział — i podpiszę tak: “Mistrz Bartłomiej Bartolini, herbu dwa widelce i udziec barani, przystępuje do dzieła”.

Doktor Koyot napełnił spirytusem maszynkę i postawił na niej garnek z wodą. Bartolini porozkładał na trawie talerze z najcieńszej porcelany, srebrne widelce i noże, kryształowe kielichy i spodki na kompot.

— Zdaje mi się, że jestem na majówce — powiedział Smok i wyciągnął się wygodnie na trawce. — Za chwilę spożyjemy skromny, ale niewątpliwie smaczny obiadek, a potem utniemy sobie małą drzemkę.

Kucharz krzątał się koło swojej zupy, doktor zabrał się do przystrzygania swej czarnej brody, a Smok podłożył ręce pod głowę i gonił wzrokiem obłoki pasące się jak owce na błękitnej łące nieba.

Po chwili mile zapachy uniosły się w powietrze, — Co tak pachnie? — zapytał Smok, węsząc dokoła swym okazałym nosem.

— Zupa — wyjaśnił z dumą mistrz Bartolini — z grzybów, które własnoręcznie zbierałem w Puszczy Książęcej.

— Mam nadzieję, że nie ma wśród nich muchomorów — rzekł doktor Koyot. — Pytam o to, gdyż moim obowiązkiem jest dbałość o zdrowie naszego kochanego Smoka. No i o swoje własne również...

Bartolini aż pobladł, usłyszawszy słowa lekarza.

— Smoku — zawołał głosem drżącym z oburzeniem — czemu pozwalasz, żeby ten kiepski znachor, ta zakała medycyny, ten trzeciorzędny pomocnik drugorzędnego felczera obrażał mnie, Bartłomieja Bartoliniego, kucharza książąt i królów, posiadacza medali złotych, srebrnych, brązowych, żelaznych i drewnianych!

Smok usiadł.

— Nie kłóćcie się, moi drodzy. To źle wpływa na apetyt.

— On zaczął — zawołał Bartolini i na znak swej niewinności wznosił do góry rękę, uzbrojoną w srebrną chochlę do zupy.

— Nieprawda, to on — zaprotestował doktor i pokazał kucharzowi język.

Smok skrzywił się jak człowiek, który łyknął octu zamiast soku malinowego.

— Moi kochani, zachowujecie się niepoważnie. Nie zapominajcie, że jesteśmy za granicą i że może nas w tej chwili ktoś obserwuje.

Wtedy ze szczytu skały dał się słyszeć dźwięczny i wyraźny głos:

— To prawda. Obserwujemy was od dłuższej chwili i właśnie dochodzimy do przekonania, że jesteście ludźmi obdarzonymi dziwnym poczuciem humoru.

Smok, kucharz i doktor jednocześnie zadarli głowy do góry.

Na skale stało dwóch Psiogłowców, otulonych w białe prześcieradła, które upodabniały ich do Arabów.

— Jesteśmy strażnikami drogi wiodącej do stolicy — wyjaśnił jeden z nich — i właśnie roztrząsamy zagadnienie, czy fakt, że jeden z was pokazał drugiemu język, świadczy o tym, że ten, który pokazał, jest źle wychowany, czy też o tym, że ten, któremu go pokazano, zasłużył sobie istotnie na takie traktowanie...

— Czcigodni mędracy — zawołał Smok — sądzę, że możemy zagadnienie to roztrząsać razem, popijając zupę grzybową. Mam zaszczyt zaprosić was na obiad.

Obaj Psiogłowcy zgrabnie ześlizgnęli się ze skały i stanęli obok rozpostartego na trawie obrusa.

— W naszym kraju nie ma grzybów — powiedział starszy z nich, podobny z twarzy do spaniela — dlatego nigdy jeszcze nie jedliśmy zupy grzybowej.

— A jaka jest wasza ulubiona potrawa? — zapytał Smok, nie zapominając o tym, że musi zebrać jak najwięcej materiałów do planowanej przez siebie książki.

— Kalarepa.

— Kalarepa?

— Tak jest. Surowa. Gryziemy ją od rana do wieczora.

— Gotowana jest znacznie lepsza — powiedział Bartolini.

Psiogłowiec zaprzeczył:

— My wolimy surową. Zresztą nie zapominajcie, że czas zmarnowany na gotowanie kalarepy można zużytkować na rozważania filozoficzne.

— Wiem, wiem — przerwał im Smok. — O diabłach na końcu szpilki...

— Nie tylko — powiedział Psiogłowiec o głowie szkockiego terriera. — Na przykład o powodach, które zmuszają tak zacnych jak wy kawalerów do podróżowania *przez* naszą krainę.

— Jest to wyprawa o charakterze naukowym — wyjaśnił Smok. — Chcemy dotrzeć do Krainy Deszczowców.

— Do samego Kibi-Kibi?

— Tak. Do Kibi-Kibi.

— Ale tam trzeba płynąć przez morze, a wy nie macie statku.

— Mamy samochód, który równie dobrze jedzie po ziemi, jak i pływa po wodzie.

— Cuda, cuda — powtarzali zdumieni Psiogłowcy. — Do samego Kibi-Kibi!

Tymczasem Bartolini zawołał z przejęciem:

— Panowie! Podano do stołu!

Po czym zanurzył w garnku srebrną chochlę i napełnił talerze zupą.

Podczas gdy wszyscy raczyli się smaczkowym wywarem grzybów z Puszczy Książęcej, nad płomieniem ogniska smażyła się polędwica z dzika, również ubitego w tym prastarym lesie.

Zanim jednak biesiadnicy zebrali się do drugiego dania, uwagę ich zwóciły rozpaczliwe krzyki: Ratunku! Pomocy!

## Rozdział dziesiąty

### KTO ZLECIAŁ Z DRZEWA...?

Na wysokiej i stromej skale, tuż pod jej szczytem, jakiś człowiek rozpaczliwie wymachiwał rękami. Nastawiwszy dobrze szkła lornetki, Smok stwierdził, że wisi on nad przepaścią, zaczepiony ubraniem o konar drzewa. Nie było ani chwili do stracenia. Toteż Smok zgarnął wszystkie talerze na trawę, porwał obrus i pognął w kierunku skały, pociągając za sobą resztę towarzyszy. Gdy dobiegli, ujrzeli, że nieszczęśnik wisi na pelerynie, która w każdej chwili groziła rozdarciem się na strzępy.

— Ratunku! Pomocy! — wołał wisielec, nie przestając wymachiwać rękami.

— Chwytajcie obrus! — zakomenderował Smok. — Złapiemy go tak, jak to robią strażacy. Szybko!

Smok, Bartolini, Koyot oraz dwaj Psiogłowcy naciągnęli obrus w miejscu przypuszczalnego upadku wiszącego na drzewie mężczyzny.

— Już nic panu nie grozi — zawołał Smok. — Może pan spadać spokojnie.

— Łatwo powiedzieć, ale trudniej wykonać — krzyknął wisielec. — Nie mogę się odczepić.

— Widocznie jeszcze nie dojrzał — rzekł starszy z Psiogłowców.

— Jeszcze dwa, trzy dni takiej słonecznej pogody, a dojrzeje — odparł na to młodszy.

— Mógłbym ci przyznać rację — rzekł znów starszy Psiogłowiec — gdyby chodziło o jabłko albo nawet o gruszkę. Ale to jest, zdaje się, człowiek. W tym wypadku sprawa bardzo się komplikuje, gdyż, jak ci wiadomo — ludzie dojrzewają znacznie wolniej niż owoce.

— Tak, to bieda — przyznał młodszy. — Tym bardziej, że ów ‘nieszczęśnik nie ma żadnego przyjaciela, który by go zepchnął do przepaści.

— Szlachetni przedstawiciele rodzaju ludzkiego — wołał Człowiek Wiszący Nad Przepaścią — ratujcie mnie, a obsypię was złotem!

— On nas obraża — oburzył się Smok. — Jeszcze nikogo nigdy nie ratowałem dla pieniędzy.

— Będziecie brodzić w złocie po kostki — ryczał Ten Który Jeszcze Nie Dojrzał.

— Za kogo on nas ma? — zdziwił się doktor Koyot.

— Co mówię? — ryczał nieszczęśnik — Nie po kostki, ale po kolana! No, niech stracę, po pas. W złotych pieniądzech. Ponadto ten, który mnie uratuje, otrzyma dodatkową premię w postaci mojego autografu oraz kosmyka mych włosów. Jestem gotów dołożyć nawet trzy znaczki Kraju Kwitnącej Jabłoni, wydane z okazji urodzin księżniczki Mayoliki, oraz wielkanocny numer “Przekroju”!

— Oszalał — powiedział na to Psiogłowiec. — Widocznie strach pomieszał mu w głowie.

— Trzeba, żeby się stał cięższy — rzekł Smok po chwili namysłu. — Inaczej nigdy nie spadnie.

Mała figurka, zawieszona kilkadziesiąt metrów nad ziemią, gwałtownie zamachała nogami.

— Hej, przyjacielu — ryknął Smok, przyłożywszy dłonie do ust — słuchaj, co ci powiem...

— Słucham cię, skarbie najdroższy — odpisnęła figurka.

— Wyobraź sobie, że masz kieszenie pełne kamieni.

— Po co?

— Nie pytaj, tylko zrób tak, jak ci radzę. Po chwili z góry doleciało wołanie:

— Już pomyślałem.

— Hm — powiedział Smok. — Widocznie pomyślałeś o zbyt małej ilości kamieni. Dołącz jeszcze kilka.

— Dołożyłem.

— I nic?

— Nic.

— Ciężko idzie — rzekł Smok zafrasowany. — A więc teraz pomyśl, że jesteś Niezmiernie Ważnym Urzędnikiem.

— Już myślę: jestem Niezmiernie Ważnym Urzędnikiem. Bardzo ważne sprawy są na mej głowie... Och, leczę!

Człowieczek odczepił się od drzewa i runął w dół jak odrzutowiec pikujący na lotnisko. Ciągnąc za sobą strzęp peleryny, uderzył w sam środek obrusa, podskoczył dwa razy do góry i ostatecznie bez szkody dla siebie wylądował na ziemi. Po chwili podniósł się i tocząc niezbyt przytomnie patrzącymi oczyma, powtórzył:

— Jestem Niezmiernie Ważnym Urzędnikiem..

— Witam pana, Don Pedro — powiedział Smok. — Cieszę się, że się panu nic złego nie stało.

— Don Pedro!

— Don Pedro!

Obydwa okrzyki, wydane przez doktor,a i kucharza, zlały się w jedno.

Don Pedro, który poznał swych wczorajszych towarzyszy, wcale nie wyglądał na zachwyconego niespodziewanym spotkaniem. Początkowo zrobił bardzo zdziwioną minę, potem jednak przywołał na twarz serdeczny uśmiech i zawołał z uniesieniem:

— Ach, to wy, kochani panowie. Jakże się cieszę, że się znów znalazłem w tak miłym towarzystwie.

— A może pan ma jeszcze odrobinę dżemu z muchomorów? — zapytał Bartolini ze złośliwym uśmieszkiem — Widzi pan, jesteśmy w trakcie obiadu i chętnie zjedlibyśmy coś słodkiego na deser...

Wtedy Don Pedro padł na kolana przed swymi wybawicielami:

— Zabijcie mnie — zawołał. — Porąbcie na kawałki, posiekajcie na strzępy, przemielcie przez maszynkę do mięsa! Nie jestem godny podać wam ręki. Uratowaliście mi życie, mnie, który chciałem was otruć.

Psiogłowcy spojrzeli na siebie ze zdumieniem.

— Ładny z niego numer — powiedział jeden z nich.

— Niedoszły morderca — dodał drugi.

Don Pedro bił się pięściami w piersi, chcąc okazać, jak bardzo żałuje swego postępku. Smok przystąpił do niego, ujął za łokieć i dźwignął z klęczek.

— W księstwie naszym istnieje przysłowie, które brzmi: "Co było a nie jest, nie pisze się w rejestr". Nie będziemy więc mówili o tym, co było wczoraj. Ale pod jednym warunkiem...

— Z góry zgadzam się na wszystkie warunki.

— Pod warunkiem — ciągnął Smok — że powiesz nam, kim jesteś naprawdę i z czyjego rozkazu chciałeś nas otruć. No i na czyj rozkaz wypuściłeś powietrze z dętek naszego samochodu.

— Jestem wysłannikiem Największego Deszczowca — rzekł Don Pedro. — To on kazał mi was śledzić i w dogodnej chwili usunąć ze świata. Spójrzcie na moje ręce.

Mówiąc to, zerwał rękawice i pokazał zebranych dłonie o palcach zrosniętych fałdzistą błoną.

— Deszczowiec! — zawołali ze zgrozą Psiogłowcy. — Deszczowiec w naszym kraju. Okropność!

Smok ujął się pod boki i spojrział z politowaniem na Don Pedra.

— Gdybym ja był Największym Deszczowcem, — powiedział — wybrałbym na szpiega człowieka o nieco większej inteligencji.

Don Pedro zarumienił się zupełnie jak pomidor, od którego przybrał swoje niby hiszpańskie nazwisko.

— Może nie jestem jednym z najmądrzejszych ludzi na świecie — przyznał skromnie — ale mogę was zapewnić, moi panowie, że potrafię być wdzięczny za ocalenie życia.

— Nie chcemy twego złota — rzekł Smok w imieniu własnym i swych towarzyszy — ale przyrzeknij, że dasz nam spokój i odczepisz się od nas raz na zawsze.

— Panowie — zawołał Don Pedro — jeżeli wrócę z niczym do mego kraju, Największy Deszczowiec okrutnie mnie ukarze. Gotów mnie nawet wysuszyć na proszek.

Smok uśmiechnął się:

— Nie myślisz chyba, że dla twojej przyjemności oddamy ci się w ręce, żebyś nas mógł zaprowadzić przed oblicze Największego Deszczowca...

— Ale muszę mieć dowód, że stoczyłem z wami przerrrrrrażającą walkę — lamentował Don Pedro. — Inaczej mój władca nie uwierzy mi, że wam dokuczałem.

— Twoja podarta peleryna może stanowić ten dowód — rzekł Smok, serdecznie ubawiony kłopotami niefortunnego szpiega. — Ale powiedz nam jeszcze, w jaki sposób zawisnąłeś na tym drzewie?

Don Pedro usiadł na kamieniu i rozpoczął opowieść:

— Jak wiecie, z oberży “Pod Wesołym Karakonem” wyjechałem przed wami. Chciałem po prostu zyskać na czasie, aby móc przygotować nowy zamach.

— To dopiero przyjemniaczek — rzekł doktor i zgrzytnął zębami tak mocno, że Don Pedro podskoczył ze strachu.

— Chętnie bym go nadział na moją szpadę — krzyknął mistrz Bartolini i groźnie błysnął długim różnem.

Don Pedro spojrzał błagalnie na Smoka i z drzeniem w głosie mówił dalej:

— Pojechałem z biegiem rzeki daleko na północ, bo wiedziałem, że w tej okolicy znajduje się most, zresztą bardzo dziurawy.

— To ze względów strategicznych — wtrącił Psiogłowiec. — Żeby wrogom było trudniej przeprawiać się przez niego.

— Jakoś jednak przejechałem na drugą stronę rzeki — opowiadał dalej don Pedro — i zatrzymałem się obok tej przeklętej skały. Tu postanowiłem czekać. Ażeby was z daleka zobaczyć, wydrapałem się na jej wierzchołek, wczołgałem się na to przebrzydłe drzewo i, ukryty w gałęziach, obserwowałem most i drogę. Byłem jednak okropnie śpiący, bo, jak wiecie, mało spałem tej nocy. No i zdrzemnąłem się nad tą bezdenną i przerażającą przepaścią. W czasie snu musiałem się poruszyć i tak doszło do katastrofy. Na szczęście peleryna zaczepiła się o konar drzewa i zawisnąłem wysoko nad ziemią. Nie było sposobu, żeby się z powrotem wczołgać na drzewo i wrócić na skałę. Zacząłem więc wołać o ratunek. I oto los zesłał mi właśnie was. Właśnie was! Co ja teraz pocznę?

Deszczowiec miał wyraz tak żałosny, że nikomu, kto by go nie znał, nie przyszłoby na myśl, że jest to człowiek niebezpieczny i groźny.

— Nie ma złego, co by na dobre nie wyszło — pocieszył go Smok lubiący przysłowia. — Pomyśl sobie, co by było, gdybyśmy się nie zjawili na czas.

— Ach — jęknął Don Pedro. — Wtedy zleciałbym na ziemię i zamieniłbym się w placek. I byłoby wszystko skończone. A skoro ocaliliście mi życie, jestem nieszczęśliwy.

Smok spojrzał zdumiony na Don Pedra i zapytał go łagodnie:

— Czy spadając ze skały nie stuknął się pan w główkę?

— Ja? Na pewno nie.

— Ciekawe — powiedział Smok. — A ja myślałem, że się panu coś w główce poprzestawiało. Jesteś nieszczęśliwy, ponieważ uratowaliśmy ci życie?

Don Pedro zerwał się na równe nogi.

— Uratowaliście mnie, to prawda. A teraz Największy Deszczowiec wymierzy mi straszną karę za to, że dałem się wam poznać jako jego wysłannik. Wy go nie znacie. To okrutnik.

Smok również dźwignął się z kamienia, na którym siedział. Mrugnął porozumiewawczo na towarzyszy i zwrócił się do Deszczowca:

— Nie ma więc innej rady, tylko trzeba cię z powrotem zawiesić na tym samym drzewie.

Don Pedro zbladł ze strachu.

— Co? Zawiesić? Na drzewie? Czyście oszaleli?

— Raczej nie — odparł Smok grzecznie — ale chcemy, żebyś się przestał obawiać kary. Powiesimy cię na drzewie, pojedziemy w swoją stronę i wszystko będzie po staremu, dobrze?

— Będiesz mógł dalej dojrzewać — rzekł Psiogłowiec.

— Smoku, pozwól, że ja go będę wieszał — prosił Bartolini. — Już ja mu się odplączę za ten dżem z muchomorów...

Dopiero po chwili Don Pedro zrozumiał, że jest przedmiotem żartów i że nie trzeba brać poważnie tych słów. Odetchnął więc i rzekł spokojnym już głosem:

— Było nie było: obiecuję, że się od was odczepię i dam wam spokój. Do kraju na razie nie wrócę, bo Największy Deszczowiec skróciłby mnie o głowę, do której jestem bardzo przywiązany... Ale, jak wiecie, na Morzu Włelorybim znajduje się urocza wysepka Relaksja. Mam tam wygodny domek z ogródkiem. KHmat Relaksji jest rozkoszny: leje od rana do wieczora, zupełnie jak w mojej ojczyźnie. Tam spędzę czas jakiś, aż Największy Deszczowiec zapomni o mojej skromnej osobie i o całej historii z waszą wyprawą. Wtedy dopiero wrócę do kraju i spróbuję znów odzyskać jego łaski. Przez ten czas będę pisał pamiętniki, moczył nogi w wodzie i uprawiał ryż, który jest moim przysmakiem.

— Najlepszy jest ryż ze śmietaną — wtrącił Bartolini i obliznął się.

— Nie — zaprotestował Don Pedro — moim zdaniem nie ma nic lepszego nad ryż ze ślimakami, gotowanymi w morskiej wodzie.

I obliznął się również.

Smok kichnął, wytarł nos w olbrzymią chustkę i powiedział:

— Ja najbardziej lubię grysik z cynamonem. Ale to jest kwestia gustu. Słuchamy cię, mości Pedro, opowiadaj dalej, co będziesz robił na tej Relaksji.

Don Pedro poskrobał się w głowę i zapytał:

— Na czym skończyłem?

— Na ryżu ze ślimakami.

— Aha. Dobrze. To już dość o tych rozkoszach. Jednak na dowód, że jestem wam prawdziwie przychylny, zdradzę hasło, które otwiera drogę do pałacu Tajnego Strażnika Niezwykle Mokrej Pieczęci. Oto ono: "Dudni woda, dudni". Zapamiętajcie je dobrze, bo to bardzo trudne hasło.

Smok parsknął z lekką pogardą:

— Dla nas bardzo łatwe. Odzew brzmi: "W murowanej studni". Czy tak?

Don Pedro był zaskoczony.

— Tak. Dokładnie tak samo. Smoku, jesteś genialny.

— Ależ nie — zaprzeczył Smok — jestem tylko trochę domyślny. Ale my tu gadu-gadu...

— A nie jemy obiadu — dokończył Bartolini. — Przez tego Don Pedra muszę wyjąć z kufra nowy obrus. Tamten jest brudny od jego butów. Też obyczaje: pchać się z butami na obrus.

— Nie gderaj, drogi mistrzu — rzekł na to Smok — tylko daj tę obiecaną pieczeń z dzika. A do pucharów nalej nam wina, które ksiązę Krak sprowadza z krainy zwanej Panonią. Don Pedro i obaj

Psiogłowcy zechcą nam w owej uczcie towarzyszyć...

Po obiedzie całe towarzystwo ułożyło się na trawie w cieniu skały, aby odpocząć przed trudami dalszej podróży.

Smok, zgodnie ze swym zwyczajem, obserwował chmurki płynące po niebie i bawił się ich liczeniem. Doktor Koyot czesał swą kruczoczną brodę, a Bartolini wyjął z kieszeni mały flecik zwany piccolo i jął wygrywać na nim przeróżne melodie. Psiogłowcy toczyli półgłosem dyskusję na temat: dlaczego drzewa rosną korzeniami na dół, a koronami do góry, a nie na odwrót, zaś Don Pedro chrapał w najlepsze, zadowolony z obrotu sprawy i czekających go na Relaksji wywczasów.

Była godzina druga po południu.

O tej samej porze w dalekim Kibi-Kibi Baltazar Gąbka załadował swe notatki oraz taśmy magnetofonowe do puszek po landrynkach. Nałożywszy przykrywkę, zalutował je dokładnie. Chodziło o to, żeby puszki można było zanurzyć do wody bez uszkodzenia cennych materiałów naukowych.

O tej samej także godzinie Największy Deszczowiec przywołał do siebie Tajnego Strażnika Niezwykłe Mokrej Pieczęci i wydał mu następujące polecenie:

— Dziś wieczorem pójdziesz do Baltazara Gąbki i poprosisz go, ażeby zechciał bezzwłocznie mnie odwiedzić. Przywieziesz go do mego pałacu z zachowaniem honorów należnych wielkiemu uczonemu i zostawisz nas samych. Chcę odbyć z nim niezmiernie doniosłą rozmowę. Jej wynik może mieć olbrzymie znaczenie dla dziejów naszej krainy.



## Rozdział jedenasty

### BRAMA SIEDMIU ZŁODZIEI

Baltazar Gąbka schował puszkę z notatkami, do skórzanej torby i zamknąwszy drzwi mieszkania na klucz, wyszedł na ulicę.

Była już pusta i milcząca. Deszcz przestał padać, więc mieszkańcy miasta pochowali się po domach, aby zanurzyć się w wannach, beczkach i baliach napełnionych deszczówką. Gąbka nie spotkał nikogo po drodze do przystani.

Fale jeziora uderzały lekko o pomost, do którego przycumowany był kajak profesora. Cisnąwszy torbę na jego dno, Gąbka usiadł i ujął za wiosło. Po chwili trzciny rozchyliły się z lekkim szelestem i kajak wypłynął na otwarte wody jeziora. Spoza rwących się chmur przeblyskiwała twarz księżycy.

Baltazar wiosłował wytrwale, tak że po upływie kwadransa ujrzał słabe zarysy wyspy. Żaby śpiewały jak zwykle, ale dziś profesor nie zwracał na nie uwagi. Z cichym mlaśnięciem dziób kajaka zarył się w mule pokrywającym brzeg wyspy. Profesor nie wychodząc na ląd, zagwizdał trzykrotnie. Po chwila, z głębi wysepki, nadleciał podobny odzew. Gąbka mruknął do siebie:

— W porządku. Już idzie.

W kilka minut potem zjawił się Salamandrus. Otulony był w ciemną opończę, na nogach miał skórzane sandały.

— Musimy opłynąć Półwysep Gadatliwego Zaskrońca — powiedział szeptem. — Popłyniemy razem.

Zająwszy miejsce w kajaku, Salamandrus odepchnął go od brzegu i skierował między trzciny.

— Ja będę teraz wiosłował — powiedział, biorąc wiosło do rąk profesora. — Znam tu każdy zakręt kanału i każdą kępę trzin.

Półwysep Gadatliwego Zaskrońca wrzynał się głęboko w wody Jeziora Tysiąca Nenufarów. Między nirn a wyspą utworzyła się obszerna zatoka, zwana przez Salamandrusa Zatoką Milczącej Ryby. Wody jej były płytkie, gęsto pokryte liśćmi grzybieni. W oślizgłej plataninie ich łodyg łatwo można było schować obydwie puszkę, pod warunkiem odpowiedniego *zaznaczenia* tego miejsca. Profesor ufał Salamandrusowi w zupełności. Nikt tak jak on nie znał wód jeziora i tajemnic jego bagnistych wybrzeży.

Opłynąwszy cypel półwyspu, porośnięty wysokimi olchami, wpłynęli na spokojne wody zatoki. Kajak z trudem prześlizgiwał się przez gąszcz mięsistych łodyg i liści. Wystraszone żaby milkły jedna po drugiej i uciekały, aby przycupnąć w mule. W pewnym miejscu, nie opodal brzegu, Salamandrus przestał wiosłować i powiedział:

— To tu. Proszę o puszkę.

Baltazar podał mu swój skarb. W tych landrynkowych puszkach mieścił się przecież trud pięciu lat, owoc wyężonej pracy, suma wiedzy o obyczajach żab Krainy Deszczowców.

Dozorca jeziora związał obydwie puszkę mocną linką i powoli opuścił je na dno. Na końcu linki umocował pęcherz rybi, aby oznaczyć miejsce, gdzie zatopiono naukowy dorobek profesora Gąbki. Dokonawszy tego, zwrócił się do Baltazara:

— Jesteśmy dokładnie w odległości pięćdziesięciu dorosłych węgorki od najwyższej olchy na półwyspie. Ażeby znaleźć to miejsce, wystarczy stanąć tuż przy drzewie i spojrzeć na zatokę. Tu, gdzie teraz jesteśmy, rośnie kępa trzin, w dzień bardzo dobrze widoczna. Pęcherz dokładnie wskaże miejsce zatopienia puszek. Niech pan to zapamięta, profesorze, bo może się zdarzyć, że będzie pan musiał sam przyjechać po swoje notatki i sam je odnaleźć.

Baltazar Gąbka był wzruszony. Poczciwy Salamandrus ważył się dla niego na postępek, za który mogła go spotkać okrutna kara. Nie mogąc wymówić ani jednego słowa, chwycił dłoń dozorca i mocno ją uściśnął, wyrażając w ten sposób swe serdeczne podziękowanie.

Salamandrus odwzajemnił uścisk, ale nadal był smutny i małomówny.

— Mów, co ci dolega — prosił profesor. — Może będę ci mógł w czymś pomóc.

— Chyba nie — rzekł dozorca — martwię się, bo czuję, że nasz władca coraz poważniej myśli o wojnie ze wszystkimi sąsiadami.

— Co mówisz? — krzyknął profesor.

— Niestety, to prawda. Dziś znów pod byle pretekstem zaszedłem do pałacu Tajnego Strażnika Niezwykłej Mokrej Pieczęci, aby posłuchać, co mówią jego dworzanie... Dowiedziałem się rzeczy wstrząsających.

— Przerażasz mnie — wyszeptał profesor.

— Czy nie wydawałoby się panu dziwne, gdyby książę Krak kazał pewnego dnia zrobić w całym kraju spis wszystkich krów, owiec, kur i gęsi? I to pod karą śmierci dla każdego, kto by tego rozkazu nie posłuchał?

— Rzeczywiście.

— Otóż dziś Największy Deszczowiec wydał zarządzenie dokonania spisu wszystkich żab, ślimaków, jaszczurek, salamander, traszek, węży, małży, ryb i raków, znajdujących się w naszej krainie.

— W jakim celu?

— Rzecz jasna, że chodzi o przygotowania wojenne. Nadworny kucharz otrzymał rozkaz sporządzenia przepisu na najlepsze zakonserwowanie tych zwierząt dla celów jadalnych. Magazyny wojskowe wypełniają się od dłuższego czasu bronią. Największy Deszczowiec całymi dniami studiuje mapy sąsiednich krajów i ...

— I co?

Dozorca smutno spojrzął na profesora.

— Przykro mi, że muszę to panu powiedzieć. Ale jako pański przyjaciel nie mogę tego zataić. Największy Deszczowiec specjalnie dokładnie studiuje mapy waszego kraju.

— A to łajdak — syknął profesor.

— Zdradziłem panu tajemnicę państwową — wyszeptał Salamandrus, nachylając się do ucha Baltazara Gąbki — ale chciałbym za wszelką cenę popłatać plany tego okrutnika. Wojna jest strasznym nieszczęściem zarówno dla napadniętego, jak i napadającego.

Nagle do uszu ludzi siedzących w kajaku doleciały stłumione odgłosy, przypominające kucie żelaza na olbrzymich kowadłach.

— Słyszysz pan? — zapytał Salamandrus.

— Słyszę. Co to takiego?

— Na północnym krańcu jeziora znajdują się wielkie zakłady zbrojeniowe — wyjaśnił dozorca. — Od szeregu dni słychać z nich odgłosy kucia. Nikt nie wie, co się tam robi. W każdym razie nic dobrego.

Baltazara Gąbkę przebiegł nieprzyjemny dreszcz.

Co ja tu jeszcze robię? — zadał sobie pytanie. Po co tu jeszcze jestem? Powiniennem bezzwłocznie wracać do kraju, aby ostrzec księcia Kraka przed grożącym nam niebezpieczeństwem.

Myśl o księciu Krakusie nasunęła mu przed oczy także postać jego najlepszego przyjaciela — Smoka Wawelskiego. Przypomniał sobie, że poprzedniego dnia Salamandrus mówił mu coś o wyprawie prowadzonej przez Smoka.

— Czy słyszałeś jakieś nowiny o wyprawie Smoka Wawelskiego? — zwrócił się do Salamandrusa.

— Owszem. Dziś wieczorem mówili na dworze, że Smok i jego towarzysze wjechali na terytorium Psiogłowców. Podobno wyprawa ma charakter czysto naukowy.

— Ach — westchnął Baltazar Gąbka — żeby tak zechcieli tu przyjechać. Nie byłbym taki samotny i łatwo mógłbym wraz z nimi wrócić do kraju. Ale w jaki sposób porozumieć się z nimi? Oto pytanie.

I zamyślił się głęboko.

Salamandrus lekkimi ruchami wiosła wyprowadził kajak na środek jeziora, a następnie skierował jego dziób w stronę Xibi-Kibi.

Głuche odgłosy z tajemniczej kuźni towarzyszyły im w tej nocnej wędrówce po czarnych wodach Jeziora Tysiąca Nenufarów.

Baltazar przymknął oczy i począł snuć marzenia o spotkaniu ze Smokiem. Och, jakże by się ucieszył zobaczywszy ten kochany pysk z parą zawsze wesołych i roziskrzonych oczu, te potężne uszy przypominające liście łopianu, ten imponujący ogon pełen ostrych kolców, zawsze zatknięty z fantazją, za pas nabijany mosiężnymi ozdobami. Ile by dał za to, żeby poczuć zapach dymu z fajeczki Smoka i usłyszeć jego ulubione powiedzenie: “Jeszcze jak...” Smok znalazłby radę na wszystko, ponieważ był to stwór pełen niezwykłych pomysłów, odwagi i sprytu. Ale cóż robić? Smok odbywał jakąś wyprawę naukową, zajęty był swoimi sprawami i pewnie dawno już zapomniał o istnieniu Baltazara Gąbki...

Profesor poczuł się więc bardzo samotny, a ponieważ samotność jest nieszczęściem — bardzo nieszczęśliwy. Ale po chwili uniósł głowę i rozjaśnił swe spojrzenie; przecież nie był całkiem samotny, miał bowiem przyjaciół takich jak Salamandrus lub Akwadon. Po prawdzie mógł zresztą liczyć na przyjaźń i pomoc każdego uczciwego Deszczowca, sprzeciwiającego się tyranowi. Deszczowcy — mimo swych wad i śmieszności — byli jednak ludźmi z krwi i kości, a jako tacy zasługiwali przecież i na przyjaźń, i na szacunek.

Dziób kajaka dotknął brzegu jeziora.

Baltazar pożegnał Salamandrusa, przymocował składak do palika na przystani i obejrzawszy się dookoła, czy go kto nie śledzi — skierował się w stronę miasta.

W Bramie Siedmiu Złodziei, stanowiącej jedno z wejść do Kibi-Kibi, czekało na niego siedmiu zamaskowanych ludzi.

W chwili gdy uczony znalazł się w ciemnym przejściu, ludzie ci podbiegli do niego i owinęli mu głowę czarnym szalem. Następnie szybko wepchnęli go do powozu zaprzęgniętego w dwa czarne konie i pomknęli pustymi ulicami stolicy.

Profesor Gąbka pomyślał z rozpaczą:

Jestem aresztowany. Wszystko stracone!

### DECYDUJĄCA ROZMOWA

— Teraz będą Schody — powiedział jeden z mężczyzn prowadzących profesora za rękę.

Baltazar Gąbka liczył stopnie. Było ich aż trzydzieści. Później szli korytarzem, sądząc po odgłosie kroków. W końcu zazgrzytały ciężkie drzwi i profesor znalazł się w jakiejś sali wypełnionej szmerem i pluskiem wody. Powietrze było tu przesycone wilgocią, ale oddychało się lekko, jakby nad morzem.

Czyjaś ręka zerwała opaskę z oczu profesora.

Baltazar ujrzał wielką salę o wysokich i bardzo wąskich oknach. Podłoga była wyłożona złotymi kafelkami, a ściany płytkami z malachitu. Ze stropu, na którym jakiś malarz wymalował (oczywiście farbami wodnymi) wszystkie rodzaje chmur i obłoków — zwieszały się trzy olbrzymie świeczniki, migoczące od brylantów. Większą część sali zajmował basen wypełniony wodą o zielonkawym zabarwieniu.

Profesor od razu zorientował się, że nie jest to zwykła pływalnia, których było wiele w stolicy kraju. Pływalnie przeznaczone dla niezamożnych mieszkańców Kibi-Kibi były znacznie skromniejsze, w wielu wypadkach wyłożone zwykłymi kamieniami i oświetlone łuczywem. Tu zaś bogactwo i przepych przejawiały się w każdym drobnym szczególe. Z ukrytych głośników sączyła się delikatna melodia skrzypiec. Profesor, będący miłośnikiem muzyki, poznał “Pieśń płynącej wody”, skomponowaną przez ojca Hieronima Kropelkę z klasztoru Braci Mokrych, znajdującego się nad brzegiem Jeziora Świętego Karpia. Był to bardzo starożytny klasztor, a jego mieszkańcy słynęli z dzieł muzycznych i literackich, a także z produkcji najlepszej w kraju wody sodowej. W tej chwili jednak profesor nie rozmyślał o klasztorze Braci Mokrych, tylko zwrócił uwagę na człowieka pływającego w basenie i wydającego głośnie okrzyki oraz bulgotania. Było coś szczególnie odrażającego w tej tłustej, bezkształtnej postaci, przyodzianej w szkarłatny strój kąpielowy. Ciało tego osobnika obciążone było ciemnozieloną i śliską skórą pełną brodawek i narośli. Między palcami rąk i nóg zwisały fałdy błony. Najgorsza jednak była głowa owego potworka. W nalanej tłuszczem twarzy migotały czerwone, złośliwe oczka. Spomiędzy grubych i mocno wywiniętych warg wystawały poźółkłe kły. Spiczaste uszy sterczały z czaszki zupełnie pozbawionej włosów. Odrażający potwór połyskiwał łańcuchem kołyszącym mu się na piersiach. Na jego palcach migotały pierścienie wysadzone diamentami, rubinami i szafirami. Woda, w której się z rozkoszą chlapał, pachniała leśnym igliwem.

Na dany znak strażnicy towarzyszący profesorowi zniknęli za drzwiami. Baltazar domyślał się, że osobnik pływający w basenie jest wysokim dostojnikiem państwowym. Takich pomieszczeń do spędzania suchych godzin nocnych nie posiadali zwyczajni obywatele. Uczony chciał właśnie otworzyć usta, aby poskarżyć się na bezczelny napad w Bramie Siedmiu Złodziei, ale nieznajomy uprzedził go i powiedział:

— Witam pana, profesorze. Niech pan usiądzie.

Gąbka poszukał wzrokiem jakiegoś krzesła, ale nic podobnego nie było w całej sali.

— Tu, na schodkach basenu — powiedział nieznajomy. — Może pan sobie wymoczyć nogi, a ja przez ten czas będę zażywał kąpeli. Wy, cudzoziemcy, nie docenicie rozkoszy wiecznego moczenia się w wodzie.

Baltazar usiadł na marmurowym sitopniu, starając się jednak nie zamoczyć nóg. Od pewnego czasu przyswoił sobie wprawdzie zwyczaj moczenia nóg w czasie pracy, od wczoraj jednak, to

znaczy od chwili, gdy dowiedział się, do jakich celów chcą go użyć Deszczowcy, nabrał wstrętu do ich zwyczajów.

— Pewnie pana interesuje moja osoba? — zapytał Deszczowiec.

— Oczywiście — powiedział Gąbka. — Zostaję porwany przez zbójów i zaprowadzony do jakiegoś obcego człowieka, którego przedtem nigdy nie widziały moje oczy. Przyzna pan, że jest to nie tyle dziwne, ile oburzające.

— Niech się pan nie gniewa, profesorze — oni mieli rozkaz przyprowadzenia pana z zachowaniem wszelkich form dobrego wychowania. Ale czego można wymagać od płatnych morderców i szpiegów. Oni już mają taki zwyczaj, trzeba im wybaczyć.

— Proszę mi więc powiedzieć, po co tu zostałem przyprowadzony? Czego pan chce ode mnie i w ogóle kim pan jest? Gotów jestem poskarżyć się Największemu Deszczowcowi na takie traktowanie.

Nieznajomy zarechotał niemiłym śmiechem.

— Ha, ha, ha. Doskonałe. Przecież to ja jestem Największym Deszczowcem.

Gąbka zerwał się na równe nogi.

— Pan? A więc to pan kazał mnie tu sprowadzić?

— A cóż w tym dziwnego? Już pięć lat mieszka pan w moim państwie i jeszcze mnie pan nie widział. Najwyższy więc czas, aby odrobić to rażące zaniedbanie. Mnie nie może oglądać Byle Kto i *pan*, powinien czuć się zaszczycony tym zaproszeniem.

Profesor Gąbka nic na to nie odpowiedział, ponieważ zdał sobie sprawę, że Największy Deszczowiec jest zarozumiałym pyszałkiem, a wiadomo, że rozmawianie z zarozumiałymi pyszałkami nie prowadzi do niczego.

Odrażający potwór dał nurka na dno basenu. Widać go było, jak pełzał po zielonych kafelkach, przypominając wielką ośmiornicę. Po chwili wynurzył się tak blisko profesora, że Gąbka z obrzydzeniem cofnął się o kilka kroków. Deszczowiec wyszczerzył kły i powiedział:

— Moje życzenie jest tutaj najwyższym prawem. Gdyby mi się spodobało, mógłbym pana zamarynować w occie albo ugotować na miękko, hi, hi, hi...

Baltazar odparł powoli:

— Wiem, że może pan to uczynić. Ale w takim razie po co mnie pan zapraszał do swej krainy, zapewniając wszelką pomoc w badaniach nad żabami.

Tyran znów się zatrząsł od chrapliwego śmiechu. Z wielkiej uciechy bił rękami o wodę, aż zapieniła się jak mleko.

— Powiem panu prawdę. Był mi pan potrzebny. To wszystko.

— Do czego?

— Właśnie do badań nad żabami. Nad żabami **latającymi**.

— Dlaczego pana interesują właśnie żaby latające? Największy Deszczowiec spoważniał, wyskoczył na krawędź basenu i zbliżył się do profesora. Gąbka cofnął się, bo oddech władcy cuchnął mułem.

— Nadszedł czas, żeby panu powiedzieć, jaki miałem cel, gdy zapraszałem go do mojego państwa. Po prostu zależy mi na wyhodowaniu żaby latającej, która miałaby co najmniej wielkość konia.

— Konia? — krzyknął zdumiony profesor.

— Tak. Albo nawet słońia.

— Po co wam takie wielkie żaby?

— I to mogę już panu powiedzieć: chcę stworzyć wielką armię żab latających, ha, ha, ha!

— Po co?

— Jaki pan niedomyślny, profesorze. Wie pan przecie, że posiadanie tak wielkiej ilości żab latających dałoby nam możliwość zawojowania wszystkich państw na ziemi. A wtedy ja stałbym się władcą całego świata. Całego świata. Czy pan to pojmuje?

Profesor poczuł dreszcz zgrozy. A więc prawdę mówił poczciwy Salamandrus. Księżtwu Kraka i wszystkim jego sąsiadom groziło śmiertelne niebezpieczeństwo.

— No i co pan na to? — zaskrzeczał potwór.

— Wyhodowanie tak wielkiej żaby latającej jest w zasadzie możliwe — rzekł profesor — ale musiałyby potrwać bardzo długo, może nawet kilka lat. A gdybyśmy chcieli mieć ich bardzo dużo, to wątpię, czy doczekalibyśmy się ich za naszego życia.

Największy Deszczowiec zanurzył się w wodzie, a wypłynąwszy na powierzchnię, powiedział stanowczym głosem:

— Rozkazuję panu przystąpić natychmiast do pracy nad wyhodowaniem żaby, która będzie wielka jak słoń. Żaba taka musi mieć odpowiednio wielkie skrzydła. Ponadto powinna posiadać zdolność żywienia się w locie muchami, ptakami, czy ja zresztą wiem, to pańska sprawa. Daję panu na to miesiąc czasu. Sądzę, że pan zdaje sobie sprawę z tego, że rozkaz musi być wykonany. Za miesiąc muszę mieć chociaż jedną taką żabę — a za pół roku czterdzieści tysięcy. Zrozumiano?

— Ale...

— Żadne “ale”, profesorze. Już dość długo mieszka pan u nas, żeby wiedzieć, że każdy, kto się sprzeciwia mojej woli, źle kończy.

— Jednak muszę coś powiedzieć.

— Słucham. Ale krótko.

— Dobrze. Powiem więc bardzo krótko: nic z tego! Nie zmusi mnie pan do pracy, której wyniki przyniosłyby nieszczęście mojej ojczyźnie i wszystkim ludziom na świecie. Nie będę pomocnikiem w pańskich planach podbicia świata. Nawet małym palcem nie kiwnę, żeby wykonać pański idiotyczny rozkaz. Może mnie pan zamknąć do lochu, proszę bardzo, ale nie zmusi mnie pan do tej ohydnej roboty. Żabami interesuję się jako uczoney. Chcę poznać prawdę. Chcę zbadać warunki życia tych zwierząt. Moja praca ma służyć dobru ludzkości, a nie jej zagładzie. Niech mi pan nie przerywa. *Zaraz skończę.* Otóż powtarzam: nic z tego. Żądam natychmiastowego wypuszczenia mnie i umożliwienia mi powrotu do mojego kraju. Skończyłem.

Największy Deszczowiec aż zaniemówił z wrażenia. Po raz pierwszy ktoś ośmielił się mówić do niego w ten sposób. To było niesłychane. I to kto? Jakiś przybłęda, cudzoziemiec, profesorek od żab i ślimaków...

Opanował się jednak i zapytał jeszcze raz:

— A więc odmawia pan?

Gąbka, czerwony z oburzenia jak pomidor, kiwnął głową.

— Odmawiam. I jeszcze raz żądam wypuszczenia mnie. Chcę wracać do domu.

— W takim razie nie zatrzymuję pana. Ale może się pan jeszcze namyśli. Gdyby się pan zgodził, do końca życia nie wiedziałby pan, co to jest bieda. Miałby pan do dyspozycji wspaniale urządzone pracownie, wielu asystentów i pomocników. Mógłby pan jeździć własnym powozem zaprzężonym w osiem osłów. Nawet w dziesięć... Mógłbym pana zamianować Ministrem Przemysłu Zbrojeniowego. I taką wspaniałą przyszłość chce pan przekreślić jednym nierozważnym słowem. Więc jak?

W ciszy, która zapanowała po ostatnich słowach władcy, rozległ się stanowczy głos profesora:

— Nie.

— W takim razie niech pan będzie uprzejmy opuścić mój pałac. Ale może się pan jeszcze

namyśli?

Baltazar bez słowa skierował się ku drzwiom, przez które go wprowadzono, ale Największy Deszczowiec wstrzymał go ruchem ręki:

— Wyjście jest tam..

Gąbka zawrócił więc posłusznie do wskazanych drzwi w przeciwległej ścianie sali. Otworzyły się same, zanim zdążył nacisnąć złotą klamkę, wykonaną w kształcie jaszczurki. Za ledwie przekroczył malachitowy próg, stracił równowagę, zatrzepotał rękami i runął w głąb ciemnego otworu. Rozległ się głośny chlupot wody, a następnie huk zatrzasnącej się kłapy w podłodze korytarza.

Największy Deszczowiec wybuchnął śmiechem. Z wielkiej radości wywracał w wodzie koziółki i głośno bulgotał. Po chwili wypłynął i zmęczony usiadł na schodkach.

— Mam nadzieję, że pan Gąbka tak nasiąknie do jutra wodą, że zmieni swoje zdanie, ha, ha, ha! Że też człowiek z takim nazwiskiem nie chce zostać Deszczowcem. Ci uczeni to bardzo dziwni ludzie....

## Rozdział trzynasty

### W JASKINI MLEKOPIJA

— Zaiste, wspaniały to był obiad — powiedział z uznaniem Smok, wylizując ozorem resztki bitej śmietany z truskawkami. — Zwłaszcza deser był znakomity.

— I pomyśleć, że ja chciałem otruć tak zacną kompanię — westchnął żałośnie Don Pedro. — Mógłbym przewędrować całą krainę Deszczu, a do tego jeszcze Cynamonie, Miodoncję, Królestwo Włochatego Kokosa, a także słynące z urody ziemie Księstwa Arachidowego — a nie uświadczyłbym tak znakomitej pieczeni z dzika jak ta, która jest dziełem imć Bartłomieja Bartoliniego.

Kuchmistrz poczerwieniał z zadowolenia i poczuł nagły przyływ sympatii do niedawnego przeciwnika. Wobec tego dołożył mu na talerzyk porcję śmietany z truskawkami i poprawiwszy sobie na głowie kucharską czapkę, słuchał pilnie, co mówi Smok.

A Smok, jak zwykle, zadowolony z siebie i całego świata, wyciągnął się wygodnie na trawie, założył nogę na nogę i tak mówił:

— Kiedy byłem małym Smoczkiem, mój tata opowiadał mi dziwy o krainie zwanej Cesarstwem Złotego Smoka. Kraj ten leżał podobno za siedmioma morzami i siedmioma łańcuchami niedostępnych gór. Rządził tam niezwykle mądry smok imieniem Proteusz Pierwszy Wspaniały. Oczywiście kraina ta była zamieszkała wyłącznie przez smoki. W tym czasie smok nie należał do rzadkości, tak jak dziś. Smoki pasły się na łąkach, chodziły po lasach, wygrzewały się na skałach — jednym słowem: co krok — to smok.

— Przepraszam, że przerywam — rzekł Don Pedro — ale szalenie interesuje mnie, czy obecnie na świecie, prócz ciebie, są jeszcze jakieś smoki?

— Wiem tylko o dwóch — powiedział Smok Wawelski. — To znaczy o dwóch prócz mnie. Jeden mieszka podobno w krainie zwanej Daktylią, w której upał wielki przez cały rok panuje, a drugi przebywa tu, na iziemi Psiogłowców, tylko nie wiem dokładnie, w jakim miejscu.

Słyszając to, jeden z Psiogłowców wtrącił się do rozmowy:

— To nawet niedaleko stąd. Prowincja, w której ów smok mieszka, leży na trasie waszej wyprawy. Moglibyśmy was do niego zaprowadzić.

Smok usiadł i klasnął w dłonie z wielkiej radości.

— Znakomicie. Chętnie odwiedzę swego kuzyna. Ach, jakże się cieszę.

I na znak wielkiej radości zrobił trzy koziołki na miękkiej i usianej kwiatami trawie.

— Jeśli skorzystamy z tego dziwnego zwierzęcia, które warczy i trąbi, a zamiast nóg ma to, co nazywacie kołami, będziemy szybko na miejscu — powiedział Psiogłowiec. — Nasz smok mieszka w Górach Pieprzowych, a przecież widać je na horyzoncie, o tam..

I wskazał ręką na łańcuch gór, rysujący się słabo w kierunku południowo-zachodnim.

— Dobrze, dobrze — rzekł doktor Koyot — ale chciałbym wiedzieć, czy to jest smok cywilizowany?

Czy spotkanie z nim jest bezpieczne? Oczywiście kieruje mną wyłącznie troska o naszego drogiego przyjaciela i kierownika wyprawy.

Pytanie to rozbawiło Psiogłowców.

— On? Niebezpieczny? Może mu pan głowę włożyć do pyska, a on nic panu nie zrobi.

— Uczyniłbym to — powiedział poważnie Jekarz — gdybym był pewny, że ów potwór codziennie czyści zęby pastą lub proszkiem. Inaczej — przenigdy!

— Niestety, on nie może czyścić zębów.



— Dlaczego?

— Bo nie ma ani jednego. Wypadły mu ze starości i dlatego jedynym jego pożywieniem jest mleko.

Na te słowa Smok podskoczył z radości:

— Ja też lubię mleko. Jedziemy do niego czym prędzej.

— Codziennie inny góral Psiogłowiec zanoszą mu do jaskini bańkę z pięćdziesięcioma litrami koziego mleka.

— Podoba mi się ten mlekopij — zawołał Smok. — Muszę go poznać. Panowie, nie możemy przecież pojechać w dalszą drogę, nie złożąwszy wizyty mojemu kuzynowi. Sfilmuję go i przeprowadzę z nim wywiad. Może on coś słyszał o naszym profesorze?

Ostrożny, jak zwykle, doktor Koyot pozwolił sobie zauważyć, że dobrze by było, gdyby naprzód do Smoka Mlekopija podszedł ktoś z Psiogłowców.

— On ich zna — tłumaczył towarzyszom. — A na widok obcych ludzi mógłby się zdenerwować i zrobić coś złego. Wprawdzie nie ma zębów, ale wystarczyłoby, żeby pogłaskał kogoś łapą po głowie. A ja mam obowiązek dbać o bezpieczeństwo Smoka Wawelskiego. Przyrzekłem księciu, że nie zaniedbam żadnych środków ostrożności.

Szybko sprzątnięto naczynia i schowano do skrzyni. Smok usiadł za kierownicą, mając przy boku Koyota. Na drugim siedzeniu znaleźli się Bartolini i Don Pedro. Obaj Psiogłowcy wdrapali się na skrzynki i kufry, zajmując tył wozu.

— Wszyscy gotowi? — zapytał Smok.

— Tak jest — odparł Bartolini.

— A więc uwaga: start.

Amfibia wyskoczyła naprzód jak kamień wyrzucony z procy i potoczyła się po drodze. Wiatr szarpał białe togi Psiogłowców, zachwyconych jazdą. Słońce błyskało na masce silnika, wszyscy byli weseli i zadowoleni.

Po godzinnej jeździe podróżni zatrzymali się u stóp Gór Pieprzowych. Tuż nad drogą wznosiły się bardzo strome skały o kolorze pomarańczy. W załomach ich rosły olbrzymie kwiaty przypominające swym wyglądem lilie, 'ale w kolorze niebieskim, srebrnym i ciemnoczerwonym. Kwiaty te wydzielają woń otwartego pudełka z czekoladkami. Jak z tego widać, było to miejsce przyjemne, jeśli nawet nie rozkoszne... Smok mieszkający w tak ładnej okolicy nie mógł być potworem złym i dokuczliwym; to nie ulegało wątpliwości.

Zatrzymawszy samochód, podróżni jęli się naradzać, w jaki sposób odszukać Smoka Mlekopija w labiryncie skał i jaskiń. Byliby zapewne długo rozprawiali na temat naukowych sposobów wywabiania smoków z jaskiń, gdyby nie przypadek, a raczej dość mocno rozwinięty u Don Pedra dar obserwacji. Deszczowiec ów rozglądając się dokoła, zauważył pod jedną z jaskiń coś błyszczącego. Z daleka wyglądało to jak lustro, w którym odbijały się promienie słoneczne. Gdy Don Pedro zwrócił na to uwagę swych towarzyszy.

Smok Wawelski wyciągnął lornetkę i przyłożył ją do oczu.

— Jesteśmy u celu — zawołał po małej chwili. — To jest bańka na mleko.

Wejście do jaskini znajdowało się na zboczu pagórka usianego głazami. Trzeba było zostawić samochód na drodze i podejść pieszo do groty. Na przodzie szli zatem dwaj Psiogłowcy, reszta zaś towarzystwa postępowała w bezpiecznej odległości. Bartolini wyciągnął zza cholewy swój lśniący rożen i kroczył po prawicy Smoka, zapewniając go o swej odwadze, odziedziczonej po sławnych przodkach. Doktor Koyot towarzyszył Smokowi z lewej strony, uzbrojony w braku czegoś lepszego w parasol.

— Wzięłem to na wszelki wypadek — tłumaczył. — Gdyby Mlekopij chciał się na nas rzucić, wtedy szybko otworzę parasol, który zasłoni nas obu, a tymczasem Bartolini zada potworowi cios śmiertelny.

— Jesteście strasznie kochani, że tak dbacie o mnie — rzekł Smok — ale wydaje mi się, że to zbytek ostrożności.

I rzeczywiście — po kilku krokach zauważył wbity w ziemię patyk, do którego przyczepiona była jakaś kartka. Zbliżywszy się, odczytał znajdującą się na niej informację:

**Między dwunastą a drugą po południu nie budzić, bo śpię.**

Nieco dalej znajdowała się druga tabliczka:

**Nudziarzom, krzykaczom i poborcom podatkowym wstęp surowo wzbroniony.**

Wtedy Bartolini pojął, że przedsięwzięte przez niego środki ostrożności są zbyteczne. Schował swą roznospadę do cholewy buta i rzekł:

— To bardzo wesoły jegomość, ten Mlekopij. — Widzę, że ma duże poczucie humoru.

— Co zwykle idzie w parze z łagodnością] charakteru — dodał Smok.

Na, trzeciej tablicy nasi podróżni przeczytali następujący tekst, wypisany drukowanymi literami:

**PRZYPADKOWY PRZECHODNIU! JEŻELI MYŚLISZ, ŻE POCZĘSTUJĘ CIĘ WINEM — JESTEŚ W GRUBYM BŁĘDZIE. I DLA GOŚCI, I DLA SIEBIE MAM WYŁĄCZNIE MLEKO. MOŻE BYĆ KWAŚNE.**

Tymczasem idący przodem Psiogłowcy stanęli już u wejścia do jaskini.

Doktor Koyot zwrócił się do Smoka:

— Zatrzymajmy się jednak. Ostrożność nigdy nie zawadzi.

Jeden z Psiogłowców przystąpił do bańki na mleko i począł tłuc w nią z całej siły kijem. Chwilami przerywał owo przeraźliwe bębnienie, zdolne do obudzenia nie jednego, ale pięćdziesięciu sześciu smoków, a wtedy jego towarzysz wołał ile sił w płucach:

— Ach, jakie dobre mleko. Mniam, mniam, jeszcze nigdy nie piłem tak dobrego mleka.

Doktor poczuł niepokój:

— Smoku, obawiam się, że nasi zacni przewodnicy zwariowali. Może zbyt mocne słońce pomieszało im zmysły? Uważam, że moim obowiązkiem jest wziąć pod uwagę tę możliwość i zastosować odpowiednie środki ostrożności. Może ich zdzielić parasolem po głowach? Ale Smok Wawelski uśmiechnął się dobrotliwie i odparł:

— Jesteś w zbyt gorącej wodzie kąpany, mój doktorku. Sądzę, że dźwięk blaszanej bańki oraz krzyki zachwalające dobry smak mleka mają zachęcić Mlekopija do wyjścia na zewnątrz jaskini.

Jakoż po chwili w otworze grotu ukazał się potężny łeb, z parą niebieskich, silnie mrugających oczu i kłapiącą groźnie paszczą. Nie byłoby w tym jeszcze nic strasznego, ponieważ ogólnie wiadomo, że smoki mają potężne paszcze i bardzo lubią nimi kłapać. Niespodziankę stanowiło jednak ukazanie się dalszych dwóch głów smoka, wyrastających z obu stron szyi. Głowy te ruszały się niezależnie od pierwszej, największej. W ślad za nimi wysunął się z grotu tułów smoka, obciążony lśniąca skórą o kolorze cytryny

— Uciekajmy — wrzasnął Bartolini, zapominając o swej szpadzie. — Uciekajmy, bo nas pożre!

Ale starszy Psiogłowiec uspokoił go ruchem ręki i zawołał:

— Nic podobnego. On tylko ziewa, ponieważ przerwaliśmy mu poobiednią drzemkę.

Mlekopij ziewnął jeszcze trzynaście razy, następnie przetarł oczy łapą z długimi pazurami, wreszcie zapytał:

— Przywieźliście świeże mleko?

— Nie — odparł Psiogłowiec — ale przyprowadziliśmy do ciebie zagranicznych gości, którzy

chcieliby ci złożyć wyrazy szacunku.

— Obcokrajowcy? A z jakiego), kraju?

— Z Grodu Kraka.

— Słyszałem, słyszałem — rzekł Mlekopij. — Ilu Sch jest, bo mam bardzo krótki wzrok i niedowidzę.

— Jest ich trzech, a między nimi słynny Smok Wawelski.

Na te słowa Mlekopij klasnął w łapy:

— Co ja słyszę? Mój kuzyn?

Wtedy Smok Wawelski zbliżył się do Mlekopija i złożywszy mu ukłon, powiedział:

— Jestem szczęśliwy, że mogę poznać króla Gór Pieprzowych.

— Mój kochany — rzekł Mlekopij — przepraszam cię bardzo, ale muszę wrócić do domu po okulary. Zawsze je gdzieś gubię.

Po chwili ukazał się z okularami na nosie. Były to okulary tak wspaniałe, że Smok Wawelski poczuł się pokrzywdzony przez los, iż ma tak dobry wzrok. Mlekopij, przyjrzawszy się swemu gościowi, zawołał z radością w głosie:

— Wykapany tata. Takie same oczy, taki sam pyszczuś. Jakbym widział twojego ojca.

— Znałeś go? — zapytał Smok Wawelski.

— Wcale nie — powiedziała głowa z prawej strony.

— Właśnie, że tak — powiedziała głowa z lewej. Mlekopij smutno pokiwał głową, środkową głową i powiedział:

— Z nimi tak zawsze. Kłócą się stale. Wystarczy, żeby jedna powiedziała, że coś jest białe, to zaraz druga twierdzi, że jest czarne.

— Brak zgodności poglądów w rodzinie, co? — zapytał Smok Wawelski.

— Coś w tym stylu. Siedźcie cicho — rzekł Mlekopij pod adresem swych krnąbrnych głów. — Inaczej wcale nie dostaniecie mleka.

Groźba poskutkowała i Mlekopij mógł spokojnie prowadzić rozmowę ze swym gościem.

— Czy go znałem? Mój kochany, to był najlepszy kolega i przyjaciel mojej młodości. Siedzieliśmy razem w jednej ławce szkolnej. Ja byłem zawsze bardzo słaby w matematyce i twój tata pomagał mi przy odrabianiu zadań. Nie miałem pojęcia o tabliczce mnożenia. Na pytanie, ile jest dwa razy dwa, odpowiadałem, że dwadzieścia dwa, tak, mój drogi. Za to ja sprawdzałem twemu ojcu wypracowania ortograficzne. Potrafił na przykład napisać: “Hszonszcz bźmi f czcinie”, albo: “Sfinja nie ma roguł” Ach, to były rozkoszne czasy.

Korzystając z chwili zadumy Mlekopija, Smok Wawelski przedstawił mu swych przyjaciół. Mlekopij powitał ich uprzejmie i od razu zjednął sobie ich sympatię, gdyż zapytał doktora, czy to on jest autorem znanej książki pt. “Jak jeść, żeby się nie przejeść”, a kucharza, czy to on jest wynalazcą wspaniałej potrawy zwanej: “Kogel-mogel po bretońsku”. Uzyskawszy potwierdzenie, wyraził radość z poznania tak zasłużonych ludzi i zaprosił wszystkich do jaskini na kwaśne mleko.

W jaskini panował miły chłód. Kwaśne mleko bardzo smakowało podróżnym i towarzyszącym im Psiogłowcom. Żeby było jeszcze przyjemniej, Don Pedro poprosił Mlekopija o miednicę z wodą, a otrzymawszy ją, zanurzył w niej bose stopy.

— Zróbcie tak samo — namawiał swych towarzyszy. — To jest cudowne.

Ale doktor Koyot zaprotestował gwałtownie:

— Wykluczone. Nie zgadzam się. Najlepsza droga do kataru. A moim, świętym obowiązkiem jest...

— .....chronić mnie przed katarą — dokończył za niego Smok Wawelski — wiem, wiem, nie

obawiaj się. Nie jestem przecież Deszczowcem.

Na te słowa Mlekopij drgnął i spojrzał badawczo na Don Pedra.

— Czy waść jesteś Deszczowcem? — zapytał.

— Tak.

— Oj, to niedobrze.

— Dlaczego?

— Bo Deszczowcy to źli ludzie — powiedział Mlekopij. — Dopuszcili się ciężkiej zbrodni. Radio Kibi-Kibi podało, że wczoraj wieczorem został aresztowany profesor Baltazar Gąbka, znany uczonek, który przebywał w Krainie Deszczowców, aby badać obyczaje żab latających.

Smok Wawelski poderwał się na równe nogi. To samo uczynili jego towarzysze.

— Czy jesteś tego pewien? — zawołał doktor Koyot.

— Najzupełniej. Właśnie słuchałem radia, kiedy przyszliście do mnie. Mam nawet niezły aparacik na sześciu tranzystorach. Chcecie zobaczyć?

— Oni go wcale nie chcą zobaczyć — powiedziała głowa z lewej strony.

— Właśnie, że chcą — powiedziała głowa z prawej. A Smok Wawelski uderzył się dłonią w czoło:

— Ale tuman ze mnie! Przecież i my mogliśmy słuchać radia Kibi-Kibi na naszym aparacie.

— Mlek opij u — zwrócił się do gościnnego gospodarza jaskini. — Mam do ciebie wielką prośbę. Bądź tak dobry porozmawiać ze mną w cztery oczy. O, przepraszam, raczej w cztery pary oczu. Zapomniałem, że masz trzy głowy...

— Nic nie szkodzi — rzekł grzecznie Mlekopij. — Ja też często o tym zapominam.

— Chciałbym cię o coś zapytać — ciągnął Smok Wawelski.

— Proszę bardzo — rzekł Mlekopij. — Przejdźmy więc do mojej sypialni.

Znalazłszy się w drugiej grocie Smok Wawelski rzekł do Mlekopija:

— Wiadomość, której nam udzieliłeś, jest niezmiernie ważna. Nie zdążyłem ci powiedzieć, że my właśnie jedziemy do Krainy Deszczowców po profesora Gąbkę.

— Ach — zawołał gospodarz — co ty mówisz<sup>7</sup>

— Tak — potwierdził Smok. — Mamy ważną misję do spełnienia: musimy przywieźć profesora do kraju. Podejrzewaliśmy bowiem, że stała mu się jakaś krzywda, albo że sam dobrowolnie przyjął obywatelstwo Krainy Deszczu. Teraz już mamy pewność, że profesorowi grozi ogromne niebezpieczeństwo.

— Nic mu nie grozi — powiedziała prawa głowa.

— Właśnie, że mu grozi, co ty wiesz — zaprzeczyła lewa.

— Nie wtrącajcie się do rozmowy — warknął Mlekopij. — Nikt się was o zdanie nie pyta! Powiedz mi, mój kochany, w jaki sposób chcesz się dostać do Kibi-Kibi? Wiesz chyba, że Kraina Deszczu leży za Morzem Burzliwym, na którym żegluga jest bardzo niebezpieczna.

— Mamy samochód-amfibię przystosowany do pływania.

Mlekopij potrząsnął swą środkową głową, aż mu się okulary przekrzywiły.

— Nic z tego. Taką zabawką nie przepłyniesz morza. Utoniesz zaraz przy brzegu. Trzeba wymyślić coś innego.

— Ale co?

Mlekopij podrapał się pazurem w głowę i mruknął dwa razy “hm, hm”, co u niego oznaczało bardzo głębokie zamyślenie. Po chwili mruknął jeszcze raz “hm”, jako że sprawa była poważna i nie można jej było lekceważyć. W końcu powiedział:

— Trzeba zrobić dużą tratwę i to koniecznie z pni drzewa bo-bo, powiązanych linami z włókien

palmy kokosowej. Tylko taki statek wytrzyma olbrzymie sztormy Morza Burzliwego. Każdy inny pójdzie na dno. Całe szczęście, że Deszczowcy nie rozporządzają drzewem bo-bo ani palmami kokosowymi, bo w przeciwnym wypadku dawno by już przepłynęli przez morze i podbili inne państwa.

Słyszając to Smok Wawelski posmutniał.

— A skąd my weźmiemy potrzebny materiał? Nie mam pojęcia, w jakich stronach świata należy szukać drzewa bo-bo.

Wtedy Mlekopij uśmiechnął się i powiedział:

— Masz szczęście, żeś trafił do mnie. Byłbym ostatnim łobuzem, gdybym nie pomógł synowi mojego najlepszego przyjaciela. Jestem już bardzo stary i z moją pamięcią nie jest już inajlepiej, ale jeszcze dobrze pamiętam, że drzewo bobo rośnie w Kraju Gburowatego Hipopotama.

— A palma kokosowa?

— Na szczęście w tej samej krainie. Mało kto wie o jej istnieniu. Ja też bym nie wiedział, gdybym nie lubił czytać książek podróżniczych. Ale w ciekawym dziele pt. *Dziwy świata* przeczytałem, że Kraj Gburowatego Hipopotama sąsiaduje od południa z Cynamonią.

— No tak — powiedział na to Smok Wawelski — wiem, gdzie leży Cynamonia, ale to jest w zupełnie innym kierunku. Trzeba będzie nadłożyć duży kawał drogi. Czy nie ma innego wyjścia?

Mlekopij zastanawiał się przez chwilę, po czym rzekł:

— Myślę, że nie ma. Jedynym sposobem przepłynięcia Morza Burzliwego jest posiadanie tratwy z drzewa bo-bo. Dla dobra wyprawy musisz się o nią postarać. Przecież zależy ci na uwolnieniu profesora z rąk okrutnego tyra.

— W takim razie musimy jak najszybciej jechać do Krainy Gburowatego Hipopotama — zdecydował Smok. — Nie wolno nam stracić ani dnia. Gąbka jest w ogromnym niebezpieczeństwie. Dokąd teraz mamy się udać?

Mlekopij wyprowadził go przed jaskinię i wskazał ciągnący się na widnokręgu łańcuch niewysokich, ale bardzo skalistych wzgórz:

— To są Wzgórza Papuzie. Trzeba zejść na drugą stronę i stale dążyć na południe. Wkrótce napotkacie plemię Słoneczników. Tam spytacie się o dalszą drogę. Myślę, że za dwa dni staniecie na granicy Cynamonii, a po dalszych dwóch dniach osiągniecie Krainę Gburowatego Hipopotama. Czy macie odpowiedni zapas paliwa?

— Tak. Bardzo duży.

— To dobrze, bo najbliższa stacja benzynowa jest o pięć dni drogi w zupełnie innym kierunku. Musicie liczyć jedynie na własne zapasy.

— Kochany Mlekopij u — powiedział Smok — dziękuję ci w imieniu własnym i moich towarzyszy za miłe przyjęcie, a zwłaszcza za cenne wiadomości. Pozwól jednak, że pożegniam cię jak najszybciej, bo sytuacja jest poważna. Każdy dzień spóźnienia może mieć smutne następstwa. Chciałem przeprowadzić z tobą wywiad, aby zebrać materiały do reportażu z naszej podróży — ale muszę z tego zrezygnować. Nie ma ani chwili do stracenia.

Na pożegnanie Mlekopij uściskał swych gości, nie wyłączając Deszczowca. Szepnął mu jednak ostrzegawczo do ucha:

— Jeżeli zdradzisz Smoka Wawelskiego, będziesz miał ze mną do czynienia. Odszukam cię, choćbym nawet miał się wyrzec picia mleka do końca życia. A wtedy marny twój los...

Don Pedro uderzył się kułakiem w pierś dla zamantamentowania swej wierności i powiedział:

— Wolałbym zamienić się na proszek przeciwko pchłom, niż skrzywdzić dobroczyńców, którzy uratowali mi życie.

— Wierzę ci — powiedział Mlekopij — bo użyłeś najświętszego zaklęcia Deszczowców.

A zwracając się do wszystkich, dodał:

— Życzę wam szczęśliwej podróży i pomyślnego jej wyniku. Jeżeli droga powrotna wypadnie wam koło mojej nory — wstąpcie raz jeszcze do starego Mlekopija, który polubił was serdecznie. Kwaśne mleko smakowało?

— Jeszcze jak — odparł Smok.

Jak wiemy, było to jego ulubione powiedzenie.

### TOWARZYSZE NIEDOLI

Wiem, że to brzydko z mojej strony, iż zostawiłem profesora Gąbkę, gdy z wielkim pluskiem wpadł do lochu wypełnionego wodą. Musiałem wam jednak opowiedzieć, co się w tym czasie działo ze Smokiem.

Nie muszę chyba dodawać, że profesor dał sobie radę z wodą. Okazało się zresztą, że sięga mu ona jedynie do szyi. Gdy minęło pierwsze oszołomienie spowodowane upadkiem, przyszedł czas na spokojne rozważenie sytuacji. Gąbka, jako człowiek uczony, starał się zawsze myśleć spokojnie i rzeczowo:

Faktem jest, że wpadłem do lochu, w którym woda sięga mi po szyję. To nie ulega wątpliwości. Z faktu tego wynika, że głowa sterczy nad wodą, to znaczy, że w pełni mogę z niej korzystać. A korzystać z głowy — to znaczy myśleć. A więc rozmyślajmy dalej: Największy Deszczowiec nie chciał mojej zguby. Jego intencją było tylko zastraszenie mnie i nakłonienie do zgody na ohydne propozycje. Jeżeli myślał, że mnie zastraszy — to grubo się pomylił. Wcale się niczego nie boję. A skoro się nie boję, to znaczy, że mogę spokojnie kombinować, jak się z tego mokrego więzienia wydostać — zdecydował profesor.

Powziąwszy to postanowienie, dokonał oględzin lochu. W tym celu obszedł go dookoła, macając ściany na całej wysokości. W jednym rogu odnalazł rurę wodociągową.

Aha — pomyślał — tedy zapewne doprowadzają wodę do lochu.

Nagle błysnęła mu w głowie myśl, że skoro loch można na żądanie zalać wodą, to zapewne można go także w razie potrzeby osuszyć.

Muszę koniecznie znaleźć urządzenie do odprowadzania wody — postanowił profesor i po chwili namysłu doszedł do wniosku, że musi się ono znajdować w pobliżu. Nabrał więc powietrza do płuc i zanurzył się pod wodę, sunąc dłońmi po rurze. Przy samej ziemi namacał duży zawór, przypominający kształtem kierownicę samochodu. — To pewnie tu — pomyślał i wynurzył się, aby nabrać powietrza. Przez chwilę oddychał głęboko, po czym znów zanurkował do dna i spróbował odkręcić zawór.

— Wszystkie śruby na świecie odkręcają się w lewą stronę, a więc do roboty!

Praca wcale nie była łatwa. Gąbka co chwila musiał wystawiać głowę ponad powierzchnię wody w celu zaczerpnięcia powietrza. Mimo kilkakrotnie powtarzanych prób, zawór nie drgnął ani na milimetr. Dopiero za dziesiątym razem, w chwili gdy profesor tracił już nadzieję, zawór zaczął się odkręcać.

Brawo — pomyślał Gąbka — Teraz już pójdzie.

Było mu coraz zimniej. Otaczająca go nieprzenikniona ciemność nie przyczyniała się do poprawy samopoczucia. Ale profesor nie należał do ludzi, którzy się szybko zniechęcają. Uporczywie i systematycznie odkręcał zawór milimetr po milimetrze. W pewnej chwili poczuł silny prąd wody, skierowany ku dołowi. W lochu rozległ się szum i bulgot. Profesor wynurzył się na powierzchnię. Był zmęczony i zaspany.

Zdaje się, że woda i odpływa — pomyślał z radością. — Tak, to jasne: teraz sięga mi tylko po piersi... O, a teraz jeszcze niżej.

Szum wody nie ustawał. Poziom jej obniżał się z każdą sekundą. Po chwili Gąbka stał już tylko po kolana w wodzie. Nie upłynęło nawet dziesięć minut, i loch został całkowicie opróżniony. Ostatnie krople ściekały do kanału.

Udało się — pomyślał Baltazar ze wzruszeniem. — Udało się. No dobrze, ale co z tego? Wody wprawdzie nie ma, ale jestem zupełnie mokry, jest mi zimno — i w dalszym ciągu nie wiem, jak się stąd wydostać.

Izba, w której się znajdował, nie była obszerna. Obmacał dokładnie wszystkie jej ściany i z radością stwierdził, że przy jednej z nich znajduje się coś, co przypomina grzejnik. Tak, oczywiście — to był najprawdziwszy kaloryfer. Profesor odkręcił znajdujący się przy nim zawór — i po chwili żeberka ogrzewnika poczęły promieniować miłym ciepłem.

To wspaniale — *i* pomyślał — teraz mogę wysuszyć ubranie.

Nie tracąc ani chwili, rozebrał się i powiesił swą mokrą odzież na grzejniku.

Za godzinę wszystko będzie suche. A ten drab cieszy się pewnie na myśl, że moknę w wodzie po szyję. Zobaczymy jeszcze, kto będzie się cieszył ostatni.

Czekając na wyschnięcie ubrania, profesor wykonał szereg rozgrzewających ćwiczeń gimnastycznych. Odbył nawet bieg dookoła swego więzienia oraz zrobił pięćdziesiąt przysiadów. Wkrótce już mógł się ubrać w suchą i ciepłą odzież.

Właściwie nie jest tak źle, jakby mogło być — pomyślał z zadowoleniem, ponieważ był optymistą, to znaczy człowiekiem, patrzącym na świat przez różowe okulary. — Teraz trzeba pomyśleć, jak się stąd wydostać. Pan Deszczowiec wcale mnie nie pytał, czy chcę tu zamieszkać, toteż ja nie będę go pytać o pozwolenie odejścia stąd.

Niestety, pomieszczenie, w którym się znajdował, nie posiadało okna ani drzwi. Jedyne otwory znajdował się w suficie: to tędy profesor wleciał do lochu. Ale ruchoma kłapa zatrzasnęła się z powrotem, a wskutek panujących w lochu ciemności Gąbka nie mógł jej nawet dostrzec.

— Zaraz, zaraz — mruknął Baltazar — muszę sobie wyobrazić, co by na moim miejscu zrobił Smok Wawelski. On na pewno znalazłby jakąś radę. Pamiętam przecież, jak wydostał się z głębokiej przepaści, do której wpadł podczas polowania. Po prostu spokojnie poczekał aż do nocy, następnie, gdy niebo było już wygwieżdżone, zarzucił koniec swego ogona na dyszel Wielkiego Wozu i podciągnął się do góry. No tak, ale ja nie jestem Smokiem... A co by powiedział w tej sytuacji uczony Gregorius Simonides? Zapewne tak: “Skoro ci nic nie przychodzi do głowy, to skorzystaj z tego i prześpij się”. O, to jest cudowna rada. Tak zrobię.

I profesor/Gąbka ułożył się na betonowej podłodze lochu, tuż przy ciepłym grzejniku. Założywszy ręce pod głowę, zamknął oczy i począł rozmyślać o różnych przyjemnych rzeczach. A więc w pierwszym rzędzie o tym, jak był małym Baltazarkiem i mieszkał w ślicznym domku razem z mamusią i tatusiem. A potem, o tym, jak zimą zjeżdżał na saneczkach ze zboczy wawelskiej góry, tuż w pobliżu Smoczej Jamy... To dopiero była jazda. Zatrzymywał się zawsze przed samym wejściem do Jamy, wystarczająco blisko, aby krzyknąć do jej wnętrza:

— Jak się masz, Smoku?

I zawsze otrzymywał taką samą odpowiedź:

— Mam się dobrze, ja zawsze mam się dobrze, ale jeżeli będziesz mnie tak często budził, to wyjdę i zjem cię.

Potem następowało strasznie srogie warczenie, które miało oznaczać, że Smok się okrrrrroponie gniewa. Wtedy mały Baltazarek uciekał ile sił w nogach, choć prawdę mówiąc wcale się Smoka nie bał, gdyż wiedział, że jest to stwór, który lubi żartować. Po chwili — oczywiście nie zdając sobie z tego sprawy — Baltazar Gąbka zasnął. Śniło mu się, że ma skrzydła i leci, nad polem kwitnących maków. Jest ciepły, pogodny dzień wakacji. Ach, jaka rozkosz unosić się tuż nad ziemią, w zapachu kwiatów, w jasnych promieniach słońca. Wtem jakiś cień zakolysał się nad lecącym Gąbką i zanim profesor zdążył umknąć — zwałił się nań z góry, jak jastrząb atakujący małego ptaszka. Baltazar



poczuł silne uderzenie i głośno krzyknął. W tym samym momencie obudził się i usłyszał swój własny okrzyk. Tuż obok niego gramolił się jakiś człowiek, stękając boleśnie:

— Oj, moja noga, moje kości!

Profesor, tak brutalnie wyrwany ze snu, usiadł na ziemi i zawołał:

— Co się dzieje? Kto tu jest?

Coś, co spadło na niego, jęknęło znów boleśnie:

— Przepraszam pana, ale to nie moja wina. Zaproszono mnie do wyjścia przez drzwi, za którymi znajdowała się ruchoma kłapa. Oj, moje żeberka, oj, moje łokcie!

Baltazar Gąbka zadrżał, słysząc ‘dobrze znajomy głos.

— Kim pan jest? — zapytał i wyciągnął rękę, aby dotknąć niewidocznego w ciemności przybysza.

— Jestem dozorcą Jeziora Tysiąca Nenufarów — wyjąkał ten, który przerwał Gąbce miłe loty.

— Nazywam się Salamandrus.

— Witam cię, Salamandrusie — rzekł profesor. — Nie poznajesz mojego głosu? Jestem Baltazar Gąbka...

— Wielkie nieba — krzyknęła ciemność, która przybrała ledwo widoczne zarysy człowieka. — Co ja słyszę? Pan profesor tu, w więzieniu?

— Tak. Niestety — powiedział Gąbka. — Ale skąd ty się tu wzięłeś?

Salamandrus. uściśnął po ciemku dłoń profesora i w przerywanych jękami słowach opowiedział mu dzieje ostatnich godzin. Wezwano go na dwór Tajnego Strażnika Niezwykłe Mokrej Pieczęci i tam poddano przesłuchaniu. Szczególnie interesowano się jego kontaktami z profesorem. Pytano go, co profesor porabiał godzinami na wyspie, co mówił, co pisał. Salamandrus twierdził, że nie ma pojęcia o badaniach profesora, gdyż jest człowiekiem prostym i nieuczonym. Wtedy Tajny Strażnik Niezwykłe Mokrej Pieczęci przywołał dwóch gwardzistów i kazał im odprowadzić go do pałacu Największego Deszczowca. Tu wepchnięto go na korytarz z ruchomą kłapą... Reszta była już wiadoma. Salamandrus wpadł na śpiącego profesora i tylko dlatego umknął śmierci przez rozbicie się na betonie. Byli teraz obydwaj więźniami tyrana.

— Stąd nie ma żadnego wyjścia — powiedział Gąbka. — Musimy czekać, aż nas wyprowadzą. Biedny Salamandrusie, cierpij teraz przeze mnie.

— Ale skądże, panie profesorze. Przecież pan nie jest temu winien, że nasz władca to zły i okrutny szaleniec.

— Pst — syknął profesor. — Lepiej takich *rzeczy* nie mówić. Kto wie, czy nas ktoś nie podsłuchuje. Jakkolwiek by było, jedno jest jasne: jesteśmy uwięzieni. A co będzie dalej?

— Tak. Co będzie dalej? — powtórzył Salamandrus. — Obawiam się, że niewesoło.

— Wesoło czy niewesoło — rzekł Gąbka — ale możemy się jeszcze przespać. Biorąc jednak pod uwagę, że znajdujemy się w państwie rządzone przez tyrana, nie powinniśmy leżeć tuż pod kłapą. (Może się bowiem zdarzyć, iż w czasie naszego snu spadnie na nas nowy mieszkaniec lochu. Na wszelki wypadek połóżmy się w pobliżu ściany.

— Dobranoc — powiedział Salamandrus. — Przy panu stałem się znacznie spokojniejszy.

— Dobranoc, mój drogi — odparł Baltazar. — Pamiętaj, że przed powzięciem jakiegokolwiek ważnej decyzji należy się przespać. Świat byłby znacznie szczęśliwszy, gdyby różni władcy kierowali się tą zasadą.

Po chwili w ciemnym lochu rozległy się miarowe oddechy dwóch śpiących ludzi.

## Rozdział piętnasty

### NA PLACU WAŻNYCH ZEBRAŃ

Król Słoneczko XV obracał się właśnie na plecy, aby się równomiernie opalić, gdy usłyszał głos prezesa rady ministrów:

— Najjaśniejszy panie, zaraz będzie ważny telegram.

— Co powiedziałaś, mój drogi?

— Że nadchodzi ważny telegram.

— Skąd wiesz, że ważny?

— Każdy telegram jest ważny, mój królu i panie — odparł urażony premier.

— No, nie każdy — rzekł król Słoneczko. — Na przykład wczoraj otrzymałem telegram z zawiadomieniem, że w Kraju Deszczowców został uwięziony jakiś profesor Gąbka... Dziwię się, że taka błaża wiadomość mogła się znaleźć w telegramie. A jednocześnie nie otrzymałem wcale depeszy o tym, że słońce zajdzie dziś o trzy minuty później niż wczoraj, a to przecież jest sprawa pierwszorzędnej wagi!

— Królu — powiedział premier — już po raz drugi spoglądam na drogę przez lunetę i oto cóż widzę... Obłok jakowyś się po niej toczy, a w nim wołanie słychać potężne: "Depesza pilna, depesza pilna"!

— Oj oj — skrzywił się król Słoneczko — znowu będę musiał urzędować, a wcale mi się nie chce.

Jakoż po chwili przed bramą drewnianego dworzyszczka zatrzymał się jeździec na spienionym osle i potrząsając trzymanymi w ręce papierkiem jął wołać: "Ważny telegram znad granicy państwa!"

Na te słowa król Słoneczko podskoczył jak oparzony i nie bacząc na swą królewską godność jednym susem przeskoczył przez płot, wyrwijąc telegram z rąk posłańca.

— Znad granicy, powiadasz?

Rozerwawszy opaskę, zbliżył papier do oczu, ponieważ był krótkowidzem.

— Do Najjaśniejszego Króla Słoneczko... Eh, to nie ważne. Co dalej? Aha: donoszę, że w granice naszego państwa wjechał samochód prowadzony przez przerażającego potwora. W samochodzie tym jedzie ponadto trzech tajemniczych osobników o podejrzanym wyglądzie. Na samochodzie napis: "SMOK EXPEDITION", co oznacza: "WYPRAWA SMOKA". Podpisano: major Promyczek, dowódca strażnicy WOP nr 411".

Król cisnął telegram do kosza na śmieci i zwrócił się do premiera:

— Zwołaj asan zebranie Rady Ministrów na godzinę piątą po południu.

Premier pozwolił sobie zauważyć, iż godzina ta jest zbyt wczesna, gdyż nie wszyscy zdążą do tego czasu odbyć obowiązkową kąpiel słoneczną.

— Sprawa jest tak wielkiej wagi, że zezwalam im na wcześniejsze zejście z leżaków — powiedział król Słoneczko. — Spiesz się, bo jest już czwarta dwadzieścia. Ja pójdę się ubrać.

Tymczasem posłaniec, nie schodząc z osła, zaczął lamentować, iż od kilku godzin nie miał nic w ustach prócz krzyku: "Na bok śledzie, poczta jedzie", i że z tego powodu bardzo mu w gardle zaschło.

— Idź do kucharza i każ sobie dać wody z kompotu — powiedział na to prezes rady ministrów. — Może zostało coś z obiadu.

Posłaniec skrzywił się z niesmakiem:

— A nie macie przypadkiem czegoś lepszego? Na przykład piwa?

— Kto pije piwo, ten chodzi krzywo — powiedział premier. — Woda z kompotu dobrze wpływa na samopoczucie i na cerę. Nie mam zresztą czasu z tobą rozmawiać, słyszałeś przecież, co król rozkazał.

To mówiąc włożył lunetę pod pachę i ruszył truchcikiem w kierunku Placu Ważnych Zebrań.

Posłaniec poklepał osiołka po szyi i zamruczał:

— Piwa mi żałują! Dobrze, dobrze! Wobec tego w przyszłych wyborach będę głosował przeciw rządowi.

Osiólek pokiwał łbem, machnął ogonem i zastrzygł uszami, co w osłej mowie mogło oznaczać: “Zgadzam się z tobą w zupełności, ale wcale nie wiem, o- co ci chodzi”. Mogło też oznaczać, co innego. Na przykład: “Strasznie dziś gorąco, jedwab sztuczny należy prać w letniej wodzie, na kolację będą leniwe pierogi”. Z osłami to już tak jest: nigdy nie wiadomo, co mają na myśli i czy to, co mówią, ma jakiś sens.

Posłaniec zaprowadził osiołka do stajni, przywiązał do żłobu i powiedział:

— Poczekaj tu na mnie. Idę po owies i siano. Osioł zdziwił się.

— Czyżbym źle usłyszał? W zupełności wystarczyłby sam owies.

— Głuptasie — powiedział posłaniec. — Nie znasz się na literaturze. Już dawno pewien sławny poeta

napisał: “Osiołkowi w żłoby dano, w jeden owies, w drugi siano”. Widocznie tak musi być. Ty mi nie próbuj zmieniać świata.

Pocziwe zwierzę poskrobało ziemię kopytkiem.

— Tyle już osłów brało się do tej roboty, że jeden więcej wcale nie zaszkodzi. Zresztą nie chce mi się zmieniać świata. Mnie się chce jeść. Konam z głodu.

— Nie rób tego — zawołał przerażony posłaniec. — Jeżeli skonasz, to major Promyczek wsadzi mnie na dziesięć dni do beczki z wodą. A płacząc z żalu po tobie będę jeszcze podwyższał poziom wody w beczce. Wprawdzie przyczynię się przez to do zwiększenia naszej stopy życiowej, bo, jak wiesz, mamy wciąż wody za mało jak na nasze potrzeby — ale też wtrącę swe serce w nieutulony smutek po tobie.

Biedny osioł pomyślał, że jeżeli jego pan będzie przemawiał jeszcze godzinę — śmierć głodowa stanie się przykrą rzeczywistością. Zrobiło się mu bardzo smutno. Z oczu trysnęły łzy.

— To straszne — chlupało oślisko — to straszne, kiedy się ma pana, który lubi tak dużo mówić. Przecież najpiękniejsze przemówienie nie może zastąpić dobrego obiadu. Ach, ileż bym dał za porcję owsa...

Tymczasem premier biegał od ministra do ministra i zawiadamiał ich o posiedzeniu. Dostojnicy — jak jeden mąż — opalali się na specjalnie w tym celu zbudowanych pomostach, aby dać dobry przykład społeczeństwu. W Słoneczi kult słońca stanowił coś w rodzaju panującej religii. Władcy wychowywali naród przy pomocy niezbyt przyjemnych metod. Słońce jest wielkim przyjacielem ludzkości, motorem wszelkiego życia, to prawda. Ale może też być przekleństwem, jeżeli jest go za dużo. Królowie Słoneczi pragnęli uszczęśliwić swój naród, nie pytając go wcale o zgodę. Nie ma nic gorszego nad uszczęśliwianie ludzi wbrew ich woli... Każdy z nas z przyjemnością pogrzeje się na słoneczku — pod warunkiem, że czynność ta będzie trwała tak długo, jak sam zechce. Pomyślcie jednak, co by to było, gdyby kazano wam opalać się przez dwanaście godzin na dobę. Brr... A tymczasem biedni poddani króla Słoneczko musieli wygrzewać się od rana do wieczora. Na jego rozkaz w całym kraju wybudowano setki pomostów drewnianych i zaopatrzono je w znormalizowane leżaki. Produkcja wszelkich zasłon, namiotów, parasoli itp. — została zakazana. Obowiązującym strojem mieszkańców Słoneczi były pływki i kostiumy kąpielowe. Odpoczynek w cieniu traktowany

był jak przestępstwo antyrządowe. Toteż wszyscy obywatele Słoneczi byli wprawdzie wspaniale opaleni, jednak wcale nie uważali się za szczęśliwych. Ponadto panująca w tym kraju susza nie przyczyniała się do piękności krajobrazu. Ziemia pokryta była wyschniętą, mocno szeleszczącą trawą, a wszystkie drzewa można było policzyć na palcach rąk i nóg. Było ich bowiem akurat dwadzieścia. Sterczały ze spękanej ziemi jak czarne kikuty, pozbawione liści i owoców. Kraina zamieszkała przez Słoneczników nie była wielka — pianie dorosłego koguta było słychać na wszystkich jej granicach — toteż policzenie drzew nie stanowiło trudności nawet dla ucznia pierwszej klasy szkoły podstawowej. Ministrowie poczuli się schodzić na Plac Ważnych Zebrań i zajmować miejsca na ławach. Wraz z nimi przybyli dziennikarze wietrzący wielką sensację. W Słoneczi wychodziły tylko dwie gazety. Jedna zwała się “Promyk”, druga zaś “Słonecznik Powszechny”. Redaktorem pierwszej był pan Spirydion Ciepętko, drugiej zaś pan Euforiusz Foton. Obaj naczelni redaktorzy — stale z sobą Skłóćeni i nie lubiący się serdecznie — zajęli miejsca w łoży prasowej. Czterdziestu ośmiu ministrów oraz stu szesnastu ich zastępców usiadło na ławkach rządowych. Wokoło stanęły szeregi królewskich gwardzistów. Były to chłopcy na schwał: jeden w drugiego szczyił się dwoma metrami wzrostu. Gwardziści, ze względu na swój wzrost, uważali się za lepszych obywateli kraju, ponieważ promienie słońca w drodze na ziemię zatrzymywały się na nich nieco wcześniej niż na innych mieszkańcach.

Punktualnie o godzinie siedemnastej zjawił się na placu król Słoneczko. Na jego widok gwardziści wydali gromki okrzyk: — Czołem, królu Słoneczko — połykając jednak połowę zgłosek, tak że zabrzmiało to: “Czoł-król-słon”. Orkiestra, zgromadzona w jednym rogu placu, zagrała hymn państwowy, zaczynający się od słów:

“Słońce świeci, słońce grzeje, słońce praży...” zaś dostojnicy państwowi powstali ze swych miejsc, skandując miarowo:

— Król Sło-necz-ko, król Sło-necz-ko!

Gdy ucichły dźwięki trąb, puzonów, bębnów, czyneli i klarnetów — oraz okrzyki pełnych entuzjazmu ministrów — nad placem zapanowała głęboka cisza. Król Słoneczko wystąpił na podwyższenie i chrząknawszy kilka razy, rozpoczął przemówienie. Zaledwie otworzył usta, aby zawołać: “Najdrożsi moi poddani i wy, najlepsi dostojnicy państwa” — dał się słyszeć warkot silnika i na Plac Ważnych Zebrań zajechał dziwny pojazd, otoczony siną mgiełką spalin. W pojeździe tym siedział niezwykle stwór o dużej głowie, wielkich uszach i nie mniej wielkich oczach. O ile uszy potwora były zielone jak liście palmy, o tyle oczy promieniały intensywnym, błękitem i przypominały dwa niebieskie jeziora o przeczystej wodzie. Potwór miał wydatny nos i usta — jak się to mówi — od ucha do ucha. Obok niego siedział mały człowieczek otulony w zieloną pelerynę, rzucający dookoła niepewne i trwożliwe spojrzenia. Na tylnym siedzeniu widniały dwie postacie, z których jedna zwracała uwagę potężną tuszą, druga zaś kruczoczarną brodą. Otyły człowiek miał na głowie białą czapkę kucharską, brodacz zaś szczyił się stożkowatym nakryciem głowy, pokrytym wizerunkami żab, węży, nietoperzy i jaszczurek.

No cóż, my wiemy, że ów pojazd to była amfibia z dobrze nam znanymi pasażerami. Ale zgromadzeni na Placu Ważnych Zebrań nigdy nie widzieli czegoś podobnego. Toteż nic dziwnego, że wśród ministrów zapanowała panika. Co trwożliwsi poczuli się zrywać z ławek i dawać nurka między gwardzistów. Niektórzy szukali schronienia pod ławkami, inni zaś po prostu zamknęli oczy i ze wstrzymanym oddechem czekali na rozwój strasznych wypadków. Dowódca gwardii, odpowiedzialny za bezpieczeństwo króla i ministrów, zakomenderował pełnym głosem:

— Zlikwidować desant nieprzyjaciela!

Na ten rozkaz gwardziści w mig otoczyli dziwny pojazd, tworząc wokoło niego zwarty mur ze

swych ciał. Król Słoneczko mógł być spokojny o życie. Nic mu już nie groziło.

Smok i jego towarzysze, widząc wokół siebie groźne twarze gwardzistów, poważnie przeleżeli się o całość swych kości. Trzeba było koniecznie coś zrobić, żeby nie dopuścić do jakiegoś nieszczęścia.

Wtedy Smok powoli dźwignął swe cielsko z siedzenia, wyprostował się, wydał pierś i nabrawszy powietrzą w płuca, ryknął pełnym głosem. Ach, jaka szkoda, żeście go wtedy nie słyszeli. Przeszedł samego siebie, jeszcze nigdy nie udało się mu tak wspaniale ryknąć. Gdyby istniała nagroda za najgłośniejszy i najbardziej efektowny ryk — wtedy bez żadnej dyskusji musiałaby przypaść naszemu Smokowi. To był grzmot nadciągającej burzy, warkot tysięcy bębnow, gwizd nurkujących odrzutowców, przeraźliwe dudnienie dywizji czołgów, szum startującej rakiety międzyplanetarnej. To wszystko było tak przerażające, że przez małą chwilę sam twórca owego ryku poczuł coś w rodzaju lęku i zapragnął zerwać się do ucieczki. Ale znacznie wcześniej od niego zerwali się do ucieczki gwardziści królewscy. W ciągu ułamka sekundy pozostał po nich obłok piasku, wzniesiony setkami nóg. W ślad za gwardzistami pierzchli ministrowie, nieco później ich zastępcy. Tylko trzy osoby wytrzymały dzielnie na swych stanowiskach: Król Słoneczko oraz dwaj redaktorzy: Foton i Ciepełko. Pierwszy dlatego, bo nie wypadało mu uciekać. Dwaj pozostali — gdyż zatrzymała ich na miejscu typowa dla dziennikarzy ciekawość. Zarówno Foton jak i Ciepełko pragnęli zdobyć dla swych dzienników jakąś wielką sensację — i oto nadarzyła się do tego wspaniała sposobność. Niespodziewane zjawienie się prawdziwego smoka na zebraniu rządowym — cóż to za gratka dla prasy!

Smok, przerażony efektem swego ryku, usiadł i zrobił niezbyt mądrą minę. Nie spodziewał się, że jego głos wywoła tak wielkie wrażenie na zebranych. W tej samej chwili z obydwu stron samochodu wyrosli dwaj redaktorzy.

— Mistrzu — zawołał pan Ciepełko — Mistrzu. Błagam o dwa słówka dla “Promyka”. Ach, przepraszam, pan nie wie, co to jest “Promyk”. To największy dziennik Słoneczi, ukazujący się w nakładzie osiemdziesięciu egzemplarzy.

W tym jednak momencie rozległ się z drugiej strony głos redaktora Fotona:

— Niech mistrz go nie słucha. Największym dziennikiem Słoneczi jest “Słonecznik Powszechny”, ukazujący się w nakładzie osiemdziesięciu dwóch egzemplarzy.

— Nieprawda — krzyknął Ciepełko. — Drukujecie tylko siedemdziesiąt dziewięć egzemplarzy.

— Tak, przyznaję — rzekł redaktor Foton. — Ale od dziś podwyższamy nakład o trzy egzemplarze ze względu na sensacyjny materiał. Błagam mistrza o dwa słowa dla mojej gazety...

— Dla mojej najpierw — zawołał redaktor Ciepełko.

Widząc, że spór poczyna się zaogniać, Smok uniósł łapę do góry, na znak, że chce przemówić.

— Panowie — powiedział — jestem zaszczycony, iż chcecie przeprowadzić ze mną wywiad. Nie wypada mi jednak rozmawiać z wami, zanim nie złożę uszanowania władcy, którego oto rozpoznaję po wspaniałej koronie, podobnej do słonecznika.

Rzekłszy to Smok opuścił samochód i postąpił w kierunku króla. Władca dzielnie wytrzymał na swym posterunku, choć prawdę mówiąc nogi lekko mu zadrżały na widok kroczącego doń smoka.

— Witam was na mojej ziemi — rzekł król i podał rękę Smokowi. — Przyjechaliście prędzej niż przypuszczałem. Właśnie naradzałem się z ministrami, jak was przyjąć.

— Bardzo nam przykro, że przerwaliśmy Ważne Zebranie — powiedział Smok odwzajemniając uścisk królewskiej dłoni — ale śpieszymy się bardzo i każda minuta jest dla nas cenna.

— Ach, to okropne — rzekł król — wszyscy ciągle się śpieszą. A to przecież tak miło leżeć sobie w słoneczku, opalać się i nic nie robić.

— To bardzo miłe, owszem — odparł Smok — ale wtedy, gdy się nie ma nic ważniejszego do roboty.

Tymczasem na Plac Ważnych Zebrań poczęli napływać ci wszyscy, których wypłoszył ryk Smoka. Szli powoli, na drżących ze strachu nogach, gotowi w każdej chwili do ponownej ucieczki. Wracała też bohaterska gwardia. Na twarzach żołnierzy widniały rumieńce wstydu. Dowódca gwardii wyszedł spod ławki, otrzepał mundur z piasku i stanąwszy przed królem zameldował:

— Najjaśniejszy Panie, gwardia nadaje się znowu do użytku. Przed chwilą wykonaliśmy manewr taktyczny w celu oderwania się od nieprzyjaciela i zajęcia bardziej dogodnych pozycji. Obecnie стоимy znów na pozycjach bojowych. Cześć słońcu, precz z chmurami!

Król łaskawie skinął głową i zwrócił się do Smoka.

— Proszę cię, żebyś zapomniał o tym, co widziałeś. Moja gwardia wykonała tylko zwyczajne ćwiczenie bojowe, przewidziane planem i zgodne z regulaminem.

— Ja nic innego nie myślałem — zapewnił go Smok. — Mogę ci nawet powiedzieć, że manewr ten został wykonany niezwykle błyskawicznie i efektownie. Gdybym nie był sobą, chciałbym, być dowódcą tej Gwardii.

Mówiąc to Smok łypał oczami w kierunku swych przyjaciół dając im do zrozumienia, że bawi się jak na najlepszej komedii.

Król Słoneczko poprawił przekrzywioną koronę i odezwał się uroczystym głosem:

— A więc witam was na mojej ziemi i życzę, aby się wam u mnie dobrze powodziło. Czy macie olejek do opalania?

Smok pomyślał chwilę, po czym odparł:

— Nie. Na pewno' nie mamy.

— To każe was zaopatrzyć w beczkę trzystulitrową.

— To za dużo. Wystarczy mała flaszczyka. Król zmarszczył brwi.

— Nie lubię, gdy mi się ktoś sprzeciwia. Powiedziałem: trzysta litrów i ani kropelki mniej.

Smok wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział. Pomyślał sobie tylko, że w owej Słoneczi dziwne panują zwyczaje w stosunku do gości.

A król ciągnął dalej głosem coraz bardziej surowym:

— Zostaniecie u mnie tak długo, jak to będzie potrzebne.

— Błagam o jedno — powiedział Smok — nie róbcie sobie żadnego kłopotu. Chcielibyśmy się tylko dowiedzieć o najbliższą drogę do Kraju Gburowatego Hipopotama i zaraz odjechać.

Król Słoneczko pokiwał głową przecząco. Nigdy nie mógł pojąć, dlaczego\* wszystkim cudzoziemcom jest tak pilno do opuszczenia granic Słoneczi.

— Nie możecie odjechać — powiedział — dopóki nie ugościmy was tak, jak należy i dopóki nie wypełnimy podstawowych obowiązków wobec każdego, kto przyjeżdża po raz pierwszy do naszego kraju.

— My się ogromnie śpieszymy — rzekł Smok.

— Wiem o tym. Wszyscy wciąż się śpieszą. I dlatego nikt nie jest porządnie opalony.

Smok popatrzył na swych przyjaciół. Ich twarze wyrażały również zdziwienie.

— W tym stanie nie możecie jechać — dodał król z naciskiem.

— W jakim stanie?

Król, zamiast dać odpowiedź, odstał od niego na kilka kroków i przyjrzał się mu dokładnie. Czyniąc to, przekrzywiał głowę na lewo i na prawo, mrużył oczy — jednym słowem zachowywał się dość zagadkowo. — Może jestem powalany — pomyślał Smok — albo nie ogolony? Dlaczego on mi się tak przygląda? Tymczasem władca podszedł do pozostałych pasażerów amfibii i począł się im

przypatrywać z tą samą dozą uwagi i zainteresowania.

Po chwili kiwnął ręką na Prezesa Rady Ministrów.

— Słucham cię, panie.

Król wskazał na Smoka i jego przyjaciół.

— Ile czasu trzeba będzie dla nich?

Premier założył na nos okulary, przyjrzał się gościom i odparł z wahaniem:

— Sądzę, że wystarczy im dziesięć dni.

— Zostaną dwa tygodnie — zdecydował król. — Robota powinna być solidna. Zrób, co do

ciebie należy. Niech magazynier wyda za pokwitowaniem trzystulitrową beczkę olejku.

Podczas gdy Prezes Rady Ministrów wycofywał się wśród głębokich ukłonów, król Słoneczko zwrócił się do Smoka:

— Przez dwa tygodnie będziecie naszymi gośćmi. Tyle czasu trzeba, żebyście się dokładnie opalili. Jesteście zbyt bladzi. W takim stanie nie możecie otrzymać zezwolenia na wyjazd, albowiem pierwszym warunkiem do otrzymania go jest czekoladowy kolor skóry.

— Drogi przyjacielu — rzekł Smok, z trudem hamując zdenerwowanie — zechciej zrozumieć, że nie dysponujemy takim czasem. Nam się bardzo śpieszy. Już raz to mówiłem.

— Moje życzenie jest rozkazem — rzekł król. — Nie znoszę nieposłuszeństwa. Nie wiecie, co was może uszczęśliwić.

— Wiemy — rzekł Smok. — Jak najszybszy wyjazd.

— Mylicie się bardzo. Nie możecie być szczęśliwi, mając tak jasną skórą. Moim obowiązkiem jest was uszczęśliwić i zrobię to, nie pytając nikogo o zgodę.

Smok poczuł, iż łapa poczyna go swędzić. Opanował się jednak i raz jeszcze zapytał głosem nad podziw uprzejmym:

— Czy naprawdę nie będziemy mogli wcześniej opuścić twojego królestwa?

— Pomówimy o tym jutro — rzekł król. — Po zachodzie słońca przerywam urzędowanie.

— Wobec tego przenocujemy na tym placu. Czy możemy rozbić tu namioty?

— Oczywiście — zgodził się król. — Zaraz dostaniecie kolację: ziarna słonecznika, smażone na oleju słonecznikowym. Znakomite. To nasza narodowa potrawa.

W pół godziny po tej rozmowie na Placu Ważnych Zebrań wyrosły dwa namioty — pomarańczowy i niebieski. Tuż przy nich stanęła amfibia, wciąż jeszcze stanowiąca przedmiot wielkiego zainteresowania mieszkańców grodu. Po chwili w powietrzu rozeszła się woń oleju słonecznikowego: to słudzy królewscy, przybrani w żółte kostiumy kąpielowe, nieśli na głowach złote tace z ziarnem.

— Jestem tak głodny — rzekł Don Pedro — że zjadłbym nawet baranią skórę napchaną siarką...

Na te słowa Smok skrzywił się okropnie i jęknął:

— Mój drogi, pamiętaj, żebyś nigdy nie wspominał przy mnie o baraninie z siarką. Strasznie tego nie lubię!

Po kolacji uczestnicy wyprawy umyli się przy studni, przebrali się w barwne pizamy i weszli do namiotów. Smok poszedł spać z doktorem, Don Pedro zaś z kucharzem.

— Możemy spać spokojnie — powiedział Smok do lekarza. — Oni w nocy nie urzędują. A jutro skoro świt zwijamy obóz i jedziemy. Nie odważą się nas zatrzymać. W gruncie rzeczy to marne tchórze. Nie mamy ani chwili do zmarnowania. Profesor Gąbka musi być uratowany!

### OPERACJA “NOC — OSIOŁ”

Spali znakomicie. Tak mocno, że nawet nie słyszeli dźwięku trąb, oznajmiających wschód słońca. A trąby te grały bardzo głośno i długo. Taki był rozkaz królewski. Od tego koncertu wszystkich obywateli Słoneczi strzykało w uszach, ale nie było na to rady. Każdego, kto ośmielał się protestować, twierdząc, że trąby przeszkadzają mu w spaniu, wtrącano do więzienia.

Smok i jego towarzysze zbudzili się dopiero wtedy, gdy zaryczał osioł posłańca. Wynika z tego, iż osioł ryczał jeszcze głośniejsze niż trąby gwardii królewskiej.

— «- Co się tam dzieje? — zapytał Smok, siadając na gumowym materacu.

— Chyba koniec świata — zaniepokoił się doktor Koyot i ostrożnie uniósł płachtę namiotu.

Po chwili cofnął się do wnętrza i rzekł:

— Słońce wschodzi, pogoda ładna, ptaszki śpiewają. To pewnie co innego.

W tym samym momencie ryki się powtórzyły. Każde ryknięcie kończyło się dźwiękiem przypominającym zgrzyt hamulców samochodowych.

— Ach, to osioł — powiedział Smok. — To osioł tak ryczy. Pewnie woła o śniadanie.

Smok miał rację. Osioł domagał się śniadania, które nieodmiennie spożywał tuż po wschodzie słońca. Po chwili ryki ustały; widocznie zwierzę dostało swą porcję owsa i zabrało się do jedzenia.

Jakież było zdumienie Smoka i jego przyjaciół, gdy po wyjściu z namiotów spostrzegli, iż otoczeni są siatką rozpiętą na drewnianych słupach. To było coś, czego się zupełnie nie spodziewali. Zostali podstępnie uwięzieni! Siatka nie pozwalała na opuszczenie małego placu, na którym rozpięli swe namioty i ustawili samochód. Już pierwszy rzut oka na sieć ujawnił, że została spleciona ze stalowych lin, które były tak grube, jak liny używane do cumowania statków w porcie. Zerwanie ich wydawało się niemożliwe.

— Jesteśmy uwięzieni — stwierdził nie bez słuszności mistrz Bartolini. — Co teraz będzie?

— Widocznie król Słoneczko jest sprzymierzeńcem Deszczowców — powiedział Don Pedro.

Ale Smok z niedowierzaniem pokręcił głową.

— Niemożliwe, żeby król Słoneczi był związany sojuszem z Deszczowcami. Ja myślę, że jest on po prostu zbyt gościnnie.

Przypuszczenie Smoka okazało się prawdziwe. W kącie terenu otoczonego siatką stała beczka napełniona olejem słonecznikowym, a na niej leżały cztery pary ciemnych okularów i rulon pergaminu. Smok rozwinął pergamin i przeczytał, co następuje:

“Pragnąc umożliwić wam opalenie się, stwarzani w tym celu dogodne warunki. Oto olej do smarowania skóry oraz okulary chroniące oczy od słońca. Po dwóch tygodniach zwiniemy sieć i wypuścimy was w dalszą drogę. Pożywienie będziecie otrzymywali raz na dzień przez mały otwór w zachodniej stronie klatki. Życzę wam ładnej opalenizny”. Podpisano: Słoneczko Piętnasty, król Słoneczi, Wielki Książę Żyrafii i Małpistanu, Kawaler Orderu Wypłowiałego Sępa oraz pięćdziesięciu ośmiu odznaczeń zagranicznych, Dyplomowany Truciciel Krewnych, Zasłużony Zaklinacz Węzów, Astrolog i Mistrz Czarnej Magii.

— Wydaje mi się, że ta gościnność jest trochę krępująca — rzekł Don Pedro.

— Do licha z taką gościnnością — warknął doktor Koyot. — Niech go gęś kopnie!

— Nic by z tego nie wynikło — uśmiechnął się Smok. — Trzeba pomyśleć, jak się stąd wydostać.

— Widziałeś te liny? Przecież nawet ty ich nie przegryziesz.



— Oczywiście, że nie — przyznał Smok. — Ale pamiętaj, że mam dobre pazury.

— Chyba nie chcesz użyć ich do wspinania się po siatce. Przecież od góry także jesteśmy odratowani. Spójrz tylko...

— Już spojrzałem — rzekł Smok, nie przestając się uśmiechać tajemniczo — ale są jeszcze inne sposoby.

— Jakie?

— Możemy się podkopać.

— Ach — zawołali jednocześnie wszyscy pozostali uczestnicy wyprawy. — To naprawdę genialny pomysł!

— Do tego jednak musi być ciemno — rzekł Smok — podkop musimy wykonać w ciągu nocy, tak żeby uciec jeszcze przed świtem.

— A jeżeli wystawią warty i będą nas pilnować?

— I na to jest rada — powiedział Smok. — Mam pewien plan, tylko muszę porozmawiać z osłem.

— Wstydzilibyś się rozmawiać z osłem — rzekł ze zgorszeniem doktor Koyot.

— Dlaczego? Osły to bardzo miłe zwierzęta. Nie mani pojęcia, dlaczego ludzie mają o nich takie złe wyobrażenie.

— Rób co chcesz, mój drogi — westchnął Koyot — tylko spraw, żebyśmy się stąd jak najszybciej wydostali.

— Przystępujemy więc do akcji — powiedział Smok. — Nasz plan będzie nosił nazwę: “Operacja Noc-Osiół”. A teraz przysuńcie się do mnie, musimy omówić szczegóły.

— Mam pomysł — rzekł Don Pedro. — Posmarujmy się tym olejem, założmy ciemne okulary i udawajmy, że się opalamy. Wtedy dadzą nam spokój. A my będziemy sobie mogli omawiać szczegóły akcji “Noc-Osiół”.

— Chociaż jesteś Deszczowcem, miewasz czasem dobre pomysły — pochwalił go Bartolini. — W ogóle podobasz mi się coraz bardziej.

— Strasznie się cieszę, że ci się podobam — rzekł Deszczowiec. — Ale jeśli o mnie chodzi, cieszyłbym się jeszcze bardziej z jakiejś porządnej ulewy. W tym piekielnym kraju deszcz chyba nigdy nie pada.

Po chwili nasi podróżnicy, wyciągnięci wygodnie na pneumatycznych materacach, wystawili twarze ku słońcu. Na ten widok król Słoneczko, obserwujący ich z okna swego pałacu przy pomocy lunety, przywołał do siebie premiera i rzekł:

— Opalają się. Wszystko w porządku. To jacyś dobrze wychowani obcokrajowcy.

Po czym opuścił swój posterunek przy oknie i dostojnym krokiem udał się do sali obrad, gdzie już czekał na niego cały rząd. Dziś miano uchwalić osiem nowych podatków: od bladych twarzy, piegów, rudych włosów, odstających uszu, zbyt długich nosów, krzywych nóg, zgarbionych pleców i wydatnych brzuchów. Ponadto miano ogłosić rozporządzenie zakazujące używania słowa “księżyc” w prozie, poezji i w dramacie. Odtąd wszyscy poeci opiewający piękno księżycowej nocy mieli się przestawić na opiewanie piękna słonecznego dnia, wszystkie zaś wiersze poświęcone księżycowi, gwiazdom, deszczowi, mgłom i chmurom miały podlegać konfiskacie.

Gdyby osioł posłańca mógł wiedzieć o przygotowywanym rozporządzeniu, niewątpliwie bardzo by posmutniał. Był bowiem wielkim miłośnikiem księżycowych nocy i w pewnym stopniu uważał się za poetę, ponieważ przed kilku laty udało się mu zrymować dwa słowa: “siano” i “kolano”. Wprawdzie nie powstał z tego żaden wiersz, ale tylko dlatego, że osioł nie miał czasu na tworzenie poematów, jako że wciąż był zatrudniony wożeniem swego pana znad granicy do miasta i z

powrotem. Sympatyczny kłapouch nawet nie przypuszczał, jaką rolę przygotowuje dla niego dziwny potwór, który wczoraj przybył do stolicy samochodem... A ów dziwny potwór, leżąc na materacu, tłumaczył swym przyjaciółom szczegóły operacji, mającej na celu ucieczkę ze Słonecji.

— Słuchajcie uważnie — mówił szeptem. — To bardzo ważne. Muszę pogadać z osłem posłańca. Z tym samym, który dziś rano dał taki cudowny koncert. Chodzi o to, żeby osłisko zaczęło swe ryki punktualnie o północy. Do tego czasu wykop musi być gotowy. Gdy osioł zacznie koncert o tak niezwyklej porze, w mieście wybuchnie panika. Pilnujący nas gwardziści skoczą w kierunku skąd będzie słycać ryk — a my tymczasem prześlizgniemy się na drugą stronę siatki. Na zrobienie wykopu mamy tylko trzy godziny czasu. Tunel musi być tak duży, żeby wygodnie można było przeciągnąć amfibię.

— Smoku, jesteś genialny — powiedział Don Pedro. — Ja mógłbym myśleć na ten temat przez trzy dni i nie wymyśliłbym nic podobnego.

— Ma się ten łeb — rzekł Smok, mile połechtany pochlebstwem Don Pedra. — Teraz koniecznie muszą pomówić z osłem.

Powiedziawszy to, dźwignął swe cielsko z materaca i udał się na spacer wokoło siatki. Na szczęście osioł posłańca pasł się bardzo blisko, tak że można go było przywołać. Smok zatrzymał się i zawołał półgłosem:

— Ozdobo tego kraju...

Osioł uniósł łeb znad ziemi i spojrzał w kierunku Smoka.

— Ozy do mnie mówisz?

— Tak. Do ciebie, najpiękniejszego z wszystkich osłów na świecie.

— Och — powiedziało osłisko — jeszcze nikt nie mówił do mnie tak ładnie. Jesteś bardzo miły.

— Zbliź się do siatki — rzekł Smok.

— Rozmowy z obcokrajowcami nie są dobrze widziane w naszym królestwie — rzekł osioł ze strachem. — Jeżeli gwardzista zobaczy, że rozmawiam z tobą, może mnie posłać do rzeźni, gdzie zrobią ze mnie salami.

— A więc udawaj, że się pasiesz tuż koło siatki i nie zwracaj na mnie uwagi. A ja będę śpiewał piosenkę, to chyba mi wolno.

— Dobrze.

Po chwili osłisko poczęło szczypać suchą trawkę tuż przy stalowym ogrodzeniu, zaś Smok, spacerując w pobliżu siatki, nucił coś, co przypominało arię z opery "Straszny dwór", śpiewaną w rytmie charlestona. Osioł nadstawiał uszu — a wiemy, że osły mają co nadstawiać. Plan Smoka wydał się mu dobry, toteż wyraził swą zgodę. W tej samej chwili obaj rozmówcy spostrzegli podchodzącego do siatki gwardzistę.

— Hola — zawołał wojak uzbrojony w sękaty kij — hola, tu nie wolno zbliżać się .osłom!

— Bardzo pana przepraszam — rzekł osioł — ale mam wrażenie, że funkcjonariusza państwowego *zakaz* taki nie obowiązuje.

— Oczywiście, że nie — odparł strażnik.

— No, to w porządku — rzekł osioł — ja jestem osłem państwowym, ponieważ wożę posłańca królewskiego. Zrozumiano?

Gwardzista stanął na baczność i zasalutował.

— Gorąco błagam waszą wysokość o przebaczenie — powiedział drżącym głosem. — Gdybym wiedział, nigdy bym się nie ośmielił...

— Przebaczam wam — rzekł osioł łaskawie. — Możecie odejść.

Gdy strażnik zniknął już z pola widzenia, osioł mrugnął jednym okiem do Smoka i rzekł:

— Z nimi tak trzeba. Z góry. To są tchórze.

— Jestem tego samego zdania — powiedział Smok. — A więc wiesz już, co masz robić?

— Nic się nie bój. Wszystko będzie w porządku. Ale musimy uzgodnić nasze zegarki.

— Na moim jest teraz dziesiąta — rzekł Smok. Osioł podniósł głowę ku niebu i spojrzał na słońce.

— I na moim tak samo. Zgadza się. A więc do widzenia.

— Będziemy ci wdzięczni z całego serca — rzekł Smok. — Przyczynisz się do szybkiego uwolnienia profesora Baltazara Gąbki.

— Nie mam o nim zielonego pojęcia — powiedział osioł — a tę małą przysługę wyrządę wam dlatego, bo nie podobają mi się stosunki panujące w naszym kraju.

Mój pan jest wynagradzany tak podle, że z dnia na dzień staje się coraz chudszy. A nie mogę go namówić do żywienia się trawą.

Po rozmowie ze Smokiem Kłapouch poczuł się nagle Niezmiernie Ważną Osobistością. Chciałbym opisać, jak się czuje Niezmiernie Ważna Osobistość, ale niestety nie mogę, gdyż nigdy taką osobistością nie byłem. I chyba już nie będę[3].

## Rozdział siedemnasty

### OKRUTNY WYROK

Bałtazar Gąbka obróciwszy się na prawy bok, poczuł twardość betonowej podłogi i otworzył oczy. Przez moment poraziła go straszna myśl:

— Oślepiłem! Nic nie Widzę!

Dopiero po chwili uświadomił sobie, że przecież nie znajduje się w swoim mieszkaniu, lecz w lochu, do którego wpadł wczoraj wieczorem, wychodząc z sali tronowej. Tuż obok spał w najlepsze jego serdeczny druh i współnik — Salamandrus. Profesor oczywiście nie widział go, ponieważ loch nie posiadał żadnego okna — lecz słyszał jego równy oddech, świadczący o głębokim śnie.

Tak może spać prawdziwie niewinny człowiek — pomyślał Bałtazar ze wzruszeniem. Zrobiło mu się przykro, że z jego powodu spotkało Salamandrusa tak wielkie nieszczęście. Dozorca Jeziora Tysiąca Nenufarów był jednym z najlepszych ludzi, jakich profesor spotkał w swym życiu.

W tej samej chwili gdzieś niedaleko zgrzytnęły zawiasy drzwi, a nad głowami leżących dały się słyszeć kroki kilku ludzi.

Bałtazar szarpnął Salamandrusa za ramię:

— Zbudź się! Zbudź się zaraz!

Kroki zatrzymały się tuż nad lochem. Po chwili rozległ się trzask otwieranej kłapy i do lochu wtargnął snop światła.

— Hej tam, zgniliście już czy nie? — rozległ się w górze dziwnie znajomy głos.

— Żyjemy — odparł profesor. — I wcale się nie wybieramy na drugi świat.

— Co u licha? Czemu tu nie ma wody?

— Bo ją wypuściłem — odparł spokojnie Bałtazar.

— Jakim sposobem?

— Sposobem człowieka inteligentnego — roześmiał się profesor. — Nie lubię zbyt wilgoci.

— Jeszcze ją polubisz — odezwał się człowiek z latarką i zaklął straszliwie: — Do stu tysięcy beczek suchego piasku, co to za porządki w tym kryminale? Zwyrrodnialec, dawaj drabinę!

Człowiek nazwany Zwyrrodnialcem wsunął do lochu koniec drabiny. Po chwili zszedł po niej sam Największy Deszczowiec. Teraz profesor Gąbka zrozumiał, dlaczego głos tego człowieka wydał mu się znajomy.

— No i co? — zabrzmiały słowa tyrana.

— Co proszę? — zapytał profesor. — Z tej wilgoci nieco przygłuchłem, niech pan mówi głośnie.

— Namyśliłeś się? — huknął Deszczowiec.

— Po pierwsze nie przypominam sobie, żebyśmy kiedykolwiek mówili do siebie przez „ty”, a po drugie: namyśliłem się.

— I będziesz mi służył?

— Wcale nie.

— To czemu mówisz, żeś się namyślił?

— Namyśliłem się trwać w swoim postanowieniu — zaśmiał się Gąbka. — Jeszcze raz stanowczo odmawiam. Figa z twoich pomysłów, o ty, Najsuchszy z panujących!

Największy Deszczowiec zaniemówił na chwilę, słysząc tak wyraźne kpiny ze swej osoby. Następnie poczerwieniał ze złości, a jego ręka uniosła się, aby zadać cios wrogowi. Och, z jaką radością rozbiłby łeb temu cudzoziemcowi, który pozwalał sobie na kpiny w stosunku do władcy!

Deszczowców. Ale w ostatniej chwili powstrzymał się i powiedział tonem nie wróżącym nic dobrego:

— Będiesz dziś sądzony. Staniesz przed Tajnym Trybunałem Niezwykłe Mokrej Pieczęci, żebyś nie powiedział, że w naszym państwie nie ma sprawiedliwości. Ruszaj do góry! I ty też — dodał pod adresem Salamandrusa, kopiąc go w plecy.

Po chwili Baltazar i dozorca Jeziora Tysiąca Nenufarów znaleźli się w jasno oświetlonym korytarzu. Natychmiast otoczył ich oddział strażników zakutych w stal od stóp do głowy. Największy Deszczowiec wydał rozkaz dowódcy oddziału:

— Zaprowadź ich przed Trybunał. I powiedz sędziom, że jeśli ich nie ukarzą jak najsurowiej — sam im głowy z karków pozdejmuję. Niech wiedzą, że u nas panuje Sprawiedliwość.

Więźniowie, popychani brutalnie przez strażników, ruszyli długim korytarzem. Minawszy szereg sal, wartownicy zatrzymali się przed drzwiami opatrzonymi napisem “Pływalnia Najwyższego Trybunału” i zastukali w nie drzewcami swych włóczni. Obydwie połówki masywnych, dębowych drzwi otwarły się ze zgrzytem zawiasów i oddział wkroczył do olbrzymiej sali, na środku której widniała wielka sadzawka, wyłożona zielonymi kafelkami. W pachnącej anyżkiem wodzie moczył się już zespół sędziowski, złożony z Największego Strażnika Niezwykłe Mokrej Pieczęci, Naczelnego Prokuratora, Najwyższego Sędziego Trybunału oraz czterech sędziów zapasowych.

Na widok oskarżonych Największy Strażnik wylaźł na brzeg basenu, otrzepał się jak pies z wody i zaskrzeczał żabim głosem:

— Oto owi zbrodniarze, niarze, arze... Oto najgorsze wyrzutki ludzkości, kości, ości...

Największy Strażnik słynał bowiem w całej Krainie Deszczu jako człowiek powtarzający po kilka razy końcówki wypowiedzianych przez siebie wyrazów.

W ślad za nim wyszedł z basenu Naczelnny Prokurator. Woda ściekająca z niego tworzyła na posadzce dużą kałużę.

Największy Strażnik zatoczył wokół oskarżonych kilka kółek, oglądając ich z zaciekawieniem jak okazy jakichś niezwykłych zwierząt.

— Co to za figury, gury, ury? ... Jakie zwyrodniałe ublicza, liczą, icza... Myślę, że skażemy ich na długoletnie ciężkie roboty, boty, oty... Co o tym myślicie, licie, icie?

Naczelnny prokurator wyciągnął rękę ku oskarżonym:

— Ustawcie ich pod ścianą — rozkazał strażnikom — i czyńcie swoją powinność.

Strażnicy pchnęli Gąbkę i Salamandrusa ku ścianie, a dowódca ich stanął na baczność przed Prokuratorem i zameldował:

— Oto dwaj więźniowie, przysłani przez Naszego Pana i Władcę. Macie ich skazać na śmierć. Nasz Pan 1 Władca — oby żył bez końca — kazał wam powiedzieć, że porachuje się z wami, jeżeli wyrok będzie zbyt łagodny. To są wrogowie państwa, najgorsi zbrodniarze, jakich kiedykolwiek nosiła ziemia. Skończyłem.

— Możesz spłynąć — powiedział Prokurator. — I powiedz Największemu, że wszystko będzie w porządku. Niech śpi spokojnie.

— Według rozkazu — zawołał żandarm, strzelił obcasami i na czele swych ludzi opuścił salę.

A Największy Strażnik Niezwykłe Mokrej Pieczęci zwrócił się do oskarżonych:

— Rozprawa się zaczyna, czyną, yna... W kącie sali stoją miednice, nice, ice.. Jest w nich woda. Macie do niej włożyć nogi, ogi, gi...

Baltazar Gąbka gwałtownie zaprotestował:

— Nie będę moczył nóg. Nikt mnie do tego nie zmusi. Nie jestem Deszczowcem.

— Ale taki panuje u nas zwyczaj — powiedział Prokurator. — Musicie się do niego

zastosować.

— Nigdy — odparł Gąbka w swoim oraz Salamandrusa imieniu.

— Wobec tego oskarżam was o wrogość w stosunki» do przepisów panujących w naszym państwie.

— Nie macie prawa mnie sądzić — rzekł Baltazar — ponieważ jestem cudzoziemcem.

Naczelnny Prokurator roześmiał się nieprzyjemnie, dał nurka i przepłynął na drugi brzeg basenu.

Wynurzywszy głowę z wody, powiedział:

— Wesoły chłopczyk z tego uczonego, co?

Wszyscy członkowie Trybunału zarechotali, ponieważ nikt nie miał ochoty narażać się Naczelnemu Prokuratorowi.

— Zaczynamy rozprawę — zawołał Prokurator. — Panowie, proszę o chwilę uwagi. — Po czym przystąpił do zadawania pytań:

— Nazwisko i imię?

— Baltazar Gąbka.

— Zawód?

— Żabolog.

— Miejsce urodzenia?

— Gród Kraka.

— A teraz ten drugi: nazwisko?

— Salamandrus.

— Zawód?

— Dozorca Jeziora Tysiąca Nenufarów.

— Gdzie urodzony?

— W Kibi-Kibi.

— W porządku. Ta sprawa już załatwiona. A teraz słuchajcie aktu oskarżenia:

“Oskarżam was p przestępstwo, polegające na odmowie włożenia nóg do miednicy z wodą. Przestępstwo to — samo w sobie przerażające i trudne wprost do pojęcia — jest jeszcze cięższe w wypadku oskarżonego Salamandrusa, będącego przecież Deszczowcem”.

— Wstyd mi z tego powodu — powiedział Salamandrus. — Nazwa Deszczowiec stała się bowiem postrachem dla ludzi porządnych, odkąd naszym władcą jest ten tyran i okrutnik!

Prokurator zatkał sobie uszy dłońmi, a Największy Strażnik aż pobladł z wrażenia.

— Człowieku, wieku, eku — zawołał z rozpaczą w głosie. — Sam sobie grób kopiesz, opiesz! Opamiętaj się, co ty mówisz?

— Mówię prawdę — rzekł Salamandrus. — Wstyd mi, że jestem obywatelem takiego państwa. Tu oto stoi nasz gość, profesor Baltazar Gąbka, człowiek znany na całym świecie jako specjalista od żab i ślimaków. Przyjechał do nas, aby prowadzić badania naukowe. A teraz grozi mu kara śmierci. Za co?

— A właśnie, za co? — zapytał Prokurator.

— Toś ty powinien wiedzieć — rzekł Salamandrus — bo ty jesteś Prokuratorem.

— Prawda, byłbym zapomniał — przyznał dostojnik. — A więc do rzecey: — Powiedziałeś już wszystko?

— Nie.

— To śpiesz się, bo mi już za sucho.

— Jeżeli skażecie na śmierć niewinnego człowieka,, który wam zaufał, sami na siebie wydacie wyrok. Cały świat was potępi.

— Ech — powiedział Prokurator. — Mnie cały świat nie obchodzi. Mnie obchodzi moja posiadka...

— Tak, tak, posiadka, adka, ka... — dodał Największy Strażnik. — Ona jest dla nas najważniejsza, ejsza, sza. Panowie, nie mamy czasu, trzeba wydać wyrok.

— A więc udajemy się na naradę — rzekł Prokurator.

Na to hasło Największy Strażnik skoczył do basenu, a w ślad za nim uczynił to samo Prokurator. Reszta członków Trybunału w ogóle nie opuszczała basenu, tak że wszyscy sędziowie znaleźli się razem. Widać ich było, jak pływali tuż nad dnem, wywijając długimi odnóżami. Od czasu do czasu zbijali się w ciasną gromadkę, widocznie w celu odbycia narady, następnie zaś odpływali w różne strony, jakby dla zażycia przechadzki. Trwało to dość długo.

Baltazar Gąbka uścisnął dłoń Salamandrusa.

— Dziękuję ci za tak szlachetną opinię — rzekł do przyjaciela. — Jesteś najlepszym Deszczowcem, jakiego znałem.

— Wielu jest takich jak ja — powiedział ze smutkiem dozorca Jeziora Tysiąca Nenufarów. — Ale cóż z tego, wszyscy się boją tego zbrodniarza, który zasiadł na tronie i chce zrobić z narodu posłuszną sobie armię.

— Nie traćmy nadziei — pocieszał go Baltazar. — Może Trybunał nie skaże nas na śmierć.

— Idą — rzekł Salamandrus.

Członkowie Najwyższego Trybunału gramolili się po kolei na brzeg basenu.

— Wstać, sąd idzie! — zawołał Prokurator, choć obaj oskarżeni stali nadal pod ścianą.

— W imieniu, eniu, niu Najwyższego Trybunału, nału, ału — ogłaszam wyrok, yrok, rok — rozpoczął Największy Strażnik. — Po rozważeniu waszego przestępstwa, polegającego na odmowie włożenia nóg do miednicy z wodą, skazujemy, jemy, emy was na dziesięć lat ciężkich robót w kamieniołomach, łomach, omach! Skończyłem, czyłem, yłem! Od wyroku nie ma odwołania, łania, ania!

Na dany prze\* Prokuratora znak otworzyły się drzwi i sześciu strażników znów otoczyło skazańców.

— W drogę — warknął dowódca straży. — Tylko nie próbujcie» uciekać.

Na korytarzu Salamandrus i Gąbka zetknęli się twarzą w twarz z panem Mżawką, kupcem z ulicy Bagiennej. Na widok profesora pan Mżawka poczerwieniał i zawołał:

— Niech pan nie myśli, że jestem szpiegiem.. Nic podobnego! Ja tu przyszedłem w sprawach handlowych. Ja nigdy nic złego na pana nie powiedziałem!

Ale Baltazar Gąbka udał, że go nie widzi, Salamandrus zaś poszedł za jego przykładem.

Po chwili skazańcy znaleźli się przed pałacem. Czekala tu na nich karetka, zaprzężona w parę czarnych koni. Strażnicy wepchnęli ich do wnętrza, zatrzęsęli drzwiczki.

— Do kamieniołomów na Diabelskiej Górze — zawołał dowódca straży.

— Według rozkazu — wrzasnął woźnica, uzbrojony w dziesięć pistoletów, cztery szable, wałek do ciasta i scyzoryk. — Według rozkazu!

Koła zadudniły na kamieniach.

Gąbka popatrzył smutno na Salamandrusa:

— Tak mi przykro, mój przyjacielu, że przeze mnie spotkało cię nieszczęście. Gdybyśmy się nie przyjaźnili, nikt nie ośmieliłby się ciebie aresztować.

— Odwagi, profesorze — powiedział na to dozorca Jeziora Tysiąca Nenufarów. — Dopóki będziemy razem, nic złego nam nie grozi.

Wkrótce karetka wyjechała za mury Kibi-Kibi i potoczyła się szosą wyłożoną kamiennymi

płytami. Po jej bokach cwałowali konni strażnicy. Po szybach karety spływały potoki wody. Nasilenie ulewy wzrastało z każdą chwilą. Był to przecież zwykły dzień w Krainie Deszczu [4].



## Rozdział osiemnasty

### BUDOWA TRATWY

Kiedy wreszcie Smok zatrzymał samochód w cieniu potężnego baobabu, zegarek wskazywał godzinę ósmą rano. Jechali więc od ośmiu godzin, w tempie prawdziwie wyścigowym.

— Czy odbiliśmy już od Słoneczi dość daleko, żeby się nie obawiać pościgu? — zapytał Don Pedro i trwożnie obejrzał się do tyłu.

— Człowieku — odezwał się Smok. — Człowieku, pomyśl tylko, na czym by oni mieli nas ścigać. Na osłach?

— Ale swoją drogą nasz osioł spisał się wspaniale — rzekł Bartolini.

— Gdy usłyszałem jego ryk, myślałem, że to koniec świata — dodał doktor Koyot i jak zwykle z lubością pogłaskał swą brodę.

— Tak. Ryczał popisowo. Powinien brać udział w Festiwalach Oślich Ryków, o ile takie urządzane są gdziekolwiek na świecie.”

— Wyobrażam sobie, jak się teraz wścieka król Słoneczko. Nie ma kogo uszczęśliwiać...

— Najbardziej bałem się o samochód — rzekł Smok, zapalając fajeczkę. — Otwór był tak ciasny, że musiałem ciągnąć z całej siły, żeby wydobyć wóz na zewnątrz. Gdyby nie wasza pomoc, mogłoby być źle.

— Martwię się o osła — rzekł Don Pedro. — Oni mogą mu zarzucać współdziałanie w ucieczce.

— Przewidziałem to — uspokoił go Smok i wypuścił kłęb dymu ku niebu. — Umówiliśmy się, że jeśli go będą przesłuchiwać, *zezna*, iż gwałtownie rozboleł go żołądek i dlatego począł ryczeć. Każdy ma prawo krzyczeć, jeśli mu coś dolega, nie?

— Oczywiście — przyznali pasażerowie samochodu. Powietrze było pełne egzotycznych zapachów. Woń nieznanych kwiatów unosiła się pomiędzy smukłymi pniami palm. Potężny baobab wystrzelał ponad otaczające go drzewa. W jego sąsiedztwie widniały krzewy dzikich ananasów. Nieco dalej, wśród soczystych zielonych liści, złociły się wiązki bananów. W koronach palm baraszkowały małpy, a z drzewa na drzewo przelatywały papugi o piórach zielonych, żółtych i purpurowych.

— Ciekaw jestem, czy jeszcze daleko do Kraju Gburowatego Hipopotama? — zastanawiał się Smok. — Nie mamy przecież mapy tych okolic.

— Jesteście już na miejscu — rozległ się nagle czyjś głos.

Pasażerowie samochodu» unieśli głowy i ujrzeni małpę, huśtającą się na ogonie tuż nad maską samochodu.

— Jesteście w krainie Hipopotama, moi drodzy — powtórzyła małpa. — A ja nazywam się Interferencja.

— Dziękujemy za informacje — rzekł Smok do małpki. — Ale odkąd to małpy znają ludzki język?

— A odkąd to ludzie znają małpią gwara? — zapytała Interferencja. — Przecież ja mówię po małpiemu, z całą pewnością.

— Mniejsza o fo — nie mamy czasu na prowadzenie badań językowych. Powiedz nam, kochana Interferencjo, czy rośnie u was palma bo-bo?

Małpa wylądowała na masce samochodu i chwyciła się łapkami za szybę.

— Ile chcecie — odparła — cały las to palmy bo-bo. A po co wam bo-bo?

— Chcemy zrobić tratwę.

— Możemy wam pomóc.

— Kto?

— My, małpy — wyjaśniła. — Nie macie wprost pojęcia, jak dobrze robimy tratwy z drzewa bo-bo. Można rzec, że to nasza specjalność poza skakaniem po drzewach i ciskaniem orzechami kokosowymi w głowy nieproszonych gości.

— Czy przypadkiem nie uważacie nas za nieproszonych gości? — zaniepokoił się Bartolini.

— Uważamy was jedynie za gości niespodziewanych — wyjaśniła grzecznie małpa. — A to całkiem inna historia.

Ale Smoka interesowało zagadnienie, w jaki sposób zetknąć się z gospodarzem tego kraju — Gburowatym Hipopotamem. Zapytał więc rozmowną małpkę, gdzie zwykle przebywa jej zwierzchnik.

— O, całkiem blisko — wyjaśniła Interferencja. — Dwieście kroków stąd jest wielkie jezioro M'buru. Tam mieszka Hipopotam.

— Zaprowadzisz nas do niego?

— Z miłą chęcią.

Woda w jeziorze była żółtawa i mętna, brzegi zaś zarośnięte trzcina. W kilku miejscach trzciny były wdeptane w ziemię; uczyniły to zwierzęta, dążące tędy do wodopoju. W zaroślach roiło się od wodnego ptactwa, które czyniło tak wielki zgiełk, iż małpa musiała głośno krzyknąć, wskazując drogę naszym wędrowcom.

Na brzegu jeziora zatrzymała się i pokazała łapką punkcik, wyłaniający się z wody.

— Oto Gburowaty Hipopotam. To czubek jego nosa.

— Czy on naprawdę jest taki niegrzeczny, jak na to wskazuje jego nazwa?

— Nic podobnego. To całkiem miłe bydlę — powiedziała małpa. — Nazwa pochodzi stąd, że jest on bardzo małomówny, co niektórzy zupełnie niesłusznie uważają za przejaw złego wychowania.

Tymczasem punkt na wodzie zaczął się z wolna powiększać.

— O, płynie do nas — zawołała Interferencja i z przejęciem wyskoczyła Smokowi na głowę.

Po chwili zebrani na brzegu ujrzeli potężne cielsko, wyłaniające się z wody tuż przy kępie trzcin.

— O rany — szepnął Bartolini — ileż by z tego było kotletów.

— Czego?

Oczywiście powiedział to Gburowaty, pragnąc dowiedzieć się, czego sobie życzą ludzie zgromadzeni nad wodą.

— Chcemy cię powitać — zaczął Smok.

— I co jeszcze? — przerwał mu Hipopotam.

— Potrzebujemy dużo drzewa bo-bo.

— W celu?

— Zbudowania tratwy — odparł Smok, naśladując lakoniczny sposób wyrażania się władcy jeziora.

— Po co?

— Chcemy płynąć do Kibi-Kibi.

— Aha.

Zapanowało chwilowe milczenie. Widocznie Gburowaty rozmyślał o tym, co usłyszał. Po chwili odezwał się:

— Długa jazda.

— Mamy motor — wyjaśnił Smok. — Założymy śrubę i popłyniemy szybko.

— Aha — rzekł Gburowaty, nie przyznając się do tego, że nie wie, co to jest motor i śruba.

— Pozwolisz? — zapytał Smok.

— Pozwolę.

— Dziękuję ci.

— Nie ma za co. Do widzenia.

— Do widzenia.

Wielkie cielsko zanurzyło się w głębinę i po chwili jedynie rozchodzące się po wodzie koła świadczyły o niedawnej obecności Hipopotama.

— Macie więc oficjalne zezwolenie władcy — powiedziała Interferencja. — Teraz się trzeba zabrać do roboty. Zawołam moje siostry.

Zwróciwszy się w stronę dżungli, Interferencja przyłożyła łapki do ust i zawołała:

— Ahoj, ahoj, małpiszony!

Na ten zew nad brzegiem jeziora M'buru zaroilo się od małp. Zwinne stworzonka zeskakiwały z palm, wyłaniały się gromadami z gęstwiny bananowców, biegly pociesznie po spalonej przez słońce trawie.

Interferencja wzięła na siebie obowiązek przedstawienia swych sióstr podróżnikom.

— To jest Amplituda — powiedziała, wskazując na pierwszą z brzegu małpę. Druga nazywa się Regresja. Ta z wygryzionym uchem nosi imię Kolaudacji, a tanta z bardzo długim ogonem zwie się Inwestycja.

Smoka już dawno świerzbił język, aby się zapytać, skąd w krainie Gburowatego Hipopotama wzięły się tak wymyślne imiona małp. Poczekał jednak do końca, po czym zwrócił się do Interferencji:

— Piękne macie imiona, o małpy tej uroczej krainy.

Ale powiedz mi, kochana Interferencjo, skąd się one u was rozpowszechniły?

— To całkiem prosta historia — powiedziała Interferencja. — Dawno, dawno temu przywędrował w te strony pewien podróżnik. Musiał to być bardzo uczony człowiek, ponieważ nosił okulary, a na głowie miał hełm tropikalny. Lubiliśmy bardzo patrzeć, jak łowił do siatki ćmy i motyle. W namiocie miał strasznie dużo papieru, na którym wciąż coś pisał. Ale pewnego razu zdarzyło mu się wielkie nieszczęście. Zjadł go krokodyl, zamieszkujący rzekę M'zuri. Podróżnik miał wtedy przy sobie grubą książkę pod tytułem "Słownik wyrazów obcych". Książki tej krokodyl nie tknął, uważając, że może sobie przez nią popsuć żołądek. I tak "Słownik wyrazów obcych" znalazł się w naszych rękach. Od tego czasu każda nowo narodzona małpa w naszym kraju przybiera sobie imię z owej książki. Tak pięknych imion nie mają małpy w żadnej innej krainie.

— Tak — powiedział Smok z przekonaniem — to są naprawdę wspaniałe imiona. Gdybym nie był Smokiem, chciałbym być małpą. Przybrałbym sobie wtedy imię Tolerancji.

Doktor Koyot od dłuższej chwili szarpał swą bródkę, wreszcie włączył się do rozmowy:

— Zastanawiam się, w jaki sposób zetniemy tyle drzew, sikoro nie mamy piły.

Interferencja wskoczyła na maskę samochodu i powiedziała:

— Nie trzeba ścinać. Tysiące drzew bo-bo leżą na wodzie po drugiej stronie jeziora. Trzeba je tylko związać linami. My to zrobimy.

Przedostanie się na przeciwległy brzeg jeziora M'buru zajęło naszym podróżnikom kilka godzin.

Trzeba było omijać zdradliwe trzęsawiska pełne krokodyli i węży, oczyszczać drogę z pni drzew powalonych przez wiatr, wreszcie uważać, by potężne kolce krzaków nie przekłuły opon samochodu. Powietrze było wilgotne i gorące. Nad bagnami unosiły się opary, z olbrzymich liści

skapywały krople ciepłej wody, kwiaty pachniały odurzająco. Gromada małych posuwała się w ślad za podróżnikami, czyniąc to znacznie szybciej od nich. Te wesołe i miłe zwierzęta skakały bowiem z drzewa na drzewo, dzięki czemu na drugim brzegu znalazły się szybciej od ludzi.

Interferencja mówiła prawdę. Przy brzegu jeziora leżały tysiące pni drzewa bo-bo. Można z nich było zbudować nie jedną, ale sześćdziesiąt sześć tratw.

Smok wyszukał mały pagórek, panujący nad brzegiem jeziora, i postanowił założyć tu obóz. Wkrótce też w cieniu palm i baobabów wyrosły dwa kolorowe namioty. Bartolini przywdział swą kucharską czapę i zabrał się do przyrządzania obiadu.

— Podoba mi się tu — powiedział Smok.

Z pagórka było widać olbrzymią płachtę wody. Tu i ówdzie pojawiały się na niej ciemne punkciki: były to łby krokodyli.

— Obawiam się — rzekł doktor Koyot — że nie będziemy się mogli kąpać.

— Ja bym nie wszedł do tej wody za żadne skarby świata — wzdrygnął się kucharz.

— Smoku — powiedziała Interferencja, która wśród małych pełniła funkcję Przewodniczącej Stada — tak rzadko mamy gości, że wasz przyjazd stanowi dla nas wielkie święto.

— Bardzo nam miło — zrewanżował się Smok. — My też jesteśmy zachwyceni tak gościnnym przyjęciem. Czy nie obawiasz się, że Gburowaty cofnie swe zezwolenie?

— Nic podobnego. Skoro już raz obiecał — to dotrzyma.

— No, to zabierajmy się do roboty — rzekł Smok i na znak gotowości zawinął rękawy koszuli.

Ludzie i małe pracowali zgodnie przez kilka godzin. Robotą nie należała do łatwych: pnie drzewa bo-bo były mokre i śliskie, każdy krok groził kąpielą w mętnych wodach jeziora. Sama kąpiel mogła być nawet bardzo miła z powodu upału, ale w jeziorze roiło się przecież od wygłodniałych krokodyli, które krążyły wokół tratwy i czekały na smakowity kąsek. Od czasu do czasu mistrz Bartolini odpędzał je swą „roznospadą”, ale po chwili gromadziły się znów i rozdziawiając olbrzymie paszcze, ukazywały rzędy ostrych zębów.

Poszczególne pnie drzew wiązano przy pomocy mocnych lin. Małe dbały o to, żeby na brzegu stale się znajdował odpowiedni ich zapas. Tratwa musiała być duża, żeby się na niej mógł zmieścić samochód oraz domek mieszkalny dla podróżników. W samym środku ustawiono wysoki maszt, zrobiony z pnia palmy pachnącej[5]. Kiedy umieszczano go w otworze pokładu, jedna z małych wpadła do wody, ale błyskawicznie wyskoczyła na tratwę, widząc sunącego ku niej krokodyla. Potwór, któremu sprzed nosa uciekła tak smakowita potrawa, zapłakał prawdziwie krokodylimi łzami, Na ten widok Don Pedro cisnął mu kilka kości z wczorajszego obiadu.

— Mam czułe serce — rzekł. — Nie mogę patrzeć na łzy biednego zwierzęcia!

Słońce przechyliło się już na zachodnią stronę, powietrze zgęstniało od wilgoci i zapachów: z ciał naszych podróżników lały się strumienie potu. Nie przerywano jednak pracy, ponieważ wszyscy wiedzieli, czym grozi każdy dzień spóźnienia. Niepokój o los Baltazara Gąbki zmuszał wszystkich do pośpiechu. Dopiero zmierzch położył kres trudowi. Właściwie tratwa była już gotowa. Nazajutrz trzeba było dokonać tylko kilku poprawek i uzupełnień.

Smok wyprostował się i otarł pot z czoła. Zatroskanym okiem powiódł po tafli jeziora.

— A w jaki sposób wydostaniemy się stąd na merze?

— Rzeka M'zurl, która wypływa z jeziora, zaprowadzi was do Zatoki Błękitnego Wieloryba. Jeżeli będziecie płynąć stale ku północy, dostaniecie się do Krainy Deszczowców. Wiem o tym od wędrownych ptaków, bo przecież sama nigdy nie pływałam po morzu. Wolę skakać po drzewach.

— Chciałbym się wam jakoś wywdzięczyc za pomoc — powiedział Smok. — Gdyby nie wy, stracilibyśmy tu znacznie więcej czasu.

— Przyślij nam “Słownik Geograficzny”. Wyobraź sobie, że do tej pory w naszym kraju jest wiele miejsc bez nazwy. Wymyślanie ich należy wprowadzić do Gburowatego, ale on jest zbyt ociężały... Mając słownik, będziemy mogli ochrzcić wszystkie nasze rzeki, jeziora, góry i doliny. To będzie znakomita zabawa.

W tej samej chwili rozległ się głośny dźwięk, powtórzony trzy razy. To mistrz Bartolini uderzał chochlą w srebrny półmisek, dając w ten sposób znać, że czas już na kolację.

Po wieczerzy Smok uruchomił krótkofalówkę i począł wywoływać stację w Grodzie Kraka. Po kilku minutach usłyszał głos księcia:

— Tu Wawel. Tu Wawel. Mówi Krak. Słyszę was dobrze. Gdzie jesteście? Odbiór!

— Tu Smok, tu Smok... Słyszę cię doskonale. Jesteśmy wszyscy zdrowi, czujemy się dobrze. Dziś przyjechaliśmy do Krainy Gburowatego Hipopotama i budujemy tratwę z drzewa bo-bo.

— Jak się sprawuje mistrz Bartolini?

— Doskonale. Gotuje wybornie, jestem nim prawdziwie zachwycony.

— A czy doktor Koyot dba o wasze zdrowie?

— Jeszcze jak. Gdyby nie on, już dawno miałbym żółtą febrę, reumatyzm i artretyzm. To świetny lekarz.

— Bardzo się cieszę. U nas też wszystko w porządku. Wkrótce przystępujemy do sianokosów. Życzę wam powodzenia, śpieszcie się, bo lękam się o Baltazara. Do usłyszenia!

— Do usłyszenia — powtórzył Smok i wyłączył krótkofalówkę.

Zdejmując z głowy słuchawki, ujrzał Bartoliniego pędzącego z rożnem w rękę za jakimś niewielkim stworzonkiem, przypominającym zająca o krowich rogach i małpim ogonie. Zwierzątko to uciekało wielkimi susami, a gdy dopadło do pnia palmy, wdrapało się nań i uczepiło się wielkiego liścia. “

— Co to? — zawołał doktor Koyot, który też był świadkiem pościgu.

— Nie wiem — odparł zasapany kucharz. — Ale ta diabelska stwora zakradła się do worka z mąką i żarła sobie w najlepsze. To szatan z piekła rodem!

Smok pokiwał głową.

— Nie tyle szatan, ile jakieś nie znane mi zwierzę. Spytałem się Interferencji.

Powstał, aby udać się nad brzeg jeziora, ale nagle potknął się na czymś i upadł jak długi, uderzając się boleśnie w łokieć. Spod nóg wyskoczył mu jakiś dziwny stworek, o długich nitkowatych odnóżach i pękatym kadłubie, pokrytym kolcami. Stworzenie to miało świński ryjek i ośle uszy.

— Panowie — zawołał doktor Koyot. — Spójrzcie na samochód!

Po masce amfibii spacerowały inne potworki, nie przypominające żadnych znanych stworzeń. Niektóre wyglądały jak korzenie drzew, zaopatrzone w długie pazurki, inne przypominały wielkie pająki pokryte włosami: były też takie, które wyglądały jak liście palm poruszających się na setkach miniaturowych nóżek.

— Zostaw to — wrzasnął Bartolini do jakiegoś potworka, który dobrał się do beczułki z masłem i właśnie był w trakcie wiercenia w niej tunelu. — Zostaw to, bo zrobię z ciebie kotlet!

Potworek odskoczył na bok jak sprężynka i wylądował na czubku namiotu. W tej samej chwili Koyot odpędził innego od bańki z benzyną. Bartolini wyciągnął za uszy stworka, majstrującego coś przy skrzynce biegów, a Smok ruszył w pogoń za dziwotworkiem, uciekającym w stronę jeziora i trzymającym w pysku “Kronikę Wyprawy”. Na szczęście udało mu się go złapać i wyjąć z pyska to cenne dzieło, bez którego nie byłoby naszej książki.

Krzyki uczestników wyprawy zaalarmowały Interferencję. Ujrzawszy kilka potworków,

zorientowała się od razu w sytuacji.

— To nic strasznego — uspokoiła Smoka i jego przyjaciół. — Po prostu napad Okropików.

- Czyj?

— Okropików. To są takie dość głupawe stworki, które wyglądają okropnie i stąd ich nazwa.

Szkoda, że nie próbowaliście z nimi porozmawiać.

— Co, ja miałbym z takimi stworzeniami rozmawiać? — zawołał kucharz i groźnie potrząsnął różem. — Przenigdy!

— A ja mam na to ochotę — rzekł Smok. — Jest tu jeszcze jaki Okropik?

— Nie ma mnie — odparł jakiś głos — i spod siedzenia samochodu wynurzyła się głowa, w której widniało czworo zielonych oczu.

— Kim jesteś? — zapytał Smok.

— “Celna strzała grzęznąca w ogrodach spokoju”.

— Co? Coś ty powiedział?

— “Przychodzi czas kolebania” — odezwała się głowa spod siedzenia.

— Zwariował — rzekł Smok. — Co on plecie?

— Zaraz ci wyjaśnię — powiedziała Interferencja. — Zapytaj go, jak ma na imię.

— “Astrolog gwiazd czesanych wiatrem historii” — powiedział Okropik.

— Co to ma znaczyć?

— “Zielone skrzypce rozbijam O<sup>1</sup> krawędzie przeznaczeń” — dodał stworek i zeskoczywszy z samochodu pobiegł między trzciny.

Smok przetarł oczy. Interferencja roześmiała się:

— Trzeba wam wiedzieć, że, ów podróżnik, pożarty przez krokodyla, miał w namiocie tomik wierszy. Myśmy zabrały sobie “Słownik Wyrazów Obcych”, zaś Okropiki dobrały się do poezji. Każdy nauczył się kilku wierszy i teraz przy lada okazji popisuje się ich znajomością.

— A jaś myślałem, że mi się to wszystko śni — westchnął Smok z ulgą i wytarł twarz chusteczką. — Ależ tu u was gorąco...

Późnym wieczorem na niebo wypłynął księżyc. W dżungli odezwały się głosy drapieżników. Bartolini wciąż dorzucał dREW do ogniska, które rzucało krwawe blaski na samochód i namioty. Małpy poukrywały się na drzewach. Roje komarów unosiły się nad podmokłymi brzegami jeziora. Smok oparty o pień baobabu notował w “Kronice” przebieg ostatnich zdarzeń. Nad czubkami palm kokosowych lśniły ogromne, jakby wilgotne gwiazdy. Parna noc wisiała nad dżunglą.

A więc jutro wypływamy na morze — pomyślał Smok. — Zacznie się nowy etap podróży. Za kilka dni powinniśmy wylądować u celu. Mam nadzieję\*, że przybędziemy na czas.

Przez całą noc powietrze rozbrzmiewało graniem cykad, przypominających nasze pocziwe świerszcze. W swych sennych marzeniach Smok powrócił do Grodu Kraka... Zdawało się mu, że siedzi na ławeczce przed wejściem do Jamy i słucha grania świerszczy, podczas gdy srebrny księżyc maluje czubki wież Wawelu.

Obudził się w chwili, gdy pierwsze promienie wschodzącego słońca połaskotały go po nosie. Kichnął głośno — i zbudził nie tylko swych towarzyszy, ale także wszystkie małpy.

Zaczął się nowy dzień.

### NIEZWYKŁE ZAJŚCIE W LESIE CHUDZIELCÓW

We wspomianej już przez nas książce Gregoriusa Simonidesa pt. “Opisanie krain dziwacznych y wielce ciekawych, na krańcach świata naszego znaydujących się” czytamy, że wśród stworzeń zamieszkujących Krainę Deszczowców można spotkać się z tak zwanymi “Bagiennikami Purpurowymi”. Jako jedną z ich cech charakterystycznych wymienił uczony zamiłowanie do odżywiania się wyrobami ze skóry. Do szczególnych przysmaków należą wszelkiego rodzaju pasy, torby skórzane, rękawice, buty, w pierwszym zaś rzędzie uprząż, a zwłaszcza lejce i siodła. Simonides niestety nie zostawił nam opisu tych stworzeń, gdyż po pierwsze sam ich nigdy nie widział, a po drugie nie natknął się na żaden ich wizerunek w dziełach innych uczonych.

Profesor Gąbka wiedział o istnieniu Bagienników, zwanych Purpurowymi ze względu na zabarwienie ciała, ale ich nigdy nie spotkał, ponieważ kryły się w gęstych lasach na północy kraju, i o ile nie były bardzo głodne, unikały spotkania z ludźmi. Opowiadano mu jednak o nich, podając szczegóły przerażające. Tak na przykład pewnego razu, niezbyt daleko od Kibi-Kibi, napadły na dyliżans pocztowy. W mgnieniu oka zdarty z koni uprząż i zjadły ją na miejscu. Następnie ściągnęły furmanowi buty z nóg, pozbawiły go paska od spodni oraz skórzanej sakiewki. Niektóre Bagienniki dobrały się nawet do siedzeń w dyliżansie, wygryzając w nich duże dziury. Biedny woźnica wrócił do miasta na bosaka, trzymając spodnie w rękach. Nawet jego bat, wspinały bat, zakończony pęczkiem kolorowych skórek — zniknął w brzuchach potworków. O tym wyczynie Bagienników opowiadano sobie przez długie lata we wszystkich domach Krainy Deszczu. Niektórzy rodzice straszili nimi niegrzeczne dzieci, mówiąc: “Jeżeli nie będziecie chciały jeść kaszki manny, przyjdzie do was Bagiennik i zje wam najpiękniejsze trzewiczki, w których tak bardzo lubicie chodzić na spacerzy”. To nie było ładne ze strony starszych, ale przecież wiemy, że i starsi mają swoje wady...

Otóż w ostatnim roku pobytu profesora Gąbki w Krainie Deszczowców ilość Bagienników Purpurowych wyraźnie wzrosła. Niektórzy przypisywali ten stan rzeczy niezwykłej, nawet na tę krainę, wilgotności powietrza; inni zaś byli skłonni widzieć przyczynę tego zjawiska w polepszeniu się jakości wyrobów skórzanych. “Sprawa jest prosta — tłumaczyli zwolennicy tej teorii — przecież nasze wyroby ze skóry są bardzo dobre, więc jako takie stanowią przedmioty szczególnie pożądane przez Bagienniki. Z kolei dobre pożywienie przyczynia się do zmniejszenia śmiertelności wśród Bagienników itd”...

Nie sądzę jednak, żebyśmy się musieli zagłębiać w te sprawy. Faktem jest, że tego lata Bagienniki pojawiły się nawet na przedmieściach Kibi-Kibi, wywołując szczególne zaniepokojenie wśród kupców sprzedających wyroby skórzane. W Lesie Chudzielców potworzyły się całe bandy tych potworków. Jedna z takich band miała szczególne szczęście, wypatrywszy zbliżającą się do lasu karetę, eskortowaną przez dziesięciu jeźdźców.

Napad był tak nagły i niespodziewany, że wszystko skończyło się w przeciągu pięciu minut. Dziesiątki Bagienników pościęgały jeźdźców z koni, pozbawiły zwierzęta uprzęży, a ludzi wszelkich rzeczy zrobionych ze skóry. Opór był daremny, toteż dowódca eskorty wydał rozkaz strażnikom, żeby oddawali dobrowolnie swoje sakiewki, portfele, czapki, rękawice, buty z cholewami itp. Korzystając z powstałego zamieszania, profesor Gąbka oraz Salamandrus przeskoczyli głęboki rów oddzielający drogę od lasu i zniknęli w gęstwinie drzew kiełbasianych, rosnących tu wespół z dębami. Oddalając się od drogi, słyszeli za sobą okrzyki ludzi, pragnących ocalić swe pieniądze, schowane w sakiewkach i portfelach. Bagienniki były tak głodne, że nie chciały czekać na

opróżnienie sakiewek, co wywoływało protesty żołnierzy. Niektóre potworki zjadały portfele razem z ich zawartością — w ten sposób niejedno zaświadczenie urzędowe znalazło się w żołądkach napastników. Nic też dziwnego, że pewne Bagienniki cierpiały potem na boleści żołądkowe.

Salamandrus biegł przodem. Jako Deszczowiec znał nieźle te okolice i umiał przedzierać się przez zarośla. Gąbka biegł tuż za nim, szczęśliwy, że udało się mu wyrwać z rąk prześladowców. Napad Bagienników był zdarzeniem w całej pełni szczęśliwym. Niewola należała już do przeszłości, teraz należało tylko wyteńczyć siły, aby jak najszybciej oddalić się od drogi.

— Strażnicy nie będą nas gonić — mówił Salamandrus. — Przecież Bagienniki zabrały im paski od spodni. Ale musimy przed nocą zdążyć do Skał Cztero jajecznych.

— Dokąd? — zdumiał się profesor.

— Do Skał Cztero jajecznych — powtórzył Salamandrus. — Tuż nad morzem jest grupa skał, w których widnieją cztery otwory do jaskiń. Otwory te swym kształtem przypominają wielkie jaja, stąd nazwa. Wnętrze skał pełne jest jaskiń i korytarzy, w których możemy się ukryć. .

— I co dalej?

— Teraz się nie będziemy martwili, co dalej. Najważniejsze, żeby się ukryć.

— Ale się nam udało — rzekł profesor i stanął, żeby trochę odsapnąć. — Nawet butów nam nie zdjęły.

— Bo rzuciły się przede wszystkim na żołnierzy i na konie. Wojsko zawsze ma wszystko w dobrym gatunku (czasem z wyjątkiem dowódców) — a potworki o tym wiedzą. To są prawdziwe żarłoki. Teraz zanoszą zdobycz do lasu i będą jeść aż do obrzydzenia. Z ich strony nic nam na razie nie grozi.

Gąbka odetchnął głęboko, wyprostował się, a twarz jego rozjaśnił radosny uśmiech.

— Jesteśmy wolni. To wspaniałe uczucie.

— Wspaniałe — przyznał Salamandrus. — Jesteśmy głodni i bezdomni, ale wolni. To najważniejsze.

Profesor spoważniał.

— My jesteśmy wolni, mój drogi — powiedział — ale pomyśl, ilu uczciwych Deszczowców tkwi w niewoli u tego draba spoci ciemnej gwiazdy. Chętnie przyczyniłbym się do tego, żeby zleciał z tronu.

Salamandrus rozłożył ręce w geście bezsilności.

— Kto by tego nie chciał? Ale jak się do tego zabrać? Kto go pokona?

Gąbka zostawił to pytanie bez odpowiedzi. Sam bowiem tego nie wiedział i dlatego bardzo posmutniał. Prawdę mówiąc sytuacja, w jakiej się znajdowali, była prawie beznadziejna.

Ruszyli jednak w dalszą drogę, aby zająć na miejsce przed zapadnięciem ciemności.

O tym, że znajdowali się w pobliżu morza, świadczyły podmuchy wiatru, pachnącego solą i wodorostami. Od czasu do czasu przylatywał ku nim szum fal łamiących się na skałach wybrzeża. Po godzinie przedzierania się przez kolczaste krzewy surojadki bezlistnej (stanowiącej u Bagienników ulubiony dodatek do butów na miękko) wydostali się na skałę. Profesor Gąbka — jak zawsze kiedy patrzył na morze — doznał nagłego olśnienia. Było tak piękne, potężne i majestatyczne, że serce profesora poczęło bić w przyśpieszonym tempie. Szum fal stał się zupełnie bliski. Co chwila ponad skały wytryskiwał słup spienionej wody. Jak okiem sięgnąć migotały białe czubki grzywaczy. Szarozielona płachta morza wzdymała się i opadała, smagana na horyzoncie ciemnymi warkoczami deszczu.

Salamandrus wyciągnął rękę ku zachodowi:

— Tam są Skały Czterojajeczne. Za pół godziny będziemy na miejscu.





### ZDOBYCIE PAŁACU

Możemy sobie wyobrazić, co się działo na dworze Największego Deszczowca, w chwili gdy dotarli tam pierwsi strażnicy, pozbawieni butów i pasków do spodni. Przerażoną gromadkę postawiono przed bladym z wściekłości obliczem tyrana. Władca, błyskając czerwonymi dziąsłami, zapytał o więźniów.

— Najjaśniejszy z najjaśniejszych — rzekł łamiącym się głosem dowódca straży — więźniowie (oby im nogi popuchły jak kłody drzewa) zniknęli bez śladu. Zapewne zostali uprowadzeni przez Bagienniki.

— Ja was nauczę — wrzasnął tyran, nie panując już nad sobą. — Ja was nauczę! Naprzód członkowie Najwyższego Trybunału ośmielają się skazywać tych złoczyńców tylko na dziesięć lat robót zamiast na śmierć — a potem moja straż pozwala im się wymknąć do lasu! I to gdzie? Do lasu Chudzielców, do takiej potężnej puszczy! To wszystko wygląda na zorganizowany opór. To wygląda na bunt! Ale ja się z wami porachuję!

Strażnikom zmiękły nogi; władca wyglądał strasznie, można się było spodziewać najgorszego wymiaru kary.

— Ja wam pokażę — powtórzył tyran. — Za karę zawieście na trzy dni w suszarni pałacowej.

Kara była istotnie surowa, ale możliwa do odcierpienia. Trzy dni w suszarni — to jeszcze nie było najgorsze, co ich mogło spotkać. Toteż strażnicy rzucili się do stóp władcy i całując je, dziękowali za łaskę. Odsunął ich z gestem obrzydzenia. Podtrzymując więc spodnie posłusznie podreptali długim korytarzem do suszarni.

Tymczasem we wszystkie strony kraju ruszyły patrole w celu odnalezienia zbiegów. Na placach i ulicach stolicy odczytywano królewski rozkaz, w myśl którego każdy Deszczowiec, który by spotkał zbiegów, miał ich doprowadzić do pałacu władcy za sutym wynagrodzeniem. Pan Mżawka — wierny szpieg Tajnego Strażnika — otrzymał rozkaz udania się w okolice Skał Czterojajecznych i spenetrowania znajdujących się tam jaskiń. Na murach domów pojawiły się ogłoszenia o treści następującej:

**Podaje się do publicznej wiadomości, iż każdy mieszkaniec Krainy Deszczu, który by udzielił pomocy wrogom kraju w osobach profesora Baltazara Gąbki oraz podlego zdrajcy Salamandrusa, zostanie ukarany zawieszeniem w suszarni na okres jednego roku.**

Ludzie gromadzili się przed plakatami i odczytywali je półgłosem. W obawie przed szpiegami i donosicielami nikt się nie zdradzał z tym, co myśli. Dopiero w zaciszu domowym nieszczęsnym mieszkańcom Kibi-Kibi rozwiązywały się języki. Wyrażano radość z powodu napadu Bagienników i ucieczki skazańców. Strażnicy Największego Deszczowca byli tak znienawidzeni, że wiadomość o ich klęsce napawała ludzi radością.

— Dobrze im tak — mawiano w zaufanym gronie. — To przecież najgorsze łotry, gotowe do wszystkiego. Ach, kiedyż się «oś u nas zmieni? Najwyższy czas, żeby tyrana strącić % tronu. Tylko kto to uczyni? Ni stąd ni zowąd nazwiska Baltazara Gąbki oraz Salamandrusa stały się symbolami walki o wolność. Początkowo szeptano je trwożnie, w gronie najbliższych przyjaciół, potem zaś wymieniano coraz głośniej i odważniej. Po kilku godzinach poczęły się tworzyć gromady ludzi, które wyruszyły pod pałac, domagając się zaprzestania pościgu za zbiegami. Tłumy rosły z każdą minutą. Wicher wolności gnał ulicami miasta. Otwierały się okna, na dachach pojawiały się chorągwie. Ze wszystkich dzielnic stolicy dążyły ku pałacowi gromady ludzi, którzy mieli już dość życia w niewoli

i strachu. Ktoś krzyknął:

— Niech żyje Baltazar Gąbka! Tłum podjął okrzyk:

— Niech żyje!

I znów czyjś głos zawołał:

— Niech żyje Salamandrus! Odpowiedzią był ryk z tysięcy piersi:

— Niech żyje!

W pałacu zamykano drzwi i okna. Po korytarzach biegali przerażeni dworacy. Niektórzy, zamknięci w swych komnatach, szybko pakowali walizki. Najwyższy Sędzia Trybunału zajadał się na zapas ciastkami z kremem, przypuszczając nie bez słuszności, że wkrótce może przyjść chwila, kiedy nie będzie mógł sobie na to pozwolić. Jego żona, Laurencja, pchała do kufra złote bransolety, sznury pereł i pierścienie wysadzane rubinami.

— Pomóż mi zamknąć kufer — prosiła męża ze łzami w oczach.

Ale Najwyższy Sędzia, zajęty pochłanianiem ciastek, nic na to nie odpowiedział.

Największy popłoch panował jednak w koszarach gwardii królewskiej. Gwardziści, znani ze swego okrucieństwa, pragnęli jak najprędzej opuścić stolicę, nie dbając o los swego władcy. Jedni siodłali konie, inni wyciągali z wozowni stare bryczki i powozy, ale nikt nie myślał o obronie i przeciwstawieniu się tłumowi.

Tajny Strażnik Niezwykle Mokrej Pieczęci, wyrwany z miłej drzemki w wannie, biegł do gabinetu tyrana, pozostawiając za sobą ślady bosych stóp. Przebiegając korytarze pałacu, rzucił okiem na tłum falujący w dole. Nad głowami ludzi widniały transparenty z napisami: “Żądamy uniewinnienia Gąbki i Salamandrusa”. Zanim dotarł do drzwi sypialni tyrana, pod gradem kamieni prysnęły pierwsze szyby!

Na dźwięk tłuczonego szkła Największy Deszczowiec zerwał się z tronu i podbiegł do drzwi, otwierając je na całą szerokość:

— Hej, gwardia, do mnie! — zawołał ile sił w płucach.

Ale zamiast wiernych gwardzistów ujrzał Tajnego Strażnika.

— Władco, adco — wyjąkał blady dostojnik. — Rewolucja, ucja, cja!

— Widzę — rzekł Największy Deszczowiec. — I cóż z tego? Mamy dość wojska, żeby tych wszystkich łajdaków posłać gdzie pieprz rośnie.

— Niestety, stety — odparł Strażnik — musisz mnie wysłuchać, uchać!

— Mów.

— Połowa armii przeszła, eszła na stronę buntowników, ników, ków.

W tej samej chwili stanął w drzwiach Naczelny Kat, ubrany jak zwykle w czarny atłasowy garnitur, czarną koszulę, czarne buty i czarny melonik. Miał on także czarne sumienie, ale tego nie było na zewnątrz widać. Głosem, w którym również było coś z czerni, zameldował:

— Królu i panie! Najnowsza wiadomość: generał Sączawka na czele batalionu strzelców wodnych przeszedł na stronę wrogów i obsadził budynek radiostacji. W tej chwili pułkownik Strumyczek czyta przed mikrofonem manifest buntowników!

Tyran podbiegł do stolika i włączył radio. Po chwili rozległy się słowa pułkownika Strumyczka:

— “Domagamy się uniewinnienia profesora Gąbki i Salamandrusa! Żądamy, aby Największy Deszczowiec ustąpił z tronu! Wszyscy pomocnicy tyrana muszą opuścić nasz kraj w ciągu dwudziestu czterech godzin!”

— O przekłęci — *zazgrzytał* zębami Największy Deszczowiec — już ja się z wami porachuję.

A mocny głos mówił dalej:

— Nie chcemy żadnych wojen! Pragniemy żyć w pokoju i w zgodzie z wszystkimi sąsiadami!

Precz z tyranią!

Największy Deszczowiec z wściekłością wyłączył aparat.

— Bzdury. Potworne bzdury. Jeszcze dziś wieczór wszyscy buntownicy poniosą zasłużoną karę. Ale, ale... czego to się oni domagają? Słyszałem jakieś dziwne słowo, którego wcale nie rozumiem. Tak coś jak „wol”, „wolność”... Co to *znaczy*?

Tajny Strażnik rozłożył ręce. On też nie znał takiego słowa.

— A może ty wiesz? — zwrócił się władca do kata.

— Nie mam pojęcia — odparł człowiek w czerni. — Mogę powiedzieć, co *znaczy* szubienica, sznur, pętla, miecz lub topór — ale nie umiem wyjaśnić słowa „wolność”.

Tyran pobiegł do półki z książkami i wyjął z niej ostatni tom „Encyklopedii”, wydanej niedawno na jego rozkaz. Szybko obracał kartki grubej księgi, aż znalazł poszukiwane hasło. Przeczytał:

“Wolność — pojęcie, które winno być raz na zawsze wykreślone ze słownika porządnego Deszczowca. Słowo przestarzałe, nie mające żadnego znaczenia. W dawnych czasach chętnie używane przez tych, którzy buntowali się przeciwko władzy”.

Nagle tłum zgromadzony na placu podjął potężny okrzyk: — Niech żyje wolność!

Tyran spojrział z pogardą na morze ludzkich głów, falujące przed pałacem.

— Idioci — rzekł do Tajnego Strażnika. — Domagają się czegoś, co nie ma żadnego znaczenia. Wyjdę do nich i wytłumaczę im, że są w błędzie.

Odepchnąwszy od siebie Tajnego Strażnika, który usiłował zatrzymać go w komnacie, otworzył drzwi wiodące na balkon i ukazał się mieszkańcom stolicy.

Na jego widok tłum ryknął:

— Precz z tyranem!

Grzmot okrzyku przetoczył się nad placem i zamarł w bocznych ulicach. Natychmiast zastąpiły go przeraźliwe gwizdy.

Największy Deszczowiec wciąż jeszcze nie mógł pojąć, jak mogło dojść *do* tego. Po raz pierwszy ośmielono się mu sprzeciwić. I tych, którzy to uczynili, były już nieprzeliczone tysiące. Tysiące wygwizdywały jego, najpotężniejszego władcę, człowieka, któremu marzyło się panowanie nad całym światem. To było nie tylko oburzające, ale przede wszystkim niezrozumiałe.

W następnej chwili poleciały na balkon kamienie, ziemniaki, a nawet jabłka. Znów zadźwięczały tłuczone szyby. Jedno jabłko dosięgło tyrana i uderzyło go w koniec nosa. Największy Deszczowiec, trzymając gię<sup>za</sup> ozdobą swej twarzy, uciekł sromotnie do komnat/<sup>za</sup>~ trzaskując za sobą drzwi. To, co tu ujrzał, przeraziło go jeszcze bardziej niż rozbity organ powonienia Tajny Strażnik — jeden z najwierniejszych cowników — stał przy otwartej skrzyni, skarb państwa, i w pośpiechu ładował sztaby złota oraz monety do obszernych kieszeni swej togi. Rę<?e mu drżały, więc skarby rozsypywały się po posadzce, Dzwoniąc i tocząc się po niej aż do basenu z wodą.

— Co robisz? — wrzasnął Największy — Nie ma czasu do stracenia, cenią, enia — nął Strażnik. — Ty też bierz, ile wlezie, i Wszystko skończone, czone, one!

W tej chwili rozległy się potężne uderzenia. Mury zadrżały. To ludzie zgromadzeni na placu przypuścili szturm do drzwi. Uderzano w nie przyniesionym! P<sup>ni</sup>ami drzew. Pojawiły się też długie drabiny, które P<sup>ry</sup>~ stawiono do okien pierwszego piętra. Młodzi ludzik pięli się po nich i wskakiwali do wnętrza pałacu, pociągaj 3<sup>o</sup> za sobą innych.

Sytuacja stawała się groźna. Zrozumiał to -wreszcie Największy Deszczowiec i nie tracąc czasu na zakieranie kosztowności skierował się do tajnego \vVJscia. W ślad za nim udał się Tajny Strażnik.

Po k/^Y<sup>0\*1</sup> schodkach zbiegli obaj do małej izby, a następnik Długim, lecz bardzo wąskim korytarzem wydostali i na tyły pałacowego parku. Tu jeszcze buntownicy n'ie ^o~ tarli.

— Co robić? — pytał zadyszany władca.

— Uciekać — radził mu towarzysz.

— Dobrze, ale dokąd?

— Prosto nosa.

Wtedy tyran przypomniał sobie swój rozbitf<sup>nos</sup> — I ty również kpisz ze mnie? Masz! Błyskawicznie zepchnął Strażnika do fosy pełnej błota i żab, sam zaś pobiegł ku najdalszemu zakątkowi ogrodu. Stała tam mała altanka, obrośnięta liśćmi dzikiego wina, a w niej wielka beczka napełniona wodą. W beczce tej władca kraju chętnie spędzał godziny popołudniowego odpoczynku. W tej chwili marzył tylko o tym, aby się ukryć przed nacierającymi buntownikami. Zanurzył się więc po szyję i rozglądał się bacznie dokoła, gotów w każdej chwili do zanurkowania. Od strony pałacu uciekała reszta gwardii. Bohaterscy wojacy gubili po drodze części garderoby, nie mówiąc już o broni... Nieprzytomni ze strachu skakali do fosy i oblepieni błotem gnali w zapamiętaniu do lasu. Okrzyki zwycięskiego tłumu rosły z każdą chwilą jak lawina. Ze swej kryjówki Największy Deszczowiec widział ucieczkę wszystkich sędziów Trybunału, Skarbnika, Ministra Wojny oraz Największego Dozorcy Kryminalów.

Biegły za nimi grupy rewolucjonistów, wołających bezustannie:

— Niech żyje wolność! Precz z tyranem!

Na czele jednej z gromad pędził pan Akwadon, właściciel kiosku z gazetami. Największy Deszczowiec widział, jak pan Akwadon dopadł uciekającego gwardzisty i wydarł mu z ręki włócznię. Rozbrojony wojak wdrapał się czym prędzej na mur i skoczył do fosy. Akwadon, potrząsając włócznią, wydawał rozkazy swym towarzyszom:

— Przeszukajcie cały ogród, ten drab musiał się tu ukryć.

Największy Deszczowiec domyślił się, że to o nimi mowa, jednak zamiast wyskoczyć z beczki i zbesztać Akwadona za brak szacunku, zanurzył się pod wodę,

uważając, że jest to znacznie rozsądniejsze wyjście z sytuacji. Pomyślał sobie jednak:

— Gdy się rewolucja skończy, każę mu uciąć łeb.

Oczywiście nie przyszło mu na myśl, że gdy rewolucja się skończy, on może nie mieć nic do gadania.

Tymczasem zwycięski tłum zalał wszystkie komnaty pałacu. Z głośników radiowych rozległy się słowa generała Kałuży, który także ogłaszał swe przejście na stronę powstańców. Zapanowała ogólna radość. W potokach ulewnego deszczu uciekali z miasta ostatni przedstawiciele nienawidzonej władzy. W oknach domów powiewały sztandary z napisami: "Niech żyje wolność". Największy Deszczowiec nie wychylał głowy z beczki, nie wiedząc, co ma ze sobą zrobić. Jedynym ratunkiem było doczekanie się ciemności i opuszczenie stolicy pod jej osłoną. Ale do wieczora pozostało jeszcze kilka godzin.

Profesor Gąbka i Salamandrus nic jeszcze nie wiedzieli o tym, co zaszło w stolicy. Ukryci w jaskini, układali się do snu na skale, marząc o ciepłej kołdrze i równie ciepłej kolacji. Jednak obydwa te marzenia nie miały żadnych szans na urzeczywistnienie.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

### M/S “INTERFERENCJA” WYPLYWA NA MORZE

Po dwóch dniach pracy tratwa była gotowa. Przedstawiała się znakomicie. Była wielka i wygodna. Wznosił się na niej domek, zbudowany z prętów bambusowych oraz palmowych liści. Na cześć Przewodniczącej Stada Smok nadał tratwie imię “Interferencja”. Ceremonia chrztu odbyła się z zachowaniem wszystkich marynarskich zwyczajów. Zamiast tradycyjnej flaszki szampana, rozbijanej o burtę statku, nasi podróżnicy użyli butelki z płynnym owocem. Mistrz Bartolini poświęcił jeden z obrusów na wykonanie flagi. Przy pomocy pędzla umaczanego w sosie pomidorowym wymalował na niej sylwetkę Smoka oraz nazwę statku.

Statek był naprawdę imponujący i nasi podróżnicy od razu poczuli się żeglarzami, godnymi stanąć w jednym szeregu z Kolumbem, Jamesem Cookiem i Jasiem Zielone Ucho. O ile dwa pierwsze nazwiska są raczej dość znane, o tyle to trzecie nie zdobyło sobie jeszcze należnej sławy. A szkoda. Trzeba bowiem wiedzieć, że Jaś Zielone Ucho na zbudowanej przez siebie balii przepłynął z Grodu Kraka do Niepołomic i to nie sam, ale w towarzystwie psa Kręciołka, kota Onufrego i oswojonej kawki Czarnulki.

Na zakończenie uroczystości małpy odtańczyły Taniec Zwycięstwa przy wtórze tam-tamów.

Smok usiadł za kierownicą samochodu i z zachowaniem wszelkich ostrożności wprowadził anofibi<sup>^</sup> na pokład tratwy. Następnie przy pomocy swych towarzyszy wymontował silnik i przymocował go na skraju statku, tak że śruba znajdowała się już w wodzie. W ten sposób tratwa stała się statkiem motorowym, zdobnym do poruszania się we wszystkich kierunkach. Baga że, które mogłyby ulec zniszczeniu, schowano do bambusowego domku.

Wiatr wiał od Wzgórz Cynamonowych i łopotał flagą z wizerunkiem Smoka. To było naprawdę śliczne.

— Na takim statku możecie opłynąć cały ś<sup>^</sup>wiat dokoła — powiedziała Interferencja.

— Na pewno tak zrobię — rzekł Smok — ale najpierw musimy uratować Baltazara Gąbkę z r<sup>^</sup>k Deszczowców.

Po chwili silnik zaskoczył, śruba spienił a wodę, a tratwa, odepchnięta od brzegu, wypłynęła na wody jeziora.

Zgromadzone na brzegu małpiszony długo rmaczały łapkami.

Smok, Bartolini, Koyot i Don Pedro odpowLadali im przy pomocy chusteczek oraz ręczników.

Wkrótce potem nasi podróżni ujrzeli rzek<sup>^</sup>M<sup>3</sup> zuri.

— Teraz już nie zabłądzimy — ucieszył się Smok. — Rzeka zaprowadzi nas do morza.

Nacisnął dźwignię gazu. Silnik głośno zawarczał i tratwa nabrała szybkości. Drzewa porastające oba brzegi rzeki poczęły przesuwać się coraz szybciej.

Bajecznie kolorowe papugi, spłoszone warkotem silnika, zrywały się z drzew i napępiały dżungl ę chrapliwym krzykiem. Wężę boa, zażywające słodkie j drzemki, budziły się i mruczały: “Cóż to za hałas?” Najbardziej jednak dziwiły się krokodyle, podobne do pni drzewnych, poukładanych na mulistym brzegu rzeki. Krokodyl, który swego czasu połknął podróżnika, rzekł do swej lubej małżonki:

— Chętnie bym zjadł to coś, co płynie środkiem rzeki. Co o tym sądzisz?

Pani krokodylowa, jako osoba przewidująca, odradziła mu jednak niezwykle śniadanie:

— Lepiej nie, mój drogi. Znowu zepsułyś sobie żołądek, jak wtedy kiedy zjadłeś dubeltówkę misjonarza. To jedzenie, które płynie rzeką, zbyt długo burczałoby ci w brzuchu.

Po dwóch dniach żeglugi tratwa "Interferencja" wpłynęła na wody Zatoki Błękitnego Wieloryba.

Pogoda była nadal przepiękna, słońce paliło od rana do wieczora, a morze — błękitne jak oczy Smoka — zachowywało się bardzo spokojnie. Podróżni całymi godzinami podziwiali harce delfinów i stada ryb latających.

Kapitan m/s "Interferencja" (gdyż Smok był teraz kapitanem prawdziwego, pełnomorskiego statku) włożył sobie na głowę marynarską czapkę. Z fajką w ustach i lornetką na piersi przedstawiał się wspaniale. Załoga z dumą spoglądała na swego zwierzchnika, przechadzającego się po pokładzie krokiem dostojnym i pewnym. Doktor Koyot został mianowany Naczelnym Lekarzem Okrętowym, Bartolini otrzymał tytuł Najwyższego Kuchmistrza m/s "Interferencja", a Don Pedro przybrał sobie godność bosmana.

Jak okiem sięgnąć nie było widać żadnego statku. Byli sami na bezmiernym oceanie. W dzień towarzyszyło im słońce, nocą zaś gwiazdy.

Myśl o profesorze znajdującym się być może w śmiertelnym niebezpieczeństwie nie pozwalała im jednak na bez troskie oddawanie się przyjemnościom żeglugi. Dlatego też Smok nie żałował benzyny i tratwa sunęła bardzo szybko, .zostawiając za sobą biały szlak spienionej wody.

Don Pedro nie posiadał się z radości. Był przecież naj morzu, mógł więc do woli korzystać z kąpieli w czystej i słonej wodzie. Skakał w błękitne fale, pływał dokoła tratwy, nurkował, jednym słowem broił jak dziecko na wakacjach. Od czasu do czasu kładł się na skraju tratwy i w miarę wysychania polewał się wodą z rondelka.

Trzeciego dnia żeglugi wprawne ucho Smoka zarejestrowało zaburzenia w pracy silnika. Kapitan podbiegł do motoru — i w tej samej sekundzie jego warkot urwał się jak ucięty nożem.

Kontrola wykazała rzecz przerażającą: zabrakło benzyny. Zbiornik był zupełnie pusty.

— Jak się to mogło stać? — zastanawiał się Smok — przecież dziś rano było jeszcze sporo paliwa...

— Oto przyczyna — zawołał nagle doktor Koyot — i wskazał palcem na maleńką dziurkę w zbiorniku.

— Ale przecież tej dziurki przedtem nie było.

— Tu jest sprawca — krzyknął Don Pedro i sięgnąwszy ręką do zbiornika wyciągnął z niego potworka wielkości szczura.

— Okropik! — zawołał Smok. — To on zrobił dziurę w zbiorniku!

Nie ulegało wątpliwości, że uszkodzenie było spowodowane przez owego niby-szczura. Okropik ten. miał na końcu nosa niezwykle długi róg, zaopatrzony w maleńkie ząbki. Tą piłą zrobił dziurę w zbiorniku, powodując ucieczkę benzyny do morza.

— Co teraz będzie? — rzekł Koyot i załamał ręce. Smok poskrobał się w głowę.

— No cóż, musimy założyć żagiel. Don Pedro, daj .nam swoją pelerynę.

Po chwili peleryna Deszczowca, przybita do masztu i naciągnięta przy pomocy sznura, wypełniła się wiatrem. Statek ruszył z miejsca i podjął swój kurs.

— Hura! — krzyknęli pozostali pasażerowie statku. — Niech żyje nasz kapitan!

Smok usiadł na pokładzie i zapisał w "Dzienniku Okrętowym": "Godzina 14.30. Zostałem kapitanem jednomasztowego żaglowca. Płyniemy dawnym kursem. Wiatr południowy. Załoga w dobrym stanie".

A Okropik, który był sprawcą całego zdarzenia, wydrapał się na dach domku i zwinął się tam w kłębek.

— Co z nim zrobimy? — zapytał doktor Koyot.

— Zabierzemy go do kraju — odparł Smok — znajdzie się dla niego miejsce w ogrodzie zoologicznym.

— A to drab — rzekł Bartolini, który jakoś nie mógł nabrać sympatii do Okropików. — Chętnie zrobiłbym z niego gulasz.

Okropik, nie mając pojęcia, że jest obiektem zainteresowania, spał sobie spokojnie na dachu, w gorących promieniach południowego słońca.

Na drugi dzień od rana niebo było pokryte chmurami. Morze nabrało stalowych odcieni, zrobiło się smutne i niemile. Tratwa płynęła w wyznaczonym kierunku, a załoga jej z utęsknieniem wypatrywała lądu.

Don Pedro wciągnął powietrze głęboko do płuc. Zapachniało mu rodzinnym krajem, rozpoznał woń deszczu i mokrej ziemi.

— Zbliżamy się do Relaksji — powiedział. — Tani chciałem was opuścić, ale zmieniłem zdanie.

— Dlaczego? — zapytał Smok — przecież nie możesz płynąć z nami. Największy Deszczowiec każe ci uciąć głowę.

— Nie boję się go — odparł Don Pedro. — Uważana, że mogę się wam bardzo przydać. Znam zwyczaje tego kraju i mowę jego mieszkańców. Największy Deszczowiec nie wie jeszcze o tym, że przeszedłem na waszą stronę.

— Jesteś prawdziwym przyjacielem — odezwał się Smok, wzruszony postanowieniem Deszczowca. — Pozwól, że cię uściskam.

— Gdy zobaczymy skaliste brzegi Relaksji — mówił Deszczowiec — wtedy napotkamy na silny prąd morski, który nas zawiedzie do Krainy Deszczu. Ale musimy się przygotować na silne sztormy. Między Relaksją a krainą Deszczowców leży Morze Burzliwe. Mam jednak nadzieję, że nasza tratwa da sobie radę z falami.

— W najgorszym razie będziemy się ratować przy pomocy gumowej wanny — powiedział Smok. — To będzie nasza szalupa.

Wkrótce na horyzoncie pojawiła się sylwetka stromej skały; tuż pod nią morze bieliło się od pian.

— Pożycz mi lornetkę, Smoku — poprosił Don Pedro. — Chcę się przyjrzeć Relaksji.

Przez dłuższy czas obserwował brzegi wysepki, po czym zwrócił lornetkę kapitanowi.

— Niestety, mojego domu stąd nie widać. Jest po przeciwnej stronie wyspy.

Kiedy Relaksja została w tyle, tratwa unoszona przez prąd znalazła się na falach Morza Burzliwego.



## Rozdział dwudziesty drugi

### SZTORM NA MORZU BURZLIWYM

Noc minęła stosunkowo spokojnie, ale nad ranem fale zaczęły się wdzierać na pokład tratwy. “Interferencja” drżała pod naporem potężnych mas zielonej wody. Smok obawiał się o samochód i z zatroskanym obliczem wciąż sprawdzał, czy liny się nie rozluźniły. Na szczęście wiązania nasiąkły wodą i napęczniały, tak że nie było<sup>1</sup> mowy o splukaniu samochodu przez fale.

Dzień wstał ciemny i chłodny. Wiatr rosnący z każdą godziną szarpał żaglem, chcąc go oderwać od masztu.

Jak okiem sięgnąć białą czubę fal. Wicher zrywał je i niósł w powietrzu jak wielkie płyty śniegu. Coraz więcej pian rozciągało się na falach.

— Sztorm rośnie — powiedział Don Pedro. — Będzie jeszcze gorzej. Musimy się przywiązać do masztu, żeby nas nie splukało. Ale płyniemy w dobrym kierunku.

Przywiązanie się do masztu nie było łatwe ze względu na coraz większe przechyły tratwy. Ale po wielu nieudanych próbach załoga “Interferencji” dokonała tego zadania.

— Na moim wodoszczelnym zegarku jest południe — powiedział w pewnej chwili Smok. — Gdybym mógł teraz sięgnąć do radia, posłuchalibyśmy hejnału z Wieży Mariackiej.

Fale rosły z przerażającą szybkością. Wkrótce były tak wielkie jak budynki książęcego zamku na Wawelu. Tratwa wpadała w zagłębienia jak w doliny między górami. W następnej chwili, wydźwignięta przez fale, wylatywała wysoko w górę.

— Jak się wam podoba taka huśtawka? — krzyczał Smok do przyjaciół, chcąc im dodać otuchy przy pomocy żartów.

— Dałoby się wytrzymać — odwrzasnął lekarz — gdyby nie była taka mokra.

Biedny Bartolini był jednak odmiennego zdania. Nie znosił huśtawki i dlatego prześladowały go nudności. Wiadomo, że choroba morska nie jest wprawdzie groźna, ale bardzo nieprzyjemna. Z bladą twarzą siedział u stóp masztu, silnie obejmując go rękami. Smokowi było zimno, dokuczały mu dreszcze i bóle głowy. Ale nie dawał tego poznać po sobie. Z uporem wpatrywał się w chmury, jakby chciał je rozedrzeć swym wzrokiem i ujrzeć brzegi Krainy Deszczu. Jedyne Don Pedro był w doskonałym humorze i pocieszał swych towarzyszy:

— Już niedaleko. Wieczorem powinniśmy zobaczyć brzeg. Dobrze by było wylądować koło Skał Czterojajecznych.

— Dlaczego? — zapytał Smok, z trudem powstrzymując się od dzwonięcia zębami.

— Bo tam jest wygodna zatoka do lądowania oraz jaskinie, w których można się ukryć.

Nagle uderzenie bocznej fali przechyliło tratwę, tak że zgromadzonym na niej pasażerom zdawało się, iż siedzą na stromym dachu. Rozległ się ostry trzask — i połowa masztu runęła do wody. Strzępy zerwanego żagla łopotały nad głowami przerażonej załogi.

— To koniec — pomyślał Smok. — Toniemy!

Ale nie chcąc wywoływać paniki, zdobył się nawet na wesołość:

— Patrzcie, jaki śmieszny ten kikut... Przypomina mi nartę, którą złamałem przy zjeździe z wawelskiej góry.

I o dziwo — w tej groźnej chwili, gdy życie podróżników wisiało na włosku, na ich pobladłych twarzach pojawiły się uśmiechy.

Spokojny ton głosu Smoka podziałał na nich jak balsam.

Nie może być źle, skoro kapitan żartuje — pomyśleli sobie. — Nie damy się!

Było coraz zimniej. Kłęby chmur stykały się z morzem, wiatr siekł w twarze strzępami piany, tratwa dygotała od potężnych ciosów zadawanych przez fale. Wszyscy członkowie załogi byli przemoczeni do ostatniej nitki, wszyscy też dzwonili zębami, w czym oczywiście przodował Smok, jako właściciel najpiękniejszej ich kolekcji. Chwilami dzwonienie to stawało się tak głośne, że przewyższało ryk fal. Nawet Don Pedro wyglądał żałośnie. W pewnym momencie Smok kątem oka ujrzał potężną falę nadbiegającą od tyłu. Jej spieniony czub wznosił się wysoko nad tratwą.

— Uwaga — krzyknął pełnym głosem — trzymajcie się!

Zwały zielonej wody runęły na pokład “Interferencji”. Rozległ się trzask pękających lin i samochód przesunął się niepokojąco na krawędź tratwy.

— Trzymajcie samochód — wrzasnął Bartolini i zapomniawszy o swoich cierpieniach chwycił za jedno koło, zapierając się nogami o belki.

Na to hasło pozostali członkowie załogi rzucili się do amfibii, aby zatrzymać ją w drodze do morskich głębin. Nie było to łatwe zadanie, ponieważ tratwa co chwila zmieniała pozycję: stawała dęba, to znów tańczyła na wszystkie strony, wykazując niepowstrzymaną chęć robienia koziołków.

Ściemniało się szybko. Smok z rozpaczą myślał o zbliżającej się nocy, był przekonany, że “Interferencja” nie wytrzyma do rana.

*n*— Czeka nas śmierć. — Najgorsze to, że nie uratujemy profesora Gąbki. Wszystko może pójść na marne.

Dopiero po chwili uświadomił sobie, że mówi na głos.

— Nie damy się — odpowiedział mu Don Pedro, słysząc głos Smoka. — Nie damy się, mowy o tym nie ma. Tratwa wytrzyma.

— Musi wytrzymać — rzekł Koyot. — Przecież małpy zapewniały nas, że się nie rozleci.

Ale Smok jako dowódca załogi, odpowiedzialny za jej życie, musiał wziąć pod uwagę możliwość katastrofy. Przeto z wielkim wysiłkiem wyciągnął z samochodu gumową wannę i przy pomocy Don Pedra napelnił ją powietrzem. W ten sposób “Interferencja” wzbogaciła się o szalupę ratunkową, zdolną od biedy pomieścić wszystkich członków załogi. Przywiązawszy wannę do resztki masztu, Smok powiódł wzrokiem po horyzoncie. Przez moment wydawało mu się, że widzi coś w rodzaju góry. Po chwili jednak ciemny zarys zniknął w mgle. Ale do uszu Smoka (a wiemy, że smoki cieszą się doskonałym słuchem) doleciał jakiś szum, który nie przypominał dotychczasowego szumu rozhuśtanych fal.

— To chyba szum wody rozbijającej się o skały — pomyślał — i ruchem ręki przywołał do siebie Don Pedra.

— Wydaje mi się, że jesteśmy w pobliżu brzegu — powiedział do niego półgłosem, nie chcąc, by go słyszeli pozostali członkowie załogi. Chodziło mu po prostu o to, aby ich nie zmartwić, gdyby rzekoma bliskość brzegów okazała się złudzeniem. Don Pedro przez chwilę nasłuchiwał, po czym przyznał Smokowi rację.

— Tak. To słyhać fale łamiące się na skałach. Jesteśmy blisko brzegu. Nawet szybciej niż myślałem.

— Widocznie trafiliśmy na dobry wiatr — rzekł Smok. — Jesteśmy więc uratowani.

Już i doktor Koyot usłyszał huk przyboju. Jedyne Bartolini zobojeźniały był na wszystko, co się działo wokół niego. Ostatkiem sił trzymał się masztu i starał się zachować przytomność.

— Patrzcie — wykrzyknął nagle Don Pedro i wyciągnął rękę przed siebie. — Patrzcie, co to?

W zapadającej szybko ciemności rozjarzył się nikły, czerwony punkcik. Wyglądało to, jakby wśród chmur pojawiła się czerwona gwiazdka.

— Co to?

Punkcik rozjarzał się coraz mocniej i nie zamierzał zgasnąć.

— Już wiem — zawołał Don Pedro — to ognisko!

— Ognisko? Na morzu?

— Nie na morzu. Na lądzie. Tam są skały!

— Ziemia! — krzyknął najlepszy z kucharzy.

— Ziemia! — zawtórował mu najlepszy z książęcych medyków.

— Ziemia! — westchnął z ulgą Smok — jaka to wspaniała rzecz: ziemia.

— Musimy teraz uwa... — zaczął Smok, ale nie dokończył rozpoczętego zdania, ponieważ

tratwa porwana przez silną falę wsunęła się w szczelinę między skałami, które nagle wyrosły po obu jej stronach. "Interferencja" była teraz zdana na los szczęścia. W każdej chwili mogła się rozlecieć na drobne kawałki.

Nagły podmuch wiatru rozpędził mgłę — i wtedy podróżni ujrzeli brzeg. Fale wbiegały na piasek i rozlewały się szeroko.

— Świetnie — zawołał kapitan Smok. — Lądujemy. Załoga na stanowiska. Przygotować się do manewrów!

Ale o żadnych marynarskich manewrach nie było mowy. Tratwa, uniesiona przez nadbiegającą falę, łagodnie ułożyła się na plaży, tak jakby chciała spocząć po wyczerpujących ją skokach.

Byli na lądzie.

Za nimi pieniało się morze — ale w zacisznej zatoczce było spokojnie i bezpiecznie.

## Rozdział dwudziesty trzeci

### STRASZNA NOWINA

— Jesteśmy w Krainie Deszczu — rzekł Smok.

— Nie ulega wątpliwości — jęknął Bartolini. — Mam wrażenie, że przemokłem do środka żołądka.

— On tylko myśli o żołądku — uśmiechnął się Don Pedro.

— Nie tyle o swoim, ile o waszych żołądkach — odciął się kucharz, — Gdyby nie ja, ładnie byście wyglądali.

— Bylibyśmy znacznie szczuplejsi — rzekł Smok. No, ale teraz trzeba się zastanowić, co dalej?

— Ognisko się jeszcze pali — powiedział Don Pedro. — Może tam ktoś jest?

Czepiając się śliskich kamieni, podróżnicy wspięli się na skalną półkę, na której migotały nikle płomyki.

— To ognisko jest w jaskini — rzekł Smok, pierwszy stając na skale. — Dlatego nie zgasło.

— Tu ktoś jest — zawołał Don Pedro.

Siedzący przy ogniu człowiek powstał i z niepokojem spojrzał na przybyłych. Był to Deszczowiec, o czym świadczyły błony między palcami stóp. Widząc rodaka, Don Pedro wysunął się ku przodowi i zapytał:

— Gdzie jesteśmy?

— Na Skałach Czterojajecznych — odparł nieznajomy.

— Doskonale. To znaczy, że niezbyt daleko od stolicy.

— Czy chcecie jechać do Kibi-Kibi?

— Tak.

— Nie radzę. Tam się biją. Rewolucja.

— Co mówisz?

— Największy Deszczowiec uciekł z pałacu i schował się w mysiej dziurze. Wszyscy go szukają. Uciekli jego urzędnicy, szpiedzy, sędziowie, wojsko...

— Niesłychane — zawołał Don Pedro. — A czy słyszałeś coś o niejakiim profesorze Gąbce?

— Nie tylko słyszałem — rzekł nieznajomy — ale nawet go widziałem. Przed godziną.

— Człowieku — zawołał Smok — czy mówisz prawdę?

— Oczywiście. Jeszcze przed godziną był ta w towarzystwie jednego Deszczowca.

— I co się z nim stało? Mów.

— Stało się nieszczęście — rzekł Deszczowiec. — I ja do tego przyłożyłem rękę. Ale zapewniam was, że jestem niewinny.

— Mów szybko, co z profesorem?

— Profesor Gąbka został niedawno aresztowany i wtrącony do więzienia. Razem z nim aresztowano także dozorcę Jeziora Tysiąca Nenufarów, Salamandrusa.

— Wiemy o tym, wiemy.

— Największy Deszczowiec oddał ich pod sąd. Zostali skazani na dziesięć lat ciężkich robót w kamieniołomach na Diabelskiej Górze.

— Ale skąd się tu wzięli?

— Zaraz się o tym dowiecie. Gdy wieziono ich kareta do kamieniołomów, Bagienniki Purpurowe urządziły niespodziewany napad. Strażnicy uciekli, gdzie pieprz rośnie, a profesor i Salamandrus skorzystali z zamieszania i schowali się tu, w tej jaskini.

— I co dalej? — Smok aż dygotał z niecierpliwości. — Mów prędko!

— Przez kilka dni ukrywali się tutaj — ciągnął swą opowieść Deszczowiec — a ja donosiłem im żywność. Przyniosłem im też pościel, koce i poduszki... Profesor był bardzo dobry dla mnie i dał mi nawet swój zegarek.

— Masz go jeszcze?

— Mam.

— Pokaż.

Deszczowiec wyciągnął ku niemu rękę.

— Poznaje — krzyknął Smok — to zegarek marki "błonie", robiony w Grodzie Kraka. To zegarek profesora! Gdzie jest profesor Gąbka?

— W niewoli — rzekł Deszczowiec. — To straszne, ale przed godziną wpadli tu strażnicy i znowu ich zabrali.

— Smoku — zawołał mistrz Bartoldni — jeżeli on wydał ich żandarmom, nabiję go na moją szpadę!

— Jestem niewinny — sizepnął Deszczowiec i z przerażeniem cofnął się do wnętrza jaskini. — Zapewniam was, że jestem niewinny.

— Skąd się tu wzięli żandarmi? Czy ty im doniosłeś, że profesor tutaj się ukrył? Mów, jeśli ci życie miłe!

— Litości — zawołał Deszczowiec — ja naprawdę jestem niewinny! Pewnego dnia przyszedł tu jakiś człowiek, który mówił, że nazywa się Mżawka i że jest serdecznym przyjacielem profesora. Pytał mnie, czy go nie widziałem, bo chciał mu pomóc w ucieczce do ojczyzny. A ja byłem taki głupi, że w to uwierzyłem — no i pokazałem mu schronienie profesora. A tymczasem ten Mżawka był szpiegiem i sprowadził żandarmów. Porwali go w moich oczach, a mnie tak zbili, że ledwo mogę się ruszać. Patrzcie, jakie mam ślady na rękach i nogach.

— Smoku — zawołał Koyot — jeżeli to było przed godziną, to są jeszcze niedaleko. Gońmy ich!

— W porządku — rzekł Smok. — Nie ma ani chwili do stracenia. Na szczęście deszcz przestał padać i robi się pogoda.

— U nas tak zawsze — powiedział Don Pedro. — W nocy nie ma deszczu.

— Dokąd mogli ich porwać?

— Chyba do kamieniołomów na Diabelskiej Górze — rzekł Deszczowiec. — Słyszałem, jak się umawiali, że po odwiezieniu więźniów do kamieniołomów wrócą do stolicy, żeby walczyć z powstańcami i przywrócić panowanie Największego Deszczowca.

— Jedziemy — zawołał Smok — ściągajcie z tratwy samochód!

Bartolini, który na łądzie natychmiast zapomniał o swych dolegliwościach, zbiegł szybko na plażę, aby wykonać polecenie. Zanim jednak postawił nogę na pokładzie tratwy, przypomniał sobie, że przecież samochód jest bezużyteczny z powodu braku benzyny. Wezbrała w nim wściekłość na głupiego Okropika, który wywiercił dziurę w zbiorniku.

— Ja mu dam — warknął pełen gniewu i poszukał wzrokiem dziwnego stworka, o którym w czasie sztormu wszyscy zapomnieli. Okropik przerażony hukami fal i wyciem wichru schował się pod maskę silnika i nosa na zewnątrz nie wystawiał. W chwili gdy Bartolini postanowił go ukarać, wychylił głowę spod maski i rozglądał się dokoła, rozmyślając, w jaką by tu stronę uciec. Wtedy usłyszał okrzyk kucharza: "Mam cię" i ujrzał jego rozwścieczoną twarz tuż nad sobą.

Bez namysłu dał susa i znalazł się na tylnym siedzeniu samochodu. Już podczas skoku spostrzegł, że są tu szpary, w które można się wcisnąć. Wsunął się więc szybko między dwa siedzenia i nagle

wpadł w ciemną skrzynię, tłukąc się boleśnie o coś twardego. W następnej sekundzie poraziło go jasne światło. To Bartolini, zaopatrzony w latarkę, podniósł siedzenie samo<sup>^</sup> chodu i zaglądał do znajdującego się pod nim schowka. Krzyk radości wyrwał się z ust kucharza.

— Benzyna!

W skrzyni pod siedzeniem stały dwa kanistry, napełnione benzyną.

Że też mogliśmy o nich zapomnieć — pomyślał kucharz. — Co za wspaniałe odkrycie.

Tymczasem Okropik, korzystając z nieuwagi swego prześladowcy, wyskoczył ze skrzyni i smyknął do najbliższego schowka w skałach.

Tu zamieszkać —\* pomyślał. — Będę straszył mewy i jakoś się urządę w tym mokrym kraju.

Po chwili Smok, Don Pedro i Koyot znaleźli się z powrotem przy tratwie.

— Jest benzyna — krzyczał Bartolini, szczęśliwy jakby go kto na sto koni wsadził. — Jest benzyna!

— Co z tego? Przecież z dziurawego zbiornika wszystko wycieknie — powiedział doktor.

— Jest na to rada — rzekł Smok. — Siądziesz koło mnie i będziesz trzymał bańkę na kolanach. Mam kawałek rurki gumowej, benzyna będzie ściekać wprost do silnika.

— Ty zawsze znajdziesz radę na wszystko — oświadczył z uznaniem doktor. — Nie od parady masz taki wielki łeb.

Nie tracąc czasu wszyscy zajęli miejsca w samochodzie, ściągniętym z tratwy na plażę.

— Jazda — zawołał Smok — i nacisnął pedał gazu. Amfibia ruszyła z miejsca, napełniając warkotem całą okolicę.

— Tempo! Tempo! — wołał Bartolini. — Musimy ich dogonić. Wszystkich żandarmów nabiję na szpadę, jakem Bartolini herbu dwa widelce i udziec barani! Pokażę im, kim jestem! Na sam mój widok uciekną w popłochu! Zobaczycie!

Samochód podskoczył kilka razy na kamieniach, po czym wjechał na drogę, biegnącą przez las. Na mokrym piasku było jeszcze widać ślady kół karety oraz kopyt końskich.

Strzałka szybkościomierza podskoczyła początkowo na pięćdziesiąt, a wkrótce potem na sto kilometrów. Wicher świstał w uszach. Pęd powietrza wyciskał łzy z oczu.

— W tym tempie powinniśmy ich wkrótce dogonić — rzekł Don Pedro.

— Nie krzycz hop, dopóki nie przeskoczysz — powiedział Smok, który jak wiemy, lubił posługiwać się przysłowiami.

## Rozdział dwudziesty czwarty

### NOCNA BITWA

Kareta, ciągnięta tym razem przez trzy pary koni, gnała po leśnej drodze, dudniąc i skrzypiąc. Wysokie jej koła podskakiwały na korzeniach i wybojach, a czarne pudło chwiało się niepokojąco.

Po obu stronach karety cwałowało dwudziestu jeźdźców. Byli to żandarmi sprowadzeni przez pana Mżawkę z pobliskiego miasteczka Mokre Doły. Dowodził nimi znany ze swej srogości a zarazem z wielkiej tuszy, rotmistrz Wir-Siąpawica. Opowiadano- o nim, że choć na śniadanie potrafił zjeść dwie beczki zgniłej kapusty i popić kadzią deszczówki — to jeszcze narzekał na skromne, żołnierskie wyżywienie.

W ciasnym wnętrzu karety podskakiwali na siedzeniu dwaj znajomi więźniowie: profesor Gąbka i Salamandrus.

Tym razem przykuto ich łańcuchami do żelaznych pierścieni, tkwiących w ścianach karety.

Niespodziewany napad żandarmów wtrącił naszych przyjaciół w beznadziejne przygnębienie. Kilka dni przeżytych na wolności w jaskiniach Skał Czterojajecznych zdawało się im pięknym snem... Byli szczęśliwi patrząc na spienione morze, ciesząc się wolnością i swobodą. Pomoc ze strony rybaka mieszkającego w pobliżu Skał Czterojajecznych pozwalała im odpocząć po strasznych przejściach w pałacu Największego Deszczowca. Najszcześniejszą chwilę przeżyli dowiedziawszy się od swego opiekuna o rewolucji w stolicy. Według jego relacji, Największy Deszczowiec uciekł sromotnie z pałacu i schował się w jakimś nie znanym miejscu — a wraz z nim uciekli wszyscy jego pomocnicy i dworzanie. W Kibi-Kibi rządził lud przy pomocy Rady Tymczasowej, urzędującej w dawnym pałacu tyrana. Na prowincji jednak sytuacja była niejasna. Niektóre oddziały wojskowe w dalszym ciągu sprzyjały tyranowi i zapowiadały okrutne kary dla buntowników. Do najzagorzalszych obrońców dawnego władcy należał właśnie rotmistrz Wir-Siąpawica, dowódca garnizonu w Mokrych Dołach. Do niego więc udał się pan Mżawka z prośbą o aresztowanie ukrywających się zbiegów.

I tak po kilku dniach wolności profesor Gąbka oraz Salamandrus znów byli więźniami i znów jechali do kamieniołomów na Diabelskiej Górze. Tam jeszcze nikt nie wiedział o rewolucji — władzę zaś sprawował gubernator Gnilec Oślizgły, jeden z najserdeczniejszych przyjaciół Tajnego Strażnika Niezwykłe Mokrej Pieczęci.

Pan Mżawka, spełniwszy czyn, za który spodziewał się wielkiej nagrody, przysiadł się do woźnicy i jechał wraz z nim na wysokim koźle, trzymając się mocno poręczy.

Była już noc, więc na rozpogodzonym niebie zabłyśły gwiazdy. Koło dziesiątej ukazał się księżyc, napełniając całą okolicę srebrzystozielonkawym światłem. Drzewa rzucały na drogę czarne cienie, od czasu do czasu słyhać było pohukiwanie puszczyków i dalekie wycie wilków.

— To straszne — szeptał Gąbka do Salamandrusa. — To okropne, że znowu jesteśmy w niewoli. Tym razem nic nas już nie uratuje.

Dozorca Jeziora milczał przez dłuższą chwilę, zanim się odezwał:

— A ja i teraz nie tracę nadziei, drogi profesorze. Jeżeli lud objął władzę w Kibi-Kibi, to obejmie ją także w całym kraju. To tylko kwestia czasu.

— Oby tak się stało — odparł profesor — niczego więcej nie pragnę, jak skończyć swe prace naukowe i wrócić do domu.

Na wspomnienie Grodu Kraka z oczu uczonego wybiegły dwie łzy. Przypomniawszy sobie księcia, kochanego Smoka z Jamy, swojego brata Hipolita, domek tonący w krzakach bzu, ogródek pachnący

maciejką — a wreszcie swą zaciszną pracownię, pełną książek i obrazów.

Czy ja to jeszcze kiedyś zobaczę? — pomyślał i otarł łzy z twarzy, gdyż wstydził się oznak słabości. Ale Salamandrus i tak nie mógł go widzieć, ponieważ w karecie było ciemno. Rotmistrz kazał zasłonić okna firankami z czarnego aksamitu, aby uniemożliwić więźniom obserwowanie drogi.

Po dwóch godzinach jazdy pan Mżawka spostrzegł na pniach drzew jakieś dziwne błyski. Światelka te podskakiwały, malując konary sosen i dębów i coraz bardziej przybierając na sile. Wreszcie, tknięty jakimś przeczuciem, obejrzał się do tyłu i zobaczył snop światła, kładący się na drodze.

— Patrz — zawołał do woźnicy — co to?

Już i żandarmi zwrócili uwagę na owo dziwne światło, skaczące po pniach drzew. Rotmistrz Wir-Siąpawica wyciągnął szablę z pochwy i krzyknął:

— Stać! Woźnica zawołał:

— Prrrrrr...

— Do stu trzydziestu tysięcy beczek suchego piasku — zaklął Wir-Siąpawica. — Co się dzieje?

W perspektywie drogi ukazały się dwa jasne ślepie, a jednocześnie dał się słyszeć dziwny warkot. Konie żandarmów strzygły uszami, jeźdźcy robiliby to samo, gdyby mogli. Trwożliwsi zerkali już ku krzakom, szukając miejsca do schowania się przed nadciągającym niebezpieczeństwem.

— Szable w dłoń — zakomenderował dowódca. Szczęk broni zaniepokoił więźniów.

— Czyżby już chcieli uciąć nam głowy? — szepnął Salamandrus.

— Pst — odparł Gąbka — zdaje się, że słyszę samochód.

— Co to znaczy: samochód?

— Teraz nie czas na tłumaczenie. Ale przyznam się, że jestem zdumiony.

Tymczasem dziwny potwór o jasno świecących oczach zatrzymał się na drodze. Rotmistrz Wir-Siąpawica ujrzał, że z niezwykłego wozu na czterech grubych kołach wyskakują jacyś ludzie. Jaskrawe światło zalewało drogę. Widać w nim było pobladłe twarze żandarmów i niespokojnie kręcące się konie. W następnej chwili dowódca oddziału usłyszał głos jednego z przybyłych:

— Czy jest tu profesor Gąbka?

Rotmistrz skierował ku niemu konia i wrzasnął:

— A cóż to ciebie obchodzi, ty głupcze! Kim jesteś?

— Bardzo mi przykro — rzekł Smok — ale zapomniałem swojej wizytówki. Nie mam także dowodu osobistego ani paszportu.

— W takim razie w ogóle ciebie nie ma — krzyknął Wir-Siąpawica. — Człowiek bez paszportu wcale nie istnieje.

— Ale ja jednak jestem — powiedział Smok ze słodyczą w głosie. — To nie ulega wątpliwości.

— Może dla ciebie, ale nie dla mnie. Mów, czego chcesz.

— Szukam profesora Gąbki i jego towarzysza.

— Jakim prawem?

— Ludzkim prawem — rzekł Smok. — Są w niebezpieczeństwie i należy się im pomoc.

— Nic im nie grozi — zaśmiał się Wir-Siąpawica. — Są tak dobrze zabezpieczeni, że włos z głowy spaść im nie może, chyba razem z głową, ha, ha!

Ale Smok wcale się nie roześmiał. Przeciwnie, nawet spoważniał.

— Żądam natychmiastowego wydania aresztowanych. Zapewne są w tej karecie.

— A co ciebie to obchodzi, ty chłystku — wrzasnął rotmistrz, który nigdy nie grzeszył



uprzejmością. — Uciekaj pókim dobry, bo każę cię posiekać. Jestem Wir-Siąpawica!

Ale imię groźnego wojaka nie zrobiło na Smoku żadnego wrażenia.

— Możesz sobie być wirem, siąpawicą, ulewą czy nawet bałwanem — mnie to nie obchodzi.

Masz natychmiast wypuścić więźniów. Liczę do trzech: Raz!

Rotmistrz uniósł szablę do góry.

— Ja ci dam — wrzasnął głosem tak silnym, że aż się zakrztusił.

Ale Smok nawet nie drgnął i powiedział:

— Dwa!

— Precz mi stąd — piał rotmistrz jak prawdziwy kogut — precz stąd, bo cię posiekam na czterdzieści pięć kawałków!

A Smok spokojnie wycedził przez zęby:

— Trzy!

Wtedy rotmistrz ciął go z całej siły w ramię. Smok nawet nie mrugnął okiem, ale z szabli rotmistrza została tylko rękojeść. Klinga w zetknięciu z twardą łuską rozleciała się na drobne kawałeczki.

— Do mnie — krzyknął dowódca żandarmów. — Posiekać ich na kawałki, naszpikować, zmiażdżyć, unicestwić! Niech żyje Największy Deszczowiec! Hura!

Na leśnej drodze zakotłowało się. Zamigotały szable i szpady. Gąbka i Salamandrus, unieruchomieni w ciemnym pudle karety, słyszeli urywane okrzyki, przekleństwa, rzenie koni, szczęk stali i głośnie oddechy walczących.

Wir-Siąpawica, pozbawiony szabli, wyrwał zza pasa nóż: i skierował konia ku Smokowi.

— Uważaj — krzyknął Don Pedro i w następnym ułamku sekundy skoczył z tyłu na konia, łapiąc rotmistrza za rękę.

Tymczasem Bartolini ze swym rożnem siał spustoszenie w szeregach żandarmów.

— Bij, wal, rąb, siekaj, szpikuj — wrzeszczał pełnym głosem, sam sobie wydając bojowe rozkazy. Jego kucharska czapa wywoływała równie duże przerażenie, jak ostry rożen. Deszczowcy nigdy nie widzieli takiego nakrycia głowy i sądzili, iż mają do czynienia co najmniej z generałem potężnej armii. Doktor Koyot, uzbrojony w mosiężną patelnię, walił nią po głowach wojaków, co dawało więcej hałasu niż efektu. Walka toczyła się w świetle reflektorów amfibii. Smok szarpnął za drzwiczki karety i wyrwał je razem z zawiasami.

— Czy jest tu profesor Gąbka?

— Jestem — krzyknął uczony. — Ratuście nas!

— Wyjdźcie na zewnątrz — rzekł Smok.

— Jesteśmy przykuci do karety.

— To drobiazg. Zaraz was uwolnię.

Mówiąc to, włożył łeb do karety i spostrzegł łańcuchy, którymi więźniowie byli przykuci do stalowych pierścieni.

— Smok Wawelski — krzyknął na jego widok profesor Gąbka. — Jesteśmy uratowani!

Smok, nie tracąc czasu na wyjaśnienia, zabrał się do przegryzania łańcuchów. W ciemnym wnętrzu karety posypały się snopy iskier. Żelazo zgrzytało mu w zębach, aż dreszcze przebiegały po plecach więźniów. Po kilku minutach przegryzione łańcuchy opadły, a Gąbka i Salamandrus znaleźli się na wolności. Profesor porwał swój ukochany parasol i wyskoczył z karety. W ślad za nim wybiegł Salamandrus.

— Dziękujemy ci, Smoku — krzyknęli obaj i wmieszali się w wir bitwy.

Walka toczyła się nadal. Połowa żandarmów rzuciła broń i uciekła w las, ale druga połowa

walczyła zajadle. W chwili gdy Smok przegryzała łańcuchy, rotmistrz Wir-Siąpawica spał konia i pchnął go w kierunku doktora Koyota. Medyk zasłonił się patelnią, a Bartolini błyskawicznie chwycił rotmistrza za nogę i ściągnął go z konia na ziemię. Jeden z żandarmów skoczył na ratunek dowódcy, ale wtedy profesor Gąbka był już wolny. Zaczepiwszy rączkę parasola na szyi żandarma, odciągnął go od kucharza. Uratowany Bartolini potknął się i gruchnął jak długi do wnętrza samochodu, miażdżąc swym ciałem znajdującą się tu krótkofalówkę. Nie było jednak czasu na rozpacz. Uderzenia patelni o twarde łby żandarmów przypominały dźwięki gongu; szcęk krzyżowanych szabli i szpad nie ustawał ani na chwilę. Smok rozdzielał razy na prawo i na lewo. Przydały się mu teraz lekcje boksu, które brał w domu pod kierunkiem trenera K. S. "Krakusik". W ogniu walki nie zauważył, że trzech żandarmów zbliża się do niego od tyłu, chcąc go unieszkodliwić przez zarzucenie sznura na szyję. Ostrzeżony w ostatniej chwili przez Salamandrusa, machnął na odlew ogonem, przewracając wszystkich napastników. Jednocześnie celnym uderzeniem pięści znokautował samego rotmistrza Siąpawicę.

Na placu boju zostało zaledwie trzech żandarmów oraz pan Mżawka, uzbrojony w pogrzebacz. Na widok niecnego zdrajcy profesor Gąbka wydał bojowy okrzyk i rzucił się ku niemu, wymachując parasolem. Rozpoczął się zacięty pojedynek. Przeciwnicy okładali się z zapalem, tańcząc wokół siebie jak zawodowi szermierze. Ale pan Mżawka nie doceniał profesora. Słynny żabolog zadał mu tak silny cios, że pogrzebacz z głośnym furkotem odleciał w krzaki. Bezradny zdrajca rzucił się do ucieczki, został jednak złapany za kołnierz przez doktora Koyota.

— Do bagażnika z nim! — krzyknął Smok. — I dobrze zamknąć!

Żandarmi ogłuszeni silnym ciosem ogona, nie mogli wrócić do przytomności. Wykorzystując ich bezwład, Don Pedro skrępował im nogi sznurem. Na ten widok trzej ostatni wojacy stracili chęć do walki i dali nura w krzaki. Jednocześnie woźnica zaciął konie i kareta z wyrwanymi drzwiczkami zniknęła w ciemnościach.

— Zwycięstwo — zawołał Bartolini, wznosząc rożen do góry — zwycięstwo! Widzieliście, jak uciekali przede mną? Och, gdyby nie moja rożnoszpada, mielibyśmy się z pyszna, ha! Mają szczęście, że uciekli, bo w przeciwnym razie zrobiłbym z nich gulasz, bigos, paszтет i siekane kotlety!

Mistrz Bartolini rzeczywiście wyglądał na bohatera — o ile bohaterowie chętnie pokazują się z oberwanymi rękawami i rozdartymi spodniami.

Doktor Koyot stracił Wszystkie guziki przy marynarce i zarobił wielkiego sińca pod okiem. Z melonika profesora Gąbki zostało tylko rondo. Don Pedro wypłuł dwa przednie zęby, Salamandrus zaś zgubił sandały.

— Zwyciężyliśmy — powiedział Smok. — No to dobrze. A teraz szybko do stolicy. Mam ochotę na dobrą kolację.

W samochodzie zrobiło się teraz bardzo ciasno, gdyż przybyło dwóch pasażerów. Trzeci — pan Mżawka — miał najwięcej miejsca, gdyż leżał w bagażniku w towarzystwie zapasowych kół, śrub i nakrętek.

Wreszcie nasi podróżnicy mogli serdecznie uściskać profesora i jego przyjaciela. Gąbka wciąż jeszcze nie wierzył oczom.

— Skąd się tu wzięłaś — mówił do Smoka. — Jakim cudem się tu znalazłaś?

W krótkich słowach Smok objaśnił profesorowi cel i przebieg wyprawy.

— Mój kochany — zawołał Gąbka wzruszony — to specjalnie dla mnie tu przyjechałaś?

— Oczywiście — odparł Smok — a cóż w tym dziwnego?

— Jesteście tacy kochani — rzekł profesor — narażaliście się na takie straszne niebezpieczeństwa...

— E, nie ma o czym mówić — mruknął Smok niby to szorstko, gdyż i jemu udzieliło się wzruszenie profesora. — To była całkiem miła wycieczka.

— Ładna wycieczka — powiedział Gąbka. — Nikomu takiej nie życzę.

— Kiedy będziemy w stolicy?

— Za pół godziny — odparł Salamandrus. — Za chwilę wyjedziemy z Lasu Chudzielców i zobaczymy szeroką szosę.

Tymczasem na opustoszałym pobojuwisku pojawiły się Bagienniki Purpurowe, poszukujące skórzanych przedmiotów. Ujrzawszy trzech skrzepowanych sznurami żandarmów rzuciły się ku nim z piskiem radości. Po chwili w lesie rozległo się mlaskanie: to wszystkie buty, pasy, torby i rzemienie zniknęły w paszczach potworków.

Księżyc, oświetlający tę scenę seledynowym blaskiem, uśmiechnął się i powiedział:

— Smacznego.

## Rozdział dwudziesty piąty

### W KIBI-KIBI

Drogą wijącą się przez Las Chudzielców sunęła amfibia, prowadzona pewną ręką Smoka. Samochód podskakiwał na wybojach, rozchlapując wodę z kałuż i płoszył pętające się tu i ówdzie potworki, przypominające patelnie, zaopatrzone w cztery kudłate odnóża i długie, glistowate ogony. Na ich widok profesor Gąbka wykrzykiwał z przejęciem:

— Coś wspaniałego! To niezmiernie rzadkie okazy Stukotków Zajadłych. Są już na wymarciu i właściwie należałoby wziąć je pod ochronę. A te, podobne do skrzydlatych parówek, to są Chrobołki Sosnowe. Och, jaki śliczny okaz Kopytnika Kichawca! Smoku, zatrzymaj się, muszę go z bliska obejrzeć.

Pocziwy profesor zdawał się już nic nie pamiętać ze swych tragicznych przeżyć. Skoro tylko znalazł się na wolności, natychmiast zajął się swoją pracą, stanowiącą dla niego jedyny sens i urok życia.

Ale Smok, choć bardzo cenił wybitnego naukowca, niestety nie mógł spełnić jego życzeń.

— Kochany profesorze — powiedział — musimy jak najszybciej jechać do stolicy. Największy Deszczowiec gotów jest zebrać trochę wojska i mścić się na tych, którzy ośmielili się podnieść na niego rękę. To chyba jest ważniejsze niż zbieranie Okropików...

— Masz rację — rzekł profesor — ale muszę poprawić: Głaźniki nie mają nic wspólnego z Okropi-^ karni. To zupełnie inny gatunek. Najpiękniejsze z nich\* noszą nazwę Dziwaczków Krętowłosych i są dalekim^ kuzynami żab latających.

— Fe, jakie to wszystko paskudne — skrzywił Bartolini.

Profesor gwałtownie zaprotestował:

— Ależ nic podobnego. To urocze zwierzaki. przykład Ryjkonos Dębowiec to cudo; tak podskakuje, że nawet nieboszczyka potrafi rozśmieszyć.

W pewnej chwili reflektory samochodu ześliznął^ się z drzew i pognały w przestrzeń.

— Las się kończy — rzekł Smok.

— Zaraz będzie porządna droga — powiedział Sala^mandrus. — Musimy skręcić w lewo.

— Która godzina? — zapytał doktor Koyot. — Mój zegarek został zmiażdżony w czasie walki.

— Trzecia czterdzieści.

— To znaczy, że wkrótce wschód słońca — rzekł Salamandrus. — Za godzinę znów zacnie padać.

Amfibia podskoczyła na ostatnich korzeniach i wyjechała na dobrze ubitą szosę.

Za nimi, w blednym świetle księżycy, czerniła się zwarta ściana Lasu Chudzielców.

— Jak daleko do stolicy? — zapytał Smok. Salamandrus zastanowił się chwilę, pot czym odparł:

— Będzie około trzydziestu tysięcy żabich skoków.

— O rety, cóż to za kraj — westchnął Bartolini. Smok, widząc przed sobą porządną drogę, nacisnął pedał gazu. Amfibia nabrała szybkości. W twarze jadących uderzył silny wiatr.

Jak to dobrze — myślał Smok, wpatrując się w drogę, ginącą na horyzoncie. — Profesor jest już wolny, a Największy Deszczowiec gdzie uciekł. Wszystko dobrze się składa. Właściwie można powiedzieć, że wyprawa się udała.

Ale w tej samej chwili przypomniał sobie przysłowie: “Nie należy chwalić dnia przed nocą”. — Kto wie, co się jeszcze może zdarzyć?

Po godzinie jazdy ujrzeni z daleka wieże i dachy stolicy.

Było już dość jasno, lecz na niebo wypełzły deszczowe chmury. Pierwsze krople uderzyły jadących w twarze. Profesor Gąbka rozpiął nad głową swój czarny parasol. Salamandrus i Don Pedro nie zabezpieczali się przed zmoknięciem. Z uśmiechniętymi twarzami wciągali w płuca powietrze, w którym był zapach podmokłych łąk.

Droga zawiodła podróżnych aż do baszty o wąskich okienkach i stożkowatym dachu. W grubym murze, zbudowanym z kamieni oraz kawałków cegieł, czerniał otwór bramy.

— To Brama Siedmiu Złodziei — powiedział profesor. — Tu zostałem aresztowany. A teraz wracam wolny.

— Fortuna kołem się toczy — odparł Smok.

Rolę przewodnika spełniał obecnie Salamandrus. Na jego polecenie Smok skręcał w różne przecznice, aby jak najszybciej znaleźć się przed pałacem.

Tu i ówdzie było już widać ludzi. Z niektórych kominów ulatywał dym. Pod bramami doonów stały bańki z deszczówką, rozwożoną mieszkańcom, miasta na śniadanie. W niektórych sklepach podnoszono zasłony z okien wystawowych.

Gdy samochód wyjechał na obszerny plac przed pałacem Najwyższego Deszczowca, oczom podróżnych przedstawił się niezwykle widok: Oto nad bramą pałacową widniał olbrzymi transparent z napisem:

— Niech żyje wolność! Precz z tyracndą! Salamandrus poczuł bicie serca.

A jednak jest na świecie sprawiedliwość — pomyślał z głębokim zadowoleniem.

Amfibia ze zgrzytem hamulców zatrzymała się przed schodami. Dopiero teraz podróżni ujrzeni wartowników, pilnujących pałacu. Byli to obywatele, którzy brali udział w jego zdobyciu. Ujrzawszy Salatnandrusa i profesora Gąbkę, wartownicy z okrzykami radości podbiegli do samochodu.

— Niech żyje profesor Gąbka! — krzyknął jeden z nich.

— Niech żyje Salamandrus! — dodał drugi.

Po chwili na placu zaroilo się od Deszczowców. Na wieść <o przyjeździe niedawnych ofiar tyrana w całym mieście zapanowała radość. Niezwykły wygląd Smoka wzbudzał powszechne zainteresowanie. Trzeba bowiem wiedzieć, iż w krainie tej nigdy nie było żadnego przedstawiciela smoczej rodziny. Największe zaciekawienie wykazywały dzieci szkolne, chcąc choćby koniuszkiem palca dotknąć smoczej łuski. Wkrótce tłumy tak zgęstniały, że strażnicy musieli otoczyć samochód, aby ochronić gości od uduszenia.

— Chwileczkę — zawołał Smok — zaraz będziemy się bawić, tylko powiedzcie mi, gdzie się mógł ukryć wasz ukochany władca?

— Nie mamy pojęcia — odparli członkowie Rady Tymczasowej, którzy właśnie przybyli na plac, nie zdążywszy jeszcze wypić na śniadanie ani garnuszka deszczówki. — Szukamy go od trzech dni.

— Trzeba go *znaleźć* — rzekł Smok — bo inaczej może być źle.

— To zrozumiałe — przyznał przewodniczący Rady — ale na razie chodźcie do pałacu. Jesteście zmęczeni i musicie trochę odpocząć. Zaraz każę przygotować śniadanie.

— Najchętniej zjadłbym kogel-mogel z pięćdziesięciu jaj — powiedział Smok.

Po chwili z pałacu wybiegło dziesięciu kuchcików obarczonych koszykami. Ustawivszy się gęsiego, pobiegli na plac targowy, aby zakupić wystarczającą ilość świeżych jaj. Jednocześnie Naczelnny Magazynier wydał kucharzowi worek cukru.

Po śniadaniu Przewodniczący Rady zwołał zebranie do Sali Tronowej.

Punktualnie o dziesiątej przed południem weszły na salę delegacje mieszkańców Kibi-Kibi,

składając Smokowi i jego towarzyszom serdeczne podziękowanie za uwolnienie Salamandrusa i profesora Gąbki.

Smok uśmiechnął się grzecznie do delegatów, ale jednocześnie niecierpliwił się, ponieważ uważał, że szkoda czasu na zebrania, gdy podły tyran przebywa jeszcze na wolności. Ale nie było na to żadnej rady: Deszczowcy lubili uroczyste posiedzenia i nie mogli darować okazji do wygłaszania kwiecistych przemówień. Największą przyjemność sprawiły Smokowi dzieci z przedszkola, które ofiarowały mu bukietek niezapominajek, zerwanych nad Jeziorem Tysiąca Nenufarów. Następnie Smok, Bartolini i doktor Koyot zostali odznaczeni orderami Bagna Bezdennego Pierwszej Kategorii oraz otrzymali obywatelstwo honorowe stolicy. Natomiast profesor Gąbka oraz Salamandrus otrzymali order Wilgotnego Piernika, nadawane niesłychanie rzadko i stanowiące najcenniejsze odznaczenie w Krainie Deszczowców. W chwili dekorowania rozległy się salwy armatnie, a tłumy zaintonowały hymn narodowy, zaczynający się od słów:

Niechaj żyje Deszczu kraj, dla Deszczowców istny raj!

### NIESPODZIEWANY POŁÓW

Natychmiast po zakończeniu uroczystego zebrania Przewodniczący Rady zaprosił miłych gości oraz kilku najmądrzejszych obywateli do dawnego gabinetu króla. Wszyscy zasiedli przy okrągłym stole i poczęli radzić nad sposobami odszukania ukrywającego się władcy.

Gdy po trzech godzinach obrad nie osiągnięto jeszcze ostatecznego porozumienia, Smok mimo ulewnego deszczu wyszedł do ogrodu, aby trochę rozprostować nogi i zwalczyć ogarniającą go senność.

Ogrody pałacowe były ogromne. Władca jeździł po nich kareta, ciesząc się z posiadania najpiękniejszych w kraju drzew i krzewów. Oczywiście największą ozdobą parku były liczne stawy, kanały i wodotryski. Spacerując po alejach wysadzanych tatarakiem, Smok zawędrował do miłego zakątka, w którym ujrzał altankę, obrośniętą liśćmi dzikiego wina.

— Oj, jak tu ładnie — ucieszył się — siądę sobie na chwilkę i napiszę wiersz dla Marysi z oberży “Pod Wesołym Karakonem”. Pamiętał bowiem o obietnicy, danej wnuczce starego Barnaby.

W altance stała ławeczka, w kącie zaś tkwiła wielka kadź, przeznaczona zapewne na deszczówką.

Smok usiadł na kadzi, uważając, że ławeczka jest dla niego zbyt delikatna. Następnie wyjął z kieszeni notesik oraz długopis. Podobało mu się tu i był przekonany, że tym razem zdoła napisać ładny wiersz.

Napisał tytuł: “Deszczowa piosenka” i zamyślił się głęboko nad pierwszą zwrotką.

— To musi być takie, żeby roześmiała się na głos po przeczytaniu — mruknął do siebie. — Wiersze dla dzieci powinny być wesołe.

Naraz do jego uszu doleciało słabe chlupotanie. Początkowo myślał, że jest to dźwięk kropli, spadających z dachu altanki, ale po chwili zrozumiał, że jest w błędzie. Plusk dochodził z kadzi. Smok wstrzymał oddech i słuchał. Tak. Nie ulegało wątpliwości, że w kadzi coś się poruszało.

Co to może być? — pomyślał Smok. — Trzeba zobaczyć.

Wstał więc i ujął za rączkę klapy.

— A jeżeli to coś niebezpiecznego?

Po chwilowym wahaniu podniósł pokrywę.

W kadzi pływał dziwny stwór o zielonej fałdzistej skórze i wielkich błonach między palcami. Nie ulegało wątpliwości, że był to Deszczowiec. Tylko dlaczego siedział tu, zamiast cieszyć się z wygnania tyrana? A może to był jeden z pomocników króla, ukrywający się przed surową karą?

Smok zanurzył rękę do wody i ujął Deszczowca za oślizłą skórę na karku. Potworek zwiął się jak wąż i rozpaczliwie machał rękami, nie mówiąc jednak ani słowa. Spomiędzy czerwonych warg wystawały mu długie, poźółkłe kły. Malutkie oczka łypały podejrzliwie na Smoka.

— Chodź no tu, kochanie ty moje — powiedział Smok. — Nie mogę powiedzieć, żebyś był wzorem piękności. Najlepiej będzie, jak zaniosę cię do pałacu.

Deszczowiec zwinął się i rozprężył, chcąc wyrwać się z ręki Smoka. Ale nasiz poeta trzymał go mocno.

— Nie podskakuj tak — powiedział — bo sobie zaszkożysz...

Strach widniejący w oczach Deszczowca wzmocnił podejrzliwość Smoka.

— Kto wie, bratku, czy nie jesteś jakimś dygnitarzem? Coś zanadto mi się wrywasz.

Zbliżywszy się do pałacu, Smok ujrzał Radę Tymczasową, zgrupowaną na schodach i

rozkoszującą się deszczem. Niektórzy z radnych stali w kolejce do rynny, z której bił gruby strumień wody. Każdy chciał choć *przez* chwilę zażyć rozkoszy natrysku.

Na widok Smoka z ust radnych wyrwały się okrzyki:

— Trzymaj go mocno! Nie puszczaj! To Największy Deszczowiec!

— Ach tak — powiedział Smok do swego więźnia. — Bardzo mi przyjemnie. Pozwolisz, że ci się przedstawię: jestem Smokiem Wawelskim.

Wtedy potworek po raz pierwszy otworzył usta:

— Puść mnie — powiedział skrzekliwym głosem. — Puść mnie, a dam ci tyle skarbów, że ci oko zbieleje.

Smok zarechotał:

— Hę, hę. Widzisz, mój drogi, skarbów, które masz na myśli, wcale sobie nie cenię. Moje skarby to dobre zdrowie, optymizm i poczucie humoru.

Ale były władca nie przestawał nalegać:

— Dam ci na pożarcie stu moich poddanych. Są bardzo smacznici.

— Dziękuję z całego serca — odparł Smok — ale ja wcale nie jestem ludożercą. Trudno, musisz ponieść zasłużoną karę.

Wiść o ujęciu tyrana rozeszła się po mieście lotem błyskawicy. Tysiące mieszkańców zbiegły się pod pałac, chcąc ujrzeć groźnego władcę w niewoli. Według praw panujących w Krainie Deszczu był on osobistą własnością Smoka. Okrutny władca tak bardzo dał się we znaki swym poddanym, że wielu z nich domagało się jego śmierci.

— Powiesić go — wołali najzagorzalsi.

— Zamknąć go do suszarni — wołali bardziej umiarkowani.

Tymczasem Smok, dzierżąc w ręce swego więźnia, wszedł na salę obrad.

— Kochani — rzekł do swych przyjaciół. — Przynieście z bagażnika naszą wannę gumową. Przyda się nam teraz.

— Co chcesz z nim zrobić? — zapytał doktor.

— Zawiozę go do domu i ofiaruję księciu.

— Świetnie — ucieszył się Bartolini. — Powieziemy go w wannie napełnionej deszczówką, tak?

— Oczywiście.

Tłumy Deszczowców, zebrane na placu, wybrały delegację i wysłały ją do sali obrad Rady Tymczasowej. Delegaci skłonili się radnym i złożyli na ich ręce prośbę ludności, dotyczącą osoby nowego króla. Miał nim zostać były dozorca Jeziora Tysiąca Nenufarów — Salamandrus. Cieszył się on doskonałą opinią i w czasie długich lat zaskarbił sobie miłość i wdzięczność swych rodaków. Był człowiekiem mądrym, rozsądnym, dobrym i sprawiedliwym. *Czegóż* więcej można wymagać od władcy?

Rzecz jasna, iż Rada Tymczasowa natychmiast przychyliła się do prośby ludności. Po chwili przewodniczący Rady ukazał się na balkonie i ogłosił wybór nowego władcy. Odpowiedzią był huragan oklasków i okrzyków:

— Niech żyje król Salamandrus!

Pocziwy dozorca jeziora nie wierzył swym uszom. Nigdy, nawet w najśmielszych marzeniach, nie myślał o zostaniu królem. Słyszając swe imię powtarzane przez tłumy, schował się za szafę.

— Ja przecież nie potrafię rządzić. Wybierzcie kogo innego!

— Wola ludu jest najwyższym prawem — rzekł na to przewodniczący Rady. — Musisz się jej poddać. Zresztą jestem przekonany, że w całym kraju nie ma lepszego kandydata.



— Zróbcie królem profesora Gąbkę — bronił się Salamandrus. — On jest człowiekiem uczonym.

— W myśl praw naszej krainy królem może być tylko Deszczowiec — powiedział Przewodniczący Rady. — Bardzo cenimy profesora Gąbkę, ale on nie może być naszym władcą.

Wtedy profesor ujął Salamandrusa za rękę i delikatnie wyciągnął z za szafy.

— Chodź na balkon i pokaż się ludziom.

Na widok Salamandrusa zerwał się grzmot oklasków.

— Niech żyje nowy król! — wołały tłumy uszczęśliwionych mieszkańców stolicy. We wszystkich oknach było widać głowy ludzi, Młodzi chłopcy obsiedli gałęzie drzew rosnących przy placu. Nawet na dachach roiło się od Deszczowców.

\* \* \*

Do późnej nocy tłumy mieszkańców stolicy wiwatowały na placach i ulicach. Wszystkie okna były jasno oświetlone. W parku pałacowym urządzono zabawę, połączoną z puszczaniem ogni sztucznych. Na rozkaz króla Salamandrusa wszystkie dzieci dostały na kolację po tabliczce czekolady z orzechami.

Mistrz Bartolini, wyciągając z bagażnika amfibii wanną dla więźnia, spostrzegł skulonego w kącie pana Mżawką.

— Oj — zmartwił się — a co my z tobą zrobimy? Ale Smok, który zaraz za nim zbliżył się do samochodu, zdecydował:

— Jego też weźmiemy ze sobą. Największy Deszczowiec będzie miał towarzystwo.

Noc miała się już ku końcowi, gdy nasi przyjaciele udali się na wielce zasłużony wypoczynek.

— Kiedy wracamy do kraju? — zapytał doktor Koyot.

— Jak najszybciej — odparł Smok, wyciągając się z rozkoszą na wygodnym łożu. — Myślę, że zaraz po obiedzie.

— Oczywiście, że dopiero po obiedzie — powiedział Bartolini. — Zrobię taki obiad, że Deszczowcy będą o nim, układając poematy.

— Ach, moi drodzy — rzekł sennym już głosem profesor Gąbka — nie chce mi się wierzyć, że już; za kilka godzin ruszę w drogę do domu. Smoku, jesteś wspaniały.

— Uhm... — wymamrotał Smok, nie bardzo wiedząc, o co chodzi.

Był już bardzo śpiący i w następnej chwili w całym pałacu rozległo się jego potężne chrapanie.

## Rozdział dwudziesty siódmy

### POŻEGNANIE KRAINY DESZCZU

Popętnilibyśmy duży nietakt, gdybyśmy nie wspomnieli, że Salamandrus wszelkimi siłami starał się zatrzymać drogich gości w Kibi-Kibi. Namawiał ich gorliwie do pozostania co najmniej na okres sześciu miesięcy. Ale Smok — wbrew swym osobistym chęciom i pragnieniom: — uważał, że trzeba jak najszybciej wracać do kraju.

— Mój kochany — mówił do króla — wierz mi, że zostalibyśmy z dużą radością. Chciałbym dokładnie poznać waszą krainę i zaprzyjaźnić się z jej mieszkańcami, ale księżę Krak na pewno martwi się o nas, a na profesora czeka przecież jego brat Hipolit, dzięki któremu cała wyprawa doszła do skutku. Widzisz więc, że musimy was pożegnać.

— Ale przyjedziecie do nas jeszcze raz?

— Na pewno to zrobimy — zapewnił Smok. — Obecnie oba nasze kraje nawiążą ze sobą normalne stosunki dyplomatyczne.

— Chciałbym wysłać z wami mojego posła — rzekł król Salamandrus. — Myślę, że mógłby nim zostać Don Pedro.

— Znakomity pomysł — zawołał Smok. — A co on na to?

— Zgodził się bardzo chętnie. Zbudujecie mu domek tuż nad Wisłą, żeby miał się gdzie moczyć — i sprawa załatwiona. Kiedy więc chcecie jechać?

— Zaraz po obiedzie. Mój przyjaciel Bartolini postanowił wydać wspaniałą ucztę. Od rana uwija się po kuchni, mając do pomocy trzydziestu sześciu kuchcików. Spójrz tylko, jaki dym bucha z kuchennego komina...

Cóż to była za uczta! Zamiast wina popijano płynny owoc, a na deser spożyto kilkanaście kilogramów lodów śmietankowych z bakaliami. W czasie obiadu przygrywała kapela żab latających, umieszczona w basenie.

Tymczasem dworska służba przygotowywała amfibię do dalekiej drogi. Załatany zbiornik napełniono świeżym zapasem paliwa, w silniku wymieniono zaoliwione świece, sprawdzono stan opon i hamulców. W tyle, za siedzeniami, przymocowano klatkę z Największym Deszczowcem i panem Mżawką. Obaj więźniowie, czerwoni ze wstydu, kryli się w gumowej wannie, nie chcąc być celem ironicznych spojrzeń i złośliwych uwag.

Serdecznym uściskom nie było końca. Salamandrus długo nie wypuszczał profesora Gąbki ze swych objęć. Lata współpracy połączyły ich więzami głębokiej i prawdziwej przyjaźni. Nie mniej serdeczne było pożegnanie króla ze Smokiem i jego przyjaciółmi.

Amfibia ruszyła.

Salamandrus, stojąc na schodach pałacu, długo machał ręką. Był bardzo smutny i dlatego kilka łez stoczyło się mu po twarzy. Ale nikt tego nie spostrzegł, ponieważ jak zwykle padał deszcz.

Gdy samochód mijał kiosk z gazetami, podróżni usłyszeli głośny okrzyk:

— Szczęśliwej podróży, profesorze!

To pan Zenobiusz Akwadon, sprzedawca gazet, pozdrawiał swego dawnego\* klienta.

— Skocz no, kochany, po "Mokre Nowiny" — rzekł Smok do Koyota.

Zenobiusz Akwadon nie chciał nawet słyszeć o zapłacie za dziennik. Każdy z podróżnych dostał od niego jeden egzemplarz "Mokrych Nowin". Na pierwszej stronie widniały fotografie wszystkich bohaterów wczorajszych wydarzeń.

Wkrótce samochód minął Bramę Siedmiu Złodziei i skierował się na drogę wiodącą do Jeziora

Tysiąca Nenufarów.

Zbliżała się chwila wyłowienia obydwu puszek, kryjących dorobek naukowy profesora Gąbki.

Jeziro, jak wiemy, leżało w niedużej odległości od miasta. Drżąc z niecierpliwości, profesor Gąbka wypatrywał Półwyspu Gadatliwego Zaskrońca. Tuż za wąskim pasemkiem lądu rozciągała się Zatoka Milczącej Ryby. Tam właśnie, na dnie jeziora, w grubej warstwie mułu, spoczywały bezcenne puszeki.

— Może pozwolicie, że ja sam zajmę się ich wyłowieniem — zaproponował Don Pedro. — Nurkuję lepiej od foki...

Ale Smok pokręcił głową przecząco:

— Ja mam na to straszną ochotę. Przywiozłem przecież cały ekwipunek dla płetwonurków. Muszę go wypróbować.

Zatrzymali się nad samym brzegiem. Krople deszczu monotonnie szumiały wśród trzcin. Szara powierzchnia wody pokryta była milionami punkcików. Chmury ciągnęły nisko, zdawało się, że chcą odpocząć na mokrej ziemi lub na wodzie. Wiał przenikliwy wiatr.

— Macie paskudny klimat — skrzywił się doktor Koyot. — Dziwię się, że nikt z nas nie ma jeszcze kataru.

Smok otworzył walizkę i wyjął z niej dwie butle ze sprężonym powietrzem, maskę oraz gumowe płetwy. Po chwili, przybrany we wszystko, co jest potrzebne do nurkowania, stanął na brzegu i spojrzał w kierunku małej kępki trzcin, chwiejących się w odległości kilkudziesięciu metrów.

— To tam — wyszeptał z przejęciem profesor Gąbka — tam gdzie te trzciny. Miejsce zatopienia jest oznaczone rybim pęcherzem.

— W porządku — rzekł Smok — i ująwszy w zęby koniec gumowego przewodu, dostarczającego sprężonego powietrza, wszedł do wody.

Dno jeziora w tym miejscu opadało gwałtownie, Smok szybko pogrążył się w mętnych falach.

Zebrani na brzegu, nie zważając na coraz silniejszy deszcz, wpatrywali się z napięciem w kępę trzcin. Mijały długie minuty oczekiwania.

— A może pan się pomylił, profesorze — rzekł z troską Don Pedro.

— Wykluczone — zaprotestował Gąbka. — Pamiętam to miejsce doskonale.

— Chyba Smokowi nie stało się nic złego? — powiedział Bartolini. — Słuchaj, Don Pedro, może skoczyłbyś mu na pomoc?

W tym samym jednak momencie koło kępy trzcin pokazała się głowa Smoka.

— Jest — krzyknął Gąbka. — Znalazłeś?

Smok kiwnął głową. Trzymając puszeki w jednej ręce, płynął szybko w kierunku brzegu. Po chwili uczone przycisnął swój skarb do piersi.

— Są, są moje materiały, jestem szczęśliwy! — krzyczał pełen radości. — A więc wszystko w porządku!

Tymczasem Smok systematycznie składał do skrzynki swe przybory.

— Dziękuję ci, dziękuję — wołał profesor, ściskając Smoka i całując go w policzki. — Nie masz pojęcia, jak się cieszę.

— Tkwiły głęboko w mule — rzekł Smok. — Musiałem je wyciągać przy pomocy pazurów. To wszystko? — No, to możemy jechać dalej.

Odjeżdżając, profesor Gąbka spojrzał raz jeszcze na Jezioro Tysiąca Nenufarów. Przypomniawszy sobie wieczory, spędzone tu na nagrywaniu żabiego śpiewu. Przypomniawszy sobie miłe rozmowy z Salamandrusem, któremu wówczas ani się śniło, że kiedyś zostanie królem... Żal ścisnął serce uczonego.

— Przyjadę tu jeszcze — pomyślał. — Przyjadę na pewno, bo mimo wszystko polubiłem: tę dziwną krainę.

Po trzech godzinach jazdy przez ponury Las Chudzielców, amfibia znalazła się na plaży u stóp Skał Cztero j a j eczny ch.

Porzucona na piasku tratwa zdawała się czekać na podróżnych.

Naprawa złamanego masztu oraz budowa nowego domku na pokładzie tratwy zajęła naszym podróżnym resztę dnia.

— Wykorzystamy noc na wypłynięcie poza Skały — rzekł Smok. — Teraz jest pogoda i morze się uspokoiło. Będziemy musieli opłynąć ten przylądek i skierować się na wschód. Tym razem nasza podróż będzie krótsza, bo nie popłyniemy do Kraju Gburowatego Hipopotama. Mamy znacznie bliższą drogę.

— Szkoda, że nie zobaczymy Interferencji — rzekł doktor Koyot. — Bardzo polubiłem tego małpiszona.

— Z Grodu Kraka wyślemy do niej kartkę — pocieszał go Smok. — A teraz do roboty. Trzeba zepchnąć tratwę na wodę.

Koło dziesiątej wieczór na niebo wyszedł jasny księżyc. W zenicie pojawiły się gwiazdy. Spokojne fale łagodnie lizały brzeg.

M/s “Interferencja”, popychana długimi drągami, zakołysała się na wodzie. Smok uruchomił motor amfibii — i oto śruba poczęła burzyć wodę tuż za tratwą. Silnik pracował równo i miarowo.

— Zaczyna się droga powrotna — powiedział Smok tonem nieco uroczystym. — Zapamiętajcie sobie ten dzień. Może przejdzie do historii?

### NARESZCIE W DOMU

Książę Krak miał za sobą ciężki dzień. Musiał przyjąć trzy delegacje i aż dwa zagraniczne poselstwa: jedno z Kraju Dojrzałego Ananasa, drugie zaś z Chlebonii. Ponadto przez godzinę wysłuchiwał skarg i zażaleń ludności na złych urzędników, a następnie udał się na przechadzkę po grodzie, aby zdecydować, które ulice mają otrzymać nowoczesną nawierzchnię z “kocich łebków”.

Po południu kazał osiodłać Siwego i samotnie pojechał do Wieliczki, żeby zobaczyć, jak postępują prace przy kopaniu szybu solnego. Niedawno odkryto tu wielkie złoża soli, z czego się cieszył cały naród, najwięcej zaś książę, jako że strasznie lubił chleb z masłem i solonymi rzodkiewkami.

Powróciwszy do domu, wezwał kanclerza i znów z wielką przykrością dowiedział się, że nie było żadnych wiadomości od Smoka. Od kilku tygodni krótkofalówka zupełnie zamilkła. Codziennie rano, w południe i wieczór książę Krak wywoływał stację na amfibii — ale nadaremnie. Albo radio Smoka uległo uszkodzeniu, albo też członków wyprawy spotkało jakieś nieszczęście. Na myśl o tym książę Krak odczuwał dreszcze niepokoju. Zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństw wyprawy. Krainy, do których się udali, były dzikie i nie znane. Teraz, gdy nie było żadnych wieści o losie podróżników, Krak wyrzucał sobie, iż naraził swych bliskich na groźne niebezpieczeństwa. Może zostali dożywotnimi więźniami w Krainie Deszczu, a może pożarły ich dzikie bestie lub pochłonęły fale Morza Burzliwego?

Ale przecież trzeba było wyjaśnić los Baltazara Gąbki. Bardzo się Krak trapił — w ciągu tych kilku tygodni niepewności przybyło mu wiele siwych włosów na głowie. Nie mógł spać, stracił apetyt — i całymi godzinami stał w oknie, patrząc ku południowi, w nadziei, że ujrzy toczącą się drogą amfibie. Ach, ileż by dał za ten widok... Ale dni i tygodnie mijały, a o podróżnych nie było żadnych wiadomości.

Wieczorami książę wypatrywał ognistych wici, które miały go powiadomić o zbliżaniu się samochodu. Na szczytach wzgórz — począwszy od Gór Skalistego Południa, a skończywszy na białych Krzemionkach, wznoszących się tuż za Wisłą — przygotowano wielkie stosy gałęzi i beczki napełnione smołą. Przy każdym stosie czuwali ludzie, gotowi do natychmiastowego podpalenia go w razie potrzeby. Pierwszy stos wzniesiono na Dzikiej Przełęczy, obok gospody “Pod Wesołym Karakonem”. Stary Barnaba miał go zapalić wyłącznie w wypadku przyjazdu Smoka i jego towarzyszy. Na dany znak miały zapłonąć wszystkie pozostałe stosy. W ten sposób książę mógł być szybko powiadomiony o radosnym fakcie.

Słońce już zaszło, ulice grodu pustoszały. Zamykano bramy miejskie, a na murach pojawili się strażnicy uzbrojeni w halabardy. Strażnik na Wieży Mariackiej odtrąbił hejnał i olbrzymim kluczem nakręcił zegar. Była już połowa sierpnia. Żniwa tego roku udały się nadzwyczajnie. Stodoły pękały od zboża, a mieszkańcy kraju nie lękali się przednówka. Na polach nie było już ani jednej kopki; tu i ówdzie szarzały płaty pierwszych podorywek. Jabłonie uginały się od owoców, łany kwitnącej koniczyny pachniały mocno i dzwoniły rojami pszczoł.

Krak usiadł na ławeczce i tak jak co dzień spoglądał ku południowi, gdyż jedynie stamtąd mógł nadjechać samochód ekspedycji.

W miarę zapadania ciemności na niebie zapalały się gwiazdy.

Było ich coraz więcej. Książę — wielki miłośnik astronomii — rozróżnił już Wielki Wóz, Gwiazdę Polarną i konstelację Oriona.

W domkach nadwiślańskich pojaśniały okna; mieszkańcy przygotowywali wieczerę. Powietrze pachniało drzewnym dymem, a cichoskrzydłe gacki wyruszyły na swe tajemnicze łowy. W nadbrzeżnych mokradłach rechotały żaby.

Nagle, tuż nad linią horyzontu, zjawilo się odmienne od innych światelko. Czyżby się ukazała nowa gwiazda?

— Nie, to niemożliwe — pomyślał książę — gwiazda jest niebieska, a to światelko jest różowe.

Po kilku chwilach nie ulegało już wątpliwości, że to płonął stos na szczycie dalekiego wzgórza. Świetlny punkt powiększał się i przybrał czerwony kolor.

Serce księcia mocno zabiło.

— Czyżby wici?

Zerwał się z ławki i natężył wzrok. Teraz zapaliło się drugie, a po chwili trzecie czerwone światelko. Oczywiście, że były to wici! A więc Smok i jego towarzysze wjechali w granice księstwa! Byli już na Dzikiej Przełęczy! Wobec tego jutro koło południa można się ich było spodziewać na miejscu.

Już i inni mieszkańcy zamku dostrzegli płonące ogniska. Zapanowało ogólne podniecenie. Strażnik na Wieży Mariackiej uderzył w dzwon, odpowiedziały mu głosy rogów strażniczych.

Radosna wieść rozeszła się po mieście. Smok wraca! Nikt jednak nie wiedział, czy wraca w towarzystwie profesora Gąbki... Ludzie zrywali się od stołów, a niektórzy, spoczywający już w łózkach, ubierali się ponownie. Wkrótce też zapłonął stos na Krzemionkach, tuż za Wisłą. Jego krwawe blaski padały na powierzchnię rzeki.

Kucharze, przywdziawszy białe czapy, pędzili ile sił w nogach do zamkowych kuchni, aby na nowo rozniecić ogień i przystąpić do pieczenia mięsiwa i ciast.

Ich pomocnicy rąbali drzewo i znosili ze spiżarni wory z mąką oraz połcie słoniny. Podczaszy wyciągnął z piwnicy beczki najlepszego wina.

Pan Hipolit Gąbka, wielce utrudzony pracowitym dniem, spał już smacznie, gdy do jego drzwi poczał się dobijać książęcy pacholek.

— Wstawajcie, panie, wstawajcie — wołał przez drzwi. — Smok wraca!

Hipolit zerwał się z łoża.

— A co z moim bratem?

— Nie wiadomo — odparł posłaniec. — Jeno to wiemy, że jada, bo okrutne ognie płoną na górach.

W całym mieście — mimo nocy — myto okna, zamiatano ulice i place. Dzieci — zamiast spać — uczyły się wierszyków na przyjęcie Smoka. Przekupki z Rynku, jako osoby najlepiej poinformowane, twierdziły, iż Smok wiezie cztery oswojone krokodyle, pięć hipopotamów i dwa tuziny goryli. Przeczyły temu przekupki z Placu Szczepańskiego, twierdząc z całą pewnością, że Smok wiezie potężne skarby. Oczywiście były to wiadomości wysane z palca.

Tej nocy nikt nie spał w Grodzie Kraka. Miasto szumiało jak wielki ul na wiosnę. Koło czwartej poczęło świtać; niebo nad Puszcza Książęcą nabrało różorwego zabarwienia, gwiazdy poblady.

Książę osobiście doglądał wszystkich przygotowań na przyjęcie drogich przyjaciół. W rozdeptanych pantoflach i w koronie na głowie biegał po schodach, zaglądał do kuchni, sprawdzał jakość pieczonych ciast, próbował wina, pamiętał o wszystkich szczegółach planowanego powitania.

W miarę upływu czasu niecierpliwość jego wzrastała. Przybrany już w uroczyste szaty, stał na szczycie najwyższej baszty i spoglądał ku górcom przez lunetę. Pożyczył mu ją imć pan Onufry

Arkadiusz Paralaksa — Wielki Astrolog Książęcy, Mistrz Zielonej Magii i kawaler Orderu św. Jacka z Pierogami.

Tuż obok Kraka stał Hipolit Gąbka, pełen nadziei a zarazem niepokoju. Nie miał przecież żadnej pewności, czy Smok wraca z jego ukochanym bratem. Może Baltazar już nie żyje? A może znajduje się w niewoli u Deszczowców? Możemy z całą pewnością twierdzić, iż nikt w Grodzie Kraka nie był zdenerwowany tak, jak on. Przeszłował z nogi na nogę, miał w rękach chusteczką do nosa, i co chwila prosił księcia o pożyczenie lunety.

Słońce było już wysoko, gdy wreszcie z ust księcia wyrwał się głośny okrzyk:

— Jada!

Oto daleko za Wisłą, w miejscu, gdzie droga wbiegała między zielone pagórki, ukazał się mały obłoczek kurzu.

— Jada — powtórzył książę i oddawszy lunetę Hipolitowi Gąbce, porwał w ramiona pana Paralaksę i ucałował go serdecznie. Był tak szczęśliwy, iż musiał to w jakiś sposób uzewnętrznic. Tłumy zebrane pod zamkowym wzgórzem wzniosły okrzyk:

— Jada!

Tymczasem kłęb kurzu z wolna się powiększał. Książę, przyłożywszy znów lunetę do oczu, stwierdził z całą pewnością, że szosą jedzie zielona amfibia.

Wielu mieszkańców miasta biegło na most, aby powitać wracających podróżników.

Tuż przed mostem samochód zwolnił. Teraz już było wyraźnie widać wysoką sylwetkę Smoka oraz głowy jego towarzyszy.

— Jest ich więcej niż w chwili wyjazdu — powiedział Krak — to na pewno twój brat, Hipolicie.

Hipolit przyłożył lunetę do oczu.

— Tak! To Baltazar! Poznaję go! — krzyknął oberżysta nieprzytomny wprost z radości — Baltazar wraca!

Samochód minął już most i pędził teraz wśród szpaleru ludzi, machających chusteczkami i wykrzykujących słowa powitania.

Po chwili pisnęły hamulce i amfibia zatrzymała się przed Smoczą Jamą.

Książę wraz ze wszystkimi dostojnikami stał tu już od kilku chwil.

Smok uśmiechnął się i pomachał łapą. Baltazar Gąbka uniósł do góry swój czarny melonik. Mistrz Bartolini podskakiwał na siedzeniu, a doktor Koyot szukał wzrokiem swej małżonki, za którą się już bardzo stęsknił.

Tłumy rzuciły się ku pojazdowi — i w następnej sekundzie jego pasażerowie znaleźli się na ramionach ludzi. Na ich głowy sypały się bukiety kwiatów. Wszystkie dzwony w Grodzie Kraka głośiły ich chwałę.

Smok, niesiony przez mieszkańców miasta, znalazł się wreszcie przed księciem.

Zanim zdążył dotknąć nogami ziemi, zawołał:

— Przywiozłem ci profesora Gąbkę. Jest cały i nie uszkodzony.

Po czym obaj przyjaciele padli sobie w ramiona ściskając się i całując.

Profesor Gąbka skłonił się nisko księciu, ale ten, poniechawszy wszelkich dworskich form, wziął go w objęcia i serdecznie ucałował. Następnie odstąpił od niego i powiedział:

— A teraz niech się bracia powitają. Kronikarz owej chwili — mistrz Anonimus — powiada, że powitanie obu braci trwało dokładnie piętnaście minut i siedem sekund. Co chwila odchylali się od siebie na odległość ramion, po czym na nowo brali się w objęcia, nie dowierzając swym oczom.

— Nic się nie zmieniłeś przez te lata — mówił Hipolit.

— I ty też nic się nie zmieniłeś — powtarzał uszczęśliwiony Baltazar.

Pełni radości ze szczęśliwego przyjazdu Smoka, gotowi byliśmy zapomnieć o obydwu więźniach, umieszczonych w wannie. Ich niezwykle sylwetki, a zwłaszcza dzikie oblicze Największego Deszczowca, budziły wśród tłumów ogromne zainteresowanie. Teraz dopiero mistrz Bartolini mógł w całej pełni rozwinąć swój talent krasomówczy. Wskazując na wannę z dzikusami, wołał ile sił w płucach:

— Oto, szlachetni bracia, przywieźliśmy wam najokropniejszych przedstawicieli Krainy Deszczu! Ten z wielkimi kłami — to ich król, straszny okrutnik, pokonany przez bohaterskiego Smoka, przy mojej wydatnej pomocy. A ten drugi, o spiczastych uszach i chytrym spojrzeniu — to groźny szpieg, pan Mżawka, dzięki któremu Baltazarowi Gąbce groziła śmierć w okrutnych męczarniach. Nie zbliżajcie się do nich zbyt, bo gryzą, plują i kopią!

Mówiąc to, wyjął zza cholewy swą roznospadę i wywijał nią na wszystkie strony. Wyglądał przy tym tak groźnie, że co trwożliwsi obywatele usuwali się chyłkiem do tyłu, aby nie wejść w bolesny kontakt z ową niebezpieczną bronią.

Smok, stojąc tuż obok Kraka, spoglądał zatroskanym wzrokiem na wannę ze swymi przeciwnikami. Widać było, że chce coś powiedzieć, ale się powstrzymuje. Wreszcie się zdecydował:

— Mój drogi — powiedział półgłosem do Kraka — nie chcę ci nic narzucać, ale wydaje mi się, że dla uczczenia tej chwili należałoby może okazać im nieco wspaniałości. Widok wrogów w poniżeniu może cieszyć wyłącznie serca ludzi prymitywnych. My jednak szczycimy się wyższą od nich kulturą. Krak uścisnął Smoka serdecznie.

— Po prostu z ust mi to wyjąłeś — rzekł rozprcmmieniony. — Ja też jestem tego zdania. Damy im takie zajęcie, które zrobi z nich porządnymi ludźmi. Zaraz to ogłoszę publicznie.

Uniósłszy rękę do góry nakazał tłumom milczenie, po czym odezwał się głośno w te słowa:

— Aby godnie uczcić radosną chwilę powrotu naszych przyjaciół, polecam zaprowadzić ich do zamku. Od jutra złączą pracę w ogrodzie jako pomocnicy ogrodnika. Przez dziesięć lat będą mieć staranie o kwiaty, warzywa i owoce, a gdy ta piękna praca uszlachetni - ich na tyle, że staną się bardziej podobni zwykłym, uczciwym ludziom — pozwolę im wrócić do ojczyzny. Deszczowcy nie dowierzali swoim uszom. Byli prze<sup>^</sup> cięż; pewni, że wkrótce ich czeka śmierć w srogich męczarniach. Skłonili się więc nisko, objęli księcia za kolana i wymamrotali słowa podziękowań.

— Zawieźcie ich do zamku — rzekł książę, starając się nie okazać obrzydzenia z powodu bliskości niemiłych istot. — Zamieszkają w izbie pod Złodziejską Basztą, a jutro skoro świt rozpoczną pracę. Głównym ich obowiązkiem będzie podlewanie roślin.

— Ach, to wspaniale — zawołał Największy Deszczowiec — będę podlewał od rana do wieczora!

— Ja także — dodał pan Mżawka. — Niech żyje wspaniałości książę Krak!

Pan Mżawka należał bowiem, jak wiemy, do ludzi, którzy bardzo łatwo zmieniają swe przekonania i pragną przypodobać się mocniejszym. Ale książę udał, że go nie słyszy i obrócił się do niego plecami.

— No, jazda — powiedział dowódca straży — i lekko pchnął obu więźniów, wskazując im drogę do zamku. Wśród gwizdów i urągłych okrzyków tłumy szli ku głównej bramie, zagryzając wargi ze wstydu i złości. Nie tak dawno byli przekonani, że wejdą tu w triumfie jako zwycięzcy, aby ustanawiać swe prawa i zmuszać nowych poddanych do ciężkiej pracy. A te<sup>^</sup> raz — zamiast zaszczytów i bogactw — czekały na nich konewki z wiślaną wodą...

Teraz Smok przedstawił księciu Don Pedra:



— Oto poseł z Krainy Deszczu, wysłannik nowego króla Salamandrusa, naszego przyjaciela.

Don Pedro skłonił się przed księciem tak nisko, że zamiótł kurz piórami swego kapelusza.

— O panie — powiedział — moim największym szczęściem będzie doprowadzić do wieczystej przyjaźni między naszymi narodami.

Bartolini, pozbawiony możliwości pokazywania Deszczowców, dał nurka w tłum, aby powitać swą żonę oraz dziesięcioro dzieci. Ucałowanie ich zajęło mu tak dużo czasu, że o mało nie spóźnił się na ucztę, przygotowaną przez księcia.

Uczta owa zaczęła się punktualnie o godzinie trzeciej po południu i trwała przez cztery godziny.

Jak wspomina mistrz Anonimus, było na niej sto najbardziej wyszukanych potraw. Wypito kilkanaście beczek węgierskiego wina oraz zjedzono dwieście kilogramów lodów śmietankowych. Tresowane niedźwiedzie zabawiały uczujących śmiesznymi skokami. Do tańca przygrywała ludowa kapela z Miodunki, wsi szczególnie przez księcia ulubionej.

O siódmej wszyscy uczestnicy biesiady rozeszli się do domów. Na sali pogasły światła, na zwodzonym moście zadudniły koła karet rozwożących gości na kwatery.

Bartolini, otoczony gromadką dzieci, opowiadał im po raz czwarty o przeżytych przygodach, nie szczędząc sobie gorących słów uznania za bohaterstwo i zaradność.

Doktor Koyot z uczuciem ulgi usiadł w swym ulubionym fotelu przed telewizorem.

Baltazar Gąbka udał się do domu swego brata, gdyż jego własne mieszkanie, od tylu lat stojące pustką, wymagało odnowienia i sprzątnięcia.

Don Pedro zamieszkał w gościnnej komnacie na zamku, jako ambasador zaprzyjaźnionego państwa.

A Smok w towarzystwie księcia Kraka poszedł, rzecz jasna, do Jamy.

Ujrzawszy swe ulubione i niezwykle zaciszne mieszkanie, uśmiechnął się od ucha do ucha i rzekł:

— A jednak w domu jest najprzyjemniej.

Książę Krak, zgodnie ze swym zwyczajem, usiadł na stole.

— Jako wielki podróżnik, nie powinieneś tak mówić...

Smok z rozkoszą przebrał się w szlafrok i stare, wygodne pantofle. Nabawiwszy fajkę tytoniem, włożył ją w zęby.

— Wiesz co — zaproponował — chodźmy przed Jamę. Wieczór taki ciepły, usiądziemy sobie na ławce w ogródku.

Oto znów wszystko było po staremu. Tak samo szumiały fale Wisły, a wiatr niósł od gór słodką woń koniczyzny.

— Świat jest piękny i ciekawy — powiedział Smok, szukając zapalek w przepaściste<sup>1]</sup> kieszeni szlafroka. — Ale smutno by na nim było, gdyby człowiek nie miał dokąd powracać.

— A więc jesteś zadowolony z powrotu? — zapytał książę.

— Jeszcze jak — odparł Smok.

Było to, jak wiemy, jego ulubione powiedzenie.

*Kraków, 1965 r.*

**Uwaga.** Autor prosi jeszcze o krótką chwilę cierpliwości, gdyż koniecznie musi coś wyjaśnić.

Pewna miła czytelniczka po zapoznaniu się z dziejami profesora Baltazara Gąbki oraz Smoka — powiedziała do mnie z wyrzutem:

— Nie rozumiem, dlaczego Don Pedro zostawił swój samochód pod skałą w Kraju Psiogłowców i przesiadł się na amfibię Smoka.

Owo pytanie bardzo mnie — jako autora — ucieszyło. Świadczyło bowiem, że moja mała czytelniczka przeczytała książkę z uwagą i że ma główkę nie od parady.

Muszę więc ową tajemniczą sprawę wyjaśnić. Otóż Don Pedro zostawił swój samochód pod skałą i przesiadł się na amfibię Smoka tylko z tego powodu, że wóz Smoka był znacznie piękniejszy i o całe niebo lepszy pod względem technicznym. Mam wrażenie, że porzucony przez niego samochodzik wciąż jeszcze stoi pod skałą w Kraju Psiogłowców. Będę musiał to sprawdzić podczas najbliższej bytności w tej krainie (wybieram się tam w lecie na wakacje...).

Autor, który jednocześnie zapewnia, że teraz już naprawdę jest koniec książki.

---

[1] Dzieło to stanowi dziś wielką rzadkość bibliofilską. Jeden z nielicznych jego egzemplarzy widziałem w antykwarni pana Rajmunda Boissonier w Paryżu, przy ul. Kota Rybołówcy nr 15a (przyp. autora).

[2] Krainie Deszczowców żaby stanowią jeden z największych przysmaków. Do niedawna wyłączne prawo połowu miał ŁOWŻAB. Od pewnego czasu Największy Deszczowiec zezwala swym poddanym na łowienie żab, pobierając za to wysokie opłaty. Każdy obywatel może złowić tylko dziesięć żab miesięcznie. Za przekroczenie tej ilości stosowane są niezwykle surowe kary, z których najłagodniejszą stanowi piętnastoletnie więzienie w najsuchszym lochu twierdzy (przyp. autora).

[3] Chociaż nigdy nic nie wiadomo... Znałem pewnego człowieka, o którym nikt nic nie wiedział, ale potem wszyscy o nim mówili, bo przyczepił sobie do bluzy skrzydełka i tak chodził po mieście (przyp. autora).

[4] A może nie taki zwykły, jakby się zdawało. Zapewne nie napisałbym tak, gdybym wiedział, że na drzewach Lasu Chudzielców aż roi się od stworzeń, zwanych Bagiennikami Purpurowymi. Owe stwory bacznie obserwowały drogę wiodącą do Kibi-Kibi. Ale wierzcie mi — naprawdę o tym nie byłem powiadomiony, kończąc niniejszy rozdział. Pisarz często nie wie, jak się skończy rozdział już zaczęty, a co dopiero jak się zacznie następny (przyp. autora).

[5] palma pachnąca — (*Palma Odorans*) drzewo rośnie wyłącznie w Kraju Gburowatego Hipopotama, a szczególnie na północnych brzegach jeziora M'buru. Jej kwiaty pachną jak chlorofilowy krem do golenia. Jeżeli się jeszcze nie golicie, spytajcie swoich tatusiów (przyp. autora).